JEREMI ZORA
(H. Zaleski)

NASZE DWORY I DWORKI

HISTORYA JAKICH WIELE
WESELI SPADKOBIERCY

Drukarnia Związkowa w Krakowie — 1905

JEREMI ZORA
(H. ZALESKI).

NASZE DWORY I DWORKI

HISTORYA JAKICH WIELE
WESELI SPADKOBIERCY

W KRAKOWIE,
NAKŁADEM I CZCIONKAMI DRUKARNI ZWIĄZKOWEJ
POD ZARZĄDEM A. SZYJEWSKIEGO.
1905.

HISTORYA JAKICH WIELE.

I.

U państwa Kolasińskich w Rzędzinach dzień 8-go maja obchodzono bardzo uroczyście od lat co najmniej trzydziestu. Był to dzień imienin jedynaczki, panny Stasi, blondynki szczupłej, słusznego wzrostu, o fryzurze ustawionej z rzadkich włosów nieokreślonego koloru — wedle japońskiej mody, o ruchliwych oczkach i wąziutkich, zesznurowanych, wybladłych usteczkach.

Imieniny jedynaczki w tym roku były tem uroczystsze, że po kilkunastu latach tęsknego wyczekiwania coroczna liczba zawsze jednych i tych samych gości miała się zwiększyć o jedną i to dla serca panny Stasi najpożądańszą osobę, którą był konkurent, starający się bez konkurencyi o jej chudą rączkę — pan Bobcio vulgo Bolesław Dzieńdzieliński, je-

dyna także pociecha pana Kalasantego i Marcyanny z Kokoszyńskich małżonków Dzieńdzielińskich. właścicieli Psiej Wólki i Wilczodołów.

We dworze rzędzińskim około piątej popołudniu siedziało już zebrane towarzystwo przy kawie; a więc obok gospodarza domu pana Antoniego Kolasińskiego, jego małżonki Hermenegildy z Fidrygalskich, oraz panny Stasi, dzisiejszej solenizantki, siedział dzierżawca z Wróblowic, pan Euzebiusz Strzałkowski z córką, ośmnastoletnią Zofią, która po ukończeniu pensyi, pierwszy raz w świat wchodziła, obok niej pan Gorgoszewski, odwieczny notaryusz ze Zabłocic i ciocia Derdelewiczowa, osoba okazałej tuszy, ozdobiona parą pokaźnych wąsików, nie tak jednak dużych, aby ją mogły przemienić na wujcia! Ciocia Pinia recte Olimpia Derdelewiczowa, była ciocią całego powiatu, nikt jej inaczej nie nazywał, a wielu było takich, którzy ją znali tylko pod imieniem cioci Pini, nie znając nawet jej nazwiska.

Nie przeszkadzało to jednak wcale do przyznawania cioci Pini praw i przywilejów prawdziwej cioci, z czego ona korzystała, kojarząc młode małżeństwa, starostując na

każdem weselu, trzymając wszystkie dzieci do chrztu w całej okolicy, smarząc kompoty i konfitury, godząc zwaśnionych sąsiadów, a częściej zwaśnione sąsiadki.

— Fi, coś Bobcia nie widać — zauważyła ciocia Pinia, dopijając kawę.

— Mówił w niedzielę, że około piątej przyjedzie — odpowiedziała pani Hermenegilda.

— A piąta już dawno minęła — zauważyła z westchnieniem panna Stasia, zwracając ruchliwe oczka na ścienny zegar.

— To bardzo przykry wypadek — rzekł pan Kolasiński do notaryusza, kończąc przerwaną z nim rozmowę.

— Ha, niezawodnie — odpowiedział rejent — coś się psuje na świecie, ludzie, na ogół biorąc, zapominają o swoich obowiązkach i o uczciwości. Inaczej to dawniej bywało.

W tej chwili posłyszano turkot w dziedzińcu. Koń złotogniady ze skurtyzowanym ogonem i grzywą przy samym karku obsmuszoną, wpadł na dworskie podwórze tęgim kłusem, ciągnąc za sobą wysoki gig angielski, na którym siedział dwudziestopięcioletni młodzieniec, Bobcio vulgo Bolesław Dzieńdzieliński i za nim na siodełku Jasiek z per-

katym nosem i miną skończonego gapia, przybrany w odświętną liberyę i w białe bawełniane rękawiczki, trzymając oburącz ogromnych rozmiarów bukiet, przykryty futerałem z szamowej bibułki.

Złotogniady, zatrzymany stanął przed gankiem, Bobcio wyskoczył z giga, odebrał bukiet od Jaśka, któremu rzucił lejce, a sam wpadł przez ganek do przedpokoju, gdzie uszczypnął w przechodzie zwinną i rumianą pokojówkę i oddał prochownik lokajowi, który w tej chwili zjawił się przy nim do usługi.

Z wejściem Bobcia do przedpokoju rozszedł się tam odurzający zapach paczuli: lokaj kichnął raz i drugi, a Bobcio wydobywając bukiet z futerału, przez zapomnienie po dwakroć powiedział mu: „na zdrowie“. Spostrzegłszy jednak swoją pomyłkę, zanim lokaj za dobre życzenie zdołał mu podziękować, zawołał, śmiejąc się do niego: „a tom się psiakrew pomylił“!

Drzwi od salonu otwarły się szeroko, na progu ukazał się pan Kolasiński z rozkrzyżowanemi ramionami,

— Aa! — zawołał — kocha... a... a... psi! i kichnął siarczyście, aż szyby w parapetowych drzwiach dźwiękiem mu odpowiedziały.

— Tak późno kochany pan Bobcio — zaczął na nowo — a my z ka... a... a... psi! — kichnął po raz drugi.

— Bo ten ogrodnik ze Zabłocic taki psiakrew niezdara — zawołał Bobcio — miał mi bukiet zrobić na drugą, a ledwie nieledwie na trzecią się wyguzdrał.

— A psi! — huknął lokaj!

— A psi! — zawtórował mu gospodarz domu.

— O, prawda — rzekł Bobcio.

— Ha — odetchnął po chwili pan Antoni — chodźmyż, chodźmy do jadalni na kawę.

I wziął w pół wypaczulonego Bobcia, prowadząc go przez salon. Panna Stasia wyszła do salonu naprzeciw, Bobcio szurgnął nogami, Stasia kichnęła i pan Kolasiński kichnął tym razem z dubeltówki; — kawaler, podając bukiet rozpromienionej solenizantce, wyrecytował powinszowanie, którego się był w domu wyuczył, a potem prowadząc pannę Stasię pod rękę, poglądał na nią z ukosa i pomyślał sobie: Hej, Hanka, psiakrew, że też ty się nie nazywasz Kolasińska!

W jadalnym pokoju zapach paczuli poprzedził wejście kawalera. Całe towarzystwo uczuło świdrowanie w nosach; pierwszy ki-

chnął stary rejent ze Zabłocic, po nim ciocia Pinia i pan Strzałkowski, a za jego przykładem panna Zofia i pani Hermenegilda z Fidrygalskich Kolasińska.

Wśród tych kichnięć różnej siły i różnych tonów wszedł ze Stasią Bobcio Dzieńdzieliński, w istocie bardzo przystojny, szczupły brunet o bujnych falujących włosach, o smagłej cerze, czarnych, niby sennych oczach, okrytych frendzlami długich rzęs i malinowych ustach, nad któremi układał się zgrabnie mały wąsik, o miękkości i połysku peli.

Po przywitaniu ze znajomymi, podprowadzony przez pana Antoniego, skłonił się Bobcio przed panną Zofią.

— Pan Bolesław Dzieńdzieliński — rekomendował go gospodarz domu.

Zosia spojrzała na niego i oblała się gorącym rumieńcem.

— A to chłopak, jak marzenie — pomyślała młoda dziewczyna — tylko ta paczula, to już zupełnie niepotrzebna — dodała w myśli.

Bobcio tymczasem podprowadzony przez pana Kolasińskiego, usiadł obok panny Stasi, która go otoczyła troskliwą opieką, podając mu chleb, masło, bułki, sucharki i filiżankę znakomitej wiejskiej kawy.

— Kiedyż rodzice pańscy przyjadą — zapytała pani Hermenegilda?

— Około szóstej — odpowiedział Bobcio dźwięcznym i bardzo miłym głosem.

Zosia oczu od niego oderwać nie mogła, po chwili westchnęła ukradkiem.

— I cóż się stało ze sędziną? — zapytała ciocia Pinia w dalszym ciągu notaryusza.

— Ot — machnął ręką stary Gorgoszewski — porzuciła męża, dwoje dzieci niebożąt i wyjechała Bóg wie dokąd z doktorem.

O, tak — zawołał Bobcio Dzieńdzieliński, mieszając się do rozmowy — o, tak kobieto, puchu marny, ty wietrzna istoto, jako powiada Kopernik.

Twarze Strzałkowskiego, rejenta i Zosi skurczyły się gwałtownie w tej chwili i sfałdowały; Zosia porwawszy serwetkę ze stołu, przykryła sobie usta i do połowy mocnym rumieńcem oblane policzki. Z poza serwetki para wyrazistych, szafirowych i ogromnie rozbawionych oczu, spoglądała na Bobcia z prawdziwem zdziwieniem.

Rejent łypnął w stronę przystojnego kawalera jakiemś zjadliwem spojrzeniem i rzekł poważnie: Widzę, że pan całego Kopernika umie na pamięć.

— Na pamięć, jak na pamięć — odrzekł Bobcio pewny siebie — ale wiele po przeczytaniu z jego wierszy zapamiętałem wyjątków.

Zosi łzy zaświeciły w rozbawionych oczach.

— Pewnie zapamiętał pan to — ciągnął dalej notaryusz — co mu się najlepiej spodobało?

— A tak — odparł Bobcio — na przykład i ten wiersz, jakże się nazywa... aha, trzy razy księżyc odmienił się złoty, gdy na tym piasku rozbiłem namioty...

— Cóż to jest? — zapytał notaryusz.

— Jak to, pan rejent nie wie? — zawołał Bobcio — to przecie... jakże się nazywa... aha, Hegar na puszczy!

— O Matko Boska!! — krzyknęła Zosia i gwałtownte przechyliła się z krzesła, wybuchając okropnym i niczem już niehamowanym śmiechem.

— Co się pani stało? — zawołał Bobcio i podbiegł ku niej.

Pan Strzałkowski uspokajał córkę, którą śmiech wstrząsał, a notaryusz rzekł do Bobcia:

— Panna Zofia dostała spazmów.

— Ou, to wody, ha? może z cytryną, co? i zbliżywszy się do Zosi, rzekł troskliwie: Co się też pani stało tak nagle?

Zosia śmiała się coraz okropniej.

— A to dziwne — rzekł Bobcio ze współczuciem — czy na pani może ten Hegar zrobił takie wrażenie?

— Zginę! — zawołała przeraźliwie Zosia, upadając na ręce ojca.

— Po doktora psiakrew posłać, prędko! — krzyknął zaaferowany Bobcio.

— O, nie potrzeba — rzekł, śmiejąc się pan Strzałkowski — moja córka przyjdzie do siebie.

Tymczasem Zosia zanosiła się od śmiechu, chwilami jęczała, łzy z ócz jej płynęły tak, że nareszcie i ojciec o nią się zaniepokoił. Pani Hermenegilda i ciocia Pinia wzięły ją słaniającą się pod ręce i wyprowadziły do pokoju panny Stasi, a pan Kolasiński był niesłychanie zdziwiony, z czego panna Zofia tak nagle zachorowała.

Bobcio, który w czasie spazmatycznego śmiechu stał tuż przy niej i wpatrywał się w nią, zauważył, że Zosia jest bardzo ładna dziewczyna; spojrzał potem na pannę Stasię, o której rękę bez konkurencyi konkurował

i doznał takiego uczucia, jakby połknął kawałek soli po łyżeczce różanych konfitur.

— Ktoś mi to mówił — odezwał się po wyjściu Zosi — że spazmy, to jest właściwie wątrobiana choroba.

— Być może — odpowiedział rejent — że i wątrobiana, w tej materyi trudno mi jednak cokolwiek powiedzieć, gdyż na medycynie zupełnie się nie znam.

— Powinien pan przecie — rzekł Bobcio, zwracając się do pana Strzałkowskiego — koniecznie się udać do jakiego dobrego doktora. Czy to z wątroby, czy z nerek, czy z czego innego, to wszystko jedno; ale spazmy są i już.

— To tylko dziś — odparł pan Strzałkowski — mam nadzieję, że to przejdzie.

Z pokoju panny Stasi dolatywał tymczasem srebrny głos śmiechu, co chwila wybuchającego.

— O! o! o! słyszycie państwo? — mówił coraz troskliwiej Bobcio, a w myśli roztrząsał ważne dla siebie pytanie, czy też ta ładna Zosia ma jaki posag, czy nie.

Chcąc w tym kierunku czegoś się dowiedzieć, zagadnął pana Strzałkowskiego bardzo dyplomatycznie:

— Jakże panu dobrodziejowi idzie teraz we Wróblowicach?

— Dziękuję, — niezgorzej.

— To bardzo droga dzierżawa.

— Ha, bo i majątek duży, 3.000 morgów.

— Ho, ho, trzy tysiące... o! o! o! znowu śmiech — rzekł Bobcio, nadsłuchując, a po chwili wracając do spraw dzierżawy, dodał:

— To spory kęs ziemi. Mój ojciec miał zamiar wziąć mi większą dzierżawę w Królestwie, ale były trudności i nie wziął.

— To bardzo dobrze się stało — zawołał notaryusz.

— Dobrze? dlaczego? — zapytał Dzieńdzieliński.

— Bo widzi pan — odpowiedział rejent zupełnie poważnie — nasz kraj potrzebuje młodych, energicznych, a nadewszystko prawdziwie inteligentnych i wykształconych obywateli. W każdym innym organizmie społecznym właściciel większej posiadłości ziemskiej nie ma do spełnienia tylu zadań narodowych, kulturalnych i ekonomicznych, co w naszym. Dobrze się zatem stało, że kraj pana nie stracił.

Bobcio skłonił się w milczeniu, a pan Strzałkowski przygryzł wargi.

W tej chwili zaturkotały bryczki, wózki i powozy, do Rzędzin zjeżdżało na imieniny panny Stasi najbliższe sąsiedztwo. W pierwszym powozie, przypominającym arkę Noego, przybyła cała rodzina państwa Zerkiewiczów z Wygonny, złożona z czterech jedynaczek i trzech jedynaków; węgierskim wózkiem zajechali panowie Melchior i Baltazar Czepielowscy, współwłaściciele Kobyliny, młodzi i dostatni kawalerowie; koczem rodzice pana Bobcia, pan Kalasanty i Marcyanna Dzieńdzielińscy; i najtyczanką pan Jacenty Bogdalski z Łopuchowa z żoną, córką i dwoma synami.

Dwór w Rzędzinach napełnił się ogromnym gwarem; panny różnego wieku, różnej tuszy i różnego wzrostu otoczyły Stasię, życząc jej wszelkich pomyślności, a na ucho młodego, ładnego i bogatego męża.

Oczywiście wszystkie bez wyjątku zazdrościły jej Bobcia Dzieńdzielińskiego, który, prócz piękności i tej zalety, że był jedynakiem, miał tyle innych zalet towarzyskich i tańczył prześlicznie, a szczególniej tramblamkę.

Pan Kolasiński z butelką koniaku w ręce i kieliszkiem chodził od gromadki do gro-

madki, przypijając i zapraszając miłych sąsiadów.

— Tymczasem panie sąsiedzie — mówił — tymczasem, nim nam dadzą co lepszego.

Mili sąsiedzi gwarzyli ze sobą o zbiorach zeszłorocznych, o zasiewach wiosennych, o robociźnie, stajniach i oborach; panie o konfiturach agrestowych, o kurach i kurczętach; młodzi kawalerowie o posagach panien; panny o możliwych kombinacyach małżeńskich w sąsiedztwie, gdy w tem zahuczały w sieniach basy i odezwały się skocznymi tonami skrzypice.

Wiejska kapela pod batutą Grześka z nad potoka, cięła z krakowska od ucha. Młodzież poczęła podrygiwać, i w tej chwili wyrwała się jakaś niecierpliwsza para, a za nią pomknęły i inne po obszernym salonie państwa Kolasińskich.

Nawet poczciwa ciocia Pinia musiała zrobić ze siebie poświęcenie dla pana Melchiora Czepielowskiego i na równi z młodzieżą wywijać raźnego krakowiaka.

Około dziewiątej podano wieczerzę.

Przy stołach, suto zastawionych, zasiedli weseli biesiadnicy, a po trzeciej potrawie powstał pan Antoni z serwetą, zawiązaną pod

szyję i z kieliszkiem w ręce i wypił zdrowie miłych gości i sąsiadów.

Na to powstał Bobcio Dzieńdzieliński i zawołał: proszę o głos!

Gwar ucichł, Bobcio odchrząknął i spoglądając na pannę Stasię, rzekł uroczyście:

— Młodości!... Ty jesteś, jak zdrowie: ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie, kto ciebie stracił! — jak powiada w ogniu i mieczu jeden z najnowszych poetów, Henryk Siemiradzki!

— Uspokój się Zosiu — zawołał pan Strzałkowski.

— Znowu spazmy, mój Boże — rzekła pani Hermenegilda.

— Nie, nie, to przejdzie, pewnie że przejdzie — zapewniał pan Strzałkowski urywanym głosem.

Rejent łypnął zjadliwie na Bobcia, i dzwoniąc w kieliszek, rzekł poważnie: Brawo, brawo! Prosimy dalej panie Dzieńdzieliński.

— Zatem — zaczął na nowo Bobcio — ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie, kto ciebie stracił!... Młodość w każdem stworzeniu ma swoje prawa i swoje wybryki — rzekł, rzucając na Stasię spojrzenie, bo i ciele, które tylko nie jest martwe, ruszy czasem ogonem...

— Oczywiście — dorzucił rejent.

— I podskoczy sobie wesoło — ciągnął dalej piękny młodzieniec. — My dziś także tu podskakujemy wesoło, nawet przy muzyce, z tej okazyi, że panna Stanisława obchodzi uroczystość swoich imienin. Oby tak, jak od niepamiętnych czasów obchodzi takie uroczystości co roku, obchodziła je w najdłuższe lata, a ja — rzekł, podnosząc kielich w górę — wznoszę toast na jej zdrowie i wołam: solenizantka niech żyje nam!

— Brawo! doskonale! — zawołał rejent. Krzesła zahurkotały, muzyka w sieniach zagrała fanfarę, a kilkanaście męskich głosów zaintonowało pieśń biesiadną: „Niech żyje nam"!

Panna Stasia była rozpromieniona, a Zosia blizka omdlenia! Po tym toaście pito kolejno zdrowie wszystkich obecnych, pił notaryusz zdrowie młodzieży obywatelskiej, przygotowanej dostatecznie do spełnienia kulturalnych, społecznych i narodowych zadań, w ręce Bobcia Dziendzielińskiego; pił pan Melchior Czepielowski zdrowie notaryusza; pan Kalasanty Dziendzieliński zdrowie państwa Zerkiewiczów, pan Zerkiewicz zdrowie państwa Strzałkowskich: pan Strzałkow-

ski zdrowie cioci Pini; pan Bogdalski zdrowie panów Czepielowskich; pan Baltazar zdrowie Bogdalskich; Józio Zerkiewicz zdrowie wszystkich panien; aż nareszcie gospodarz domu zakończył ucztę toastem: „Kochajmy się“!

Po wieczerzy na nowo rozpoczęły się tańce posuwistym polonezem przez wszystkie pokoje i przez dziedziniec naokoło gazonu, poczem młodzież, znalazłszy się z powrotem w salonie, raźnego uderzyła mazura, aż ściany rzędzińskiego dworu dygotały w posadach, a szyby w takt dzwoniły.

Oczywiście huczna zabawa we dworze zwabiła na dziedziniec całą młodzież wiejską, na gazonie wybijali cięte hołubce wiejscy chłopacy z dziewczętami, hukając wesoło, aż echo dudniało po polach i górach.

W oknach salonu w każdej szybie tkwiło po kilka spłaszczonych nosów ciekawych wyrostków, przypatrujących się pańskiej zabawie, podczas której pan Antoni kręcił się po kątach salonu, prowadząc za sobą lokaja i zwinną, rumianą pokojówkę z tacami, pełnemi ciast, cukrów, kieliszków i butelek rozmaitego kształtu i koloru.

Z pierwszym brzaskiem dnia wygnieciona

szyba z brzękiem padła na posadzkę. W tej chwili dał się słyszeć tupot uciekających wyrostków z pod okien i tancerzy z gazonu.

Drobny ten wypadek dał hasło do zakończenia zabawy. Muzyka ucichła, poczęto nawoływać woźniców, a w pół godziny potem od stajen ozwał się turkot bryczek i powozów.

Pan Antoni Kolasiński, niezupełnie pewnie trzymając się na nogach, podchodził z butelką w ręce i ogromnym puharem do każdego z odjeżdżających i przypijał siarczyście, bełkocząc coraz niewyraźniej: strzemiennego, panie sąsiedzie, strzemiennego!

Zanim wszystkich obszedł, w głowie huczało mu, jak we młynie, na nogach chwiał się coraz silniej tak, że lokaj noszący za nim pełne butelki, musiał podtrzymywać go pod ramię.

Bobcio, wypiwszy puhar z rąk gospodarza, podprowadził pannę Zofię do powozu, i podając jej rękę na pożegnanie, westchnął tak czule, przeciągle i głęboko, że wesoła dziewczyna znowu wybuchnęła głośnym śmiechem.

. . . .

Ze wschodem słońca dwór w Rzędzinach pogrążony był we śnie.

Już słońce wiosenne jaśniało w pełnym

blasku, gdy we dworze w Psiej Wólce ułożył się Bobcio Dzieńdzieliński do snu, po przetańczonej nocy.

Do jego pokoju weszła młoda dziewczyna w czerwonej malowance, piękna, jak to słonko poranne, i stanąwszy nad łóżkiem, wpatrzyła się w Bobcia modremi, jak niebo, oczyma tak, jakby się w niebo wpatrywała.

— Panicu — nachylając się nad nim, rzekła cichym roztęsknionym głosem — panicu mój!... kajście wy byli tak długo?

— Idź psiakrew Hanka do dyabła — burknął niecierpliwie młodzian — potem ci powiem, jak wstanę. — I obrócił się do ściany, nakrywając się kołdrą powyżej uszu.

II.

— Marcysiu! — zawołał do żony pan Kalasanty Dzieńdzieliński — co to za robota, znowu zabrałaś mi pół korca owsa dla kaczek! Skaranie Boskie, czy co, jak mi Bóg miły! Ja koniom owsa żałuję, a ta kaczki owsem karmi!

— No to cóż im będę dawała, buraczanych liści jeszcze niema, osypka dla prosiąt, kukurudzy niema, jęczmienia niema, pszenicy nie dasz...

— Jeszcze czego, pszenicy, pewnie! Każę to wszystko porżnąć do trzysta dyabłów, albo wywieść na targ do Zabłocic!

Pan Kalasanty wpadł w zły humor, rzucił klucze od śpichlerza na stół, i sapiąc, siadł na sofie.

— Każ dać kawę — zawołał po chwili — trzeba posłać kogo po Walka, żeby się postarał na jutro o ludzi do okopywania i nie wiem, co tam na Wilczodołach słychać. Gdzie Bobcio?

— Pewnie w ogrodzie — odrzekła pani Marcyanna.

— Bobciu! — huknął przez okno pan Kalasanty.

Za chwilę stanął Bobcio na progu.

— Słuchaj — rzekł ojciec — po kawie pojedziesz do Wilczodołów, trzeba tam będzie popatrzeć, może siano da się już kosić miejscami, ha?

— Ha, dobrze — odpowiedział Bobcio, siadając przy stole.

Pan Kalasanty spojrzał przeciągle na niego.

— Ale wiesz ty, ty cymbał jesteś — zawyrokował. — Taka dobra była sposobność oświadczyć się Kolasińskim o rękę Stasi w sobotę i nie skorzystałeś.

— E, — machnął ręką młodzieniec.

— Cóż, ee?... — rzekł ojciec.

— Bo mnie — odpowiedział Bobcio — jakoś ochota odeszła.

— Owaryował, jak mi Bóg miły — zawołał pan Kalasanty. — Cóż ty sobie myślisz, cymbale, nie wiesz, że Towarzystwo kredytowe ma już pięć rat zaległych i że ledwie nieledwie zgodzili się zaczekać z podaniem o licytacyę Psiej Wólki i Wilczodołów do końca lipca.

— To ja wiem o tem — odrzekł Bobcio — ale widzi ojciec, to wszystko można jakoś inaczej zrobić.

— Jak Boga kocham, ty masz kiepsko w głowie — zawołał pan Kalasanty — jak można inaczej zrobić, co można zrobić?!

— Ożenić się — to dobrze, ale nie z Kolasińską, tylko ze Strzałkowską — rzekł Bobcio. — Kto wie, czy Strzałkowski nawet nie dałby coś więcej, jak piętnaście tysięcy.

— Ba, jeśli ma — rzekł pan Kalasanty.

— Niech ojciec każe Mordkowi się dowiedzieć, on to do jutra spenetruje tak, jak spenetrował Kolasińskich.

— Ii... — zauważył Dziendzieliński — spenetruje nie spenetruje, zaczynać konkury na nowo, czas ucieka, koniec lipca na karku; ot łap, co jest, co Bóg dał i nie zawracaj sobie głowy Strzałkowską.

— Aha... dobrze, to ojcu tak mówić: łap, co jest; za co będę łapał?... za przedpotopowe pruchno; przecież wolałbym Zosię Strzałkowską o północy, jak Stasię Kolasińską w samo południe.

— W to, to wierzę — odrzekł pan Kalasanty — i jabym wolał tamtą w nocy, jak tę we dnie; ale zastanów się, że tu interes

prawie gotowy, a tam dopiero musiałbyś zaczynać.

— Niech tylko Mordko się dowie, czego się tam można spodziewać, a zaraz jutro pojadę, oświadczę się i już. Ja uważam — dodał Bobcio po chwili — że dziewczyna ledwie ze skóry za mną nie wyskoczy; powiedziała mi przecież, gdyśmy walca tańczyli, że jak żyje, jeszcze się tak nie ubawiła, jak wtedy i że to mnie samemu ma do zawdzięczenia.

— Tak ci powiedziała? Hm... hm... — rzekł pan Kalasanty i zadumał się głęboko.

— A to czekaj — zawołał po dłuższej chwili milczenia — pogadamy z matką. Marcysiu! Marcysiu!

Pani Marcyanna z Kokoszyńskich, obrażona wymówkami męża, a jeszcze bardziej zapowiedzią okrutnej rzezi kaczek, weszła do pokoju chmurna i milcząca.

— Słyszysz matka — rzekł pan Kalasanty — nasz Bobcio chciałby się żenić ze Strzałkowską — ha?...

— Czy tylko ona co ma? — zauważyła pani Marcyanna.

— E... mieć ma... zapewniał Bobcio.

— Ba, ale co? — rzekł ojciec.

— Bo co to dzierżawa — mówiła matka —

dzierżawa z dziś na jutro... i wszystko nareszcie może być, a tego właśnie nie będzie, co tobie do małżeństwa potrzeba.

— Właśnie — odezwał się pan Kalasanty— Bobcio chce, abym posłał Mordka na zwiady.

— No, nie zaszkodzi, poszlij — rzekła pani Marcyanna — tylko ostrożnie z tym projektem, aby chłopca nie złapali i nie ubrali w spazmatyczną pannę, nie mającą najpotrzebniejszej rzeczy, bo co z tego, że ładna; — piękność przeminie, a posag zostanie.

— Nie bardzo zostanie — dorzucił pan Kalasanty; — zaległe raty w Towarzystwie kredytowem, żydowskie długi i wierzytelność Skrobaczyńskiego, i już po posagu. Ale wiesz matka — rzekł ukontentowany — Strzałkowska powiedziała Bobciowi... jak to, jak?...

— No, że tylko mnie ma do zawdzięczenia, iż się tak dobrze bawiła u Kolasińskich, jak jeszcze nigdy w życiu — powtórzył Bobcio.

— A widzisz! — zawołała pani Kalasantowa. — Chłopiec cudny, jak nie wiem co, gdzie się pokaże, wszystkie panny waryują za nim.

Bobcio uśmiechnął się z dumą i zadowoleniem, gładząc jedwabiste wąsiki.

— No to poszlij Marcysiu po Mordka, a ty

Bobciu pamiętaj sobie, że jeżeli w danym razie będzie można wejść w interes ze Strzałkowskimi, to raz, dwa, bo koniec lipca na karku.

W pół godziny potem w kancelaryi pana Kalasantego siedziała w komplecie jego rodzina, a na środku pokoju stał Mordko Leisenhaft, poseł, wierzyciel, pachciarz i urzędnik do szczególniejszych poruczeń przy dworze państwa Dziendzielińskich w jednej osobie.

— Niech sze jaśnie państwo nie turbuje; ja już wim, jak się ta rzec ma zrobić. Mój szwagier Spinnenberg, wun często jeździ do Wróblowice, to wun wszystko wi. Jemu sze poczebuje dacz pięć reński, to wun do greicara wirachuje pana Strzałkowskiego.

— To jedźże Mordku do Spinnenberga — rzekł pan Kalasanty — i dowiedz się dokumentnie o wszystkiem tak, abyśmy na jutro mieli wiadomość. Masz pięć reńskich, szwagrowi daj dwa, a sobie weź trzy za fatygę, i basta!

— Mało, proszę jaśnie pana — utrzymywał ryżobrody adlatus pana Kalasantego — wun koniecznie najmniej chce mieć pięć.

Rozpoczęły się targi, koniec końcem Mord-

ko wytargował jeszcze trzy reńskie naddatku, skłonił się nizko państwu Dziendzielińskim i wyszedł ze dworu, oganiając się na dziedzińcu kilku psiakom, które z zajadłością dobierały się do jego, przeszłorocznem błotem ugarnirowanego żupana.

W niedługi czas potem Bobcio na złotogniadym koniu o skurtyzowanym ogonie i obsmuszonej grzywie jechał do Wilczodołów, a przez Psią Wólkę toczył się w kierunku do Zabłocic mały wózek, zaprzężony starą i chudą, jak hak, kasztanowatą szkapą, którą Mordko zachęcał do szybkiego biegu gęstymi razami bata, a czasem i uderzeniami biczyska!

. . . .

Nazajutrz przed południem ryżobrody urzędnik do szczególniejszych poruczeń zdawał ze swojej misyi sprawozdanie państwu Dziendzielińskim.

— Pan Strzałkowski, z przeproszeniem jasne państwo — mówił, przeciągając — to wun, choć jest dzierżawca, ale wun jest bogatszy od wszystkie tutejsze dżedżyce. Książę Mitrożyński nie chce jemu wipuścić z dzierżawy, co już za rok wichodzi, i jeździ do pana Strzałkowskiego, aby wziął Wróblowice na dwanaście roków. Pan Strzałkowski ma

piętnaście tysięcy kaucyi, a trzydzieści tysięcy płaci czynsz, rachują go na sześćdziesiąt, może na siedmdziesiąt tysięcy, bo coraz to zmieni kupony u Barbera. Nu, wun ma tylko dwa dzieci — te panietki, co teraz jest w domu i syna, co jest doktór i jest teraz przy marinarki.

I jeszcze czeba powiedżecz jasne państwo, co we wszistkie folwarki wróblowickie ma inwentarze, co warto widzieć. A jaki wun gospodarz? o joj, joj! Wun robi gruby majątek, aby ja taki rok miał!

Bobcio słuchał tej relacyi z ogromnem zadowoleniem.

Państwo Dziendzielińscy, wypytawszy jeszcze tajnego posła o rozliczne drobniejsze szczegóły, odnoszące się do stosunków majątkowych państwa Strzałkowskich, po wyjściu Mordka układali plan kampanii małżeńskiej dla syna.

Pani Marcyanna, przenikliwa i przewidująca dyplomatka, radziła, aby Bobcio rozpoczął niezwłocznie starania o rękę panny Strzałkowskiej, ale z pozostawieniem na razie Stasi Kolasińskiej w rezerwie.

— Tak to potrzeba jakoś urządzić — mówiła troskliwa matka — ady w Rzędzinach

nie dowiedziano się na razie o zmianie, bo nużby Strzałkowski chciał dać za córką mniej, aniżeli Kolasińscy.

Oczywiście pani Marcyanna nie przypuszczała ani na chwilę, aby Bobcio mógł być nieprzyjęty; nie przypuszczał też tego pan Kalasanty, a już najmniej sam aspirant do ręki panny Zofii, który stojąc przed dużem zwierciadłem, z zupełnem zadowoleniem przyglądał się swojej ujmującej fizyognomii.

Narada trwała ze dwie godziny, skończyła się konkluzyą papy Kalasantego:

— Załgasz się bardzo łatwo, Strzałkowski ma podobno karego konia do sprzedania; zapytasz go także, czyby mi z dziesięć korcy owsa nie odstąpił i po jakiej cenie, a potem wymiarkujesz, jak tam i co tam, a gdy spostrzeżesz, że posag być może i że ci bardzo radzi, kuj żelazo i oświadcz się pannie. Tylko, prawda, po oświadczynach zaraz powiedz Strzałkowskiemu, że ja ci chcę odstąpić Wilczodoły, ale żądam dwadzieścia pięć tysięcy i dodasz, że możebym z pięć i opuścił, jeśli on ze mną sam pogada, rozumiesz?

— Rozumiem — odpowiedział Bobcio.

— A koło panny — dodała matka — to tak, jak to ty umiesz, Bobeczku. Taki cudny

chłopiec, jak nie wiem co, to powinien odrazu serce panny przywieść w kieszeni.

— I przywiozę! — zawołał Bobcio: — nie wiem, psiakrew, coby mieć mogli przeciw mnie.

— Gdyby zaś — mówił pan Kalasanty — Strzałkowski chciał się od posagu wykręcić i gdybyś uważał, że z nim trudno będzie dojść do końca, to zawracaj odrazu do Rzędzin i oświadcz się Kolasińskiej, póki się nie dowiedzą, żeś zaglądał do Wróblowic.

— Tak, tak — dodała pani Marcyanna — lepszy wróbel w garści, jak kanarek na dachu.

— Tu nie można zwlekać — ciągnął papa Dzieńdzieliński — koniec lipca na karku, a ty przed końcem lipca musisz być ożeniony.

W tej chwili z rąk przechodzącej Hanki wypadła taca z karafką i szklankami. Brzęk stłuczonego szkła przerwał dalszą rozmowę.

— Hanka! — zawołała gniewnie pani Marcyanna — gdzie się obrócisz, wszędzie wierzby za tobą rosną! Idzie, jak ślepa albo nieżywa i tłucze naczynie tak, jakby szklanki i karafki za darmo rozdawali po sklepach! Już teraz za tę szkodę wytrącę ci, — nie podaruję!

Hanka zbierała rozbite szkło z podłogi,

a ciche, bolesne, tłumione łkanie wstrząsnęło piersią dziewczęcia.

— No, nie becz, nie becz — rzekł łagodnie pan Kalasanty — pani tak tylko mówi, ale ci nie wytrąci... nie bój się!

— Tak jest — zawołała pani Marcyanna — zawsze tak rób, to wkońcu jeść nawet nie będzie na czem!

— No, dosyć już tego, dosyć! — mówił pan Kalasanty do żony, a zwracając się do syna, dodał: — a ty zbierajże się, abyś tam był najpóźniej na drugą.

Bobcio wystroił się na ostatni guzik, w jasny atłasowy krawat wpiął szpilkę z dużym — jak mówił — szmaragdem, okrył się prochownikiem z surowego jedwabiu i usadowiwszy się w gigu, a Jaśka w bawełnianych rękawiczkach i odświętnej liberyi na siodełku, popędził do Wróblowic na Wygonną i Zabłocice, zostawiając tym sposobem na boku Rzędziny i gościnny dom państwa Kolasińskich. W niespełna dwie godziny później siedział Bobcio w salonie dworu wróblowickiego.

Przyjmowała go pani Strzałkowska w nieobecności męża, który był w polu, a Bobcio, załgawszy się, wedle recepty ojca, skierował rozmowę na ostatnią zabawę w Rzędzinach.

— Bardzo żałuję, że nie mogłam być w sobotę u państwa Kolasińskich, silna migrena, na którą często zapadam, zatrzymała mnie w domu.

— O, szkoda — rzekł Bobcio — bawiliśmy się znakomicie.

— A, tak, słyszałam — odpowiedziała pani Strzałkowska. — Zosia wróciła taka rozbawiona...

— A w Rzędzinach miała panna Zofia kilka razy ataki spazmów.

Pani Strzałkowska zacisnęła usta.

— Jakże, czy już lepiej pannie Zofii? — zapytał troskliwie Dzieńdzieliński.

— O, zupełnie dobrze — odrzekła pani Strzałkowska.

— Radziłem nawet panu Strzałkowskiemu, aby się udał do jakiego dobrego lekarza, bo to spazmy, widzi pani dobrodziejka, to jest psiakrew choroba, bądź co bądź, niebezpieczna.

W tej chwili otwarły się drzwi od salonu i wpadła Zosia w różowej batystowej sukni, trzymając w jednej ręce ryżowy kapelusz o szerokich kresach, w drugiej pęk polnych kwiatów. Rumieniec falował na białej jej twarzy, z poza rozchylonych ust malinowych

przezierały dwa rzędy perłowej białości drobnych i równych zębów, a szafirowe oczy śmiały się wiosną, życiem i szczęściem, niczem niezamąconem.

Spostrzegłszy Bobcia w salonie, wybuchnęła szczerym śmiechem.

— Jakże się cieszę... pan Dzieńdzieliński! — zawołała, podając mu rękę.

— Pani naprawdę się ze mnie cieszy? — zapytał Bobcio, kokieteryjnie patrząc jej w oczy.

— Oczywiście — odrzekła — naprawdę, jak mameczkę kocham. Od ubiegłej soboty nie mogłabym sobie wyobrazić zabawy bez pana.

— Zosiu! — rzekła pani Strzałkowska, spojrzawszy na córkę z wymówką.

— No to cóż, mameczko, przecie prawdę mówię.

— To i mnie uszczęśliwia i cieszy — przemówił Bobcio, a w myśli dodał: tu psiakrew prędko pójdzie; dziewczynie ledwie się co nie dzieje, jak mnie widzi.

Spostrzegłszy broszkę, wpiętą do kołnierza przy staniku Zosi, zawołał:

— I nie dziw, panno Zofio, że sympatyzujemy ze sobą, o — nie widzieliśmy się od

soboty, a pani dziś ubrała się w szmaragdową broszkę i ja wziąłem szmaragdową szpilkę do krawatki.

Pani Strzałkowska zaśmiała się z tej uwagi.

— Ależ panie — zawołała Zosia — to turkusy!

— Taak? — rzekł Bobcio — być może, że turkusy, tak dawno uczyłem się mitologii i zapomniałem.

W salonie nastała głęboka cisza, pani Strzałkowska zadygotała, hamując wybuch śmiechu.

— Widzi mameczka — zawołała Zosia po chwili, wybuchając głośnym śmiechem — ja mówiłam, że pana Dziendzielińskiego potrzeba do nas koniecznie zaprosić...

— Była pani tak łaskawa pamiętać o mnie?

— Przecież niepodobna zapomnieć — odrzekła rozbawiona — trudno...

— Ach, tak — zawołał Bobcio z patosem: „Kochać nie wolno, zapomnieć trudno“, jak powiada Moniuszko.

Znowu śmiech, tym razem obydwu pań, rozległ się w salonie.

— Panie — zawołała Zosia — proszę pana, niech pan u nas zostanie na herbacie i na kolacyi.

— Zosiu! — rzekła pani Strzałkowska — co ty wyprawiasz?

— Ach, bo mameczko... i wybuch śmiechu nie pozwolił jej dokończyć rozpoczętego zdania.

— Czy pani przypadkiem znowu spazmów nie dostaje? — zapytał Bobcio.

— O nie, nie! — wołała Zosia.

— A z czego pani w sobotę dostała tego ataku?

— Pewnie ze zmartwienia — uprzedziła pani Strzałkowska córkę w odpowiedzi.

— Ze zmartwienia?! — rzekł zdziwiony Bobcio; — ale proszę pani, o co się martwić? Koń ma wielki łeb, to niech się martwi, ale pani... I zrobił minę bardzo lekceważącą dla tych zmartwień.

Nowy atak śmiechu wstrząsnął obiema paniami.

— No widzi mameczka, że...

— Ależ Zosiu, prze...

— Naprawdę — rzekł Bobcio — że ten homerowy śmiech znowu na spazmy zakrawa.

Panie nie mogły przyjść do słowa.

— No jakże — odezwała się po dłuższej chwili Zosia — zostanie pan u nas na herbacie i...

— Ależ Zosiu! zatrzymujesz, a panu Dzieńdzielińskiemu może się spieszy; pan przyjechał do ojca kupić owies i karego konia — rzekła pani Strzałkowska.

— To cóż to szkodzi, mameczko, interes interesem, a ubawimy się, jak nigdy. I skierowała pusta dziewczyna na Bobcia takie zalotne wejrzenie, które przebiegło go od pięt aż do czupryny, jak prąd elektryczny.

— Trzeba się psiakrew z punktu oświadczyć — pomyślał sobie, a głośno rzekł:

— Ja bo jestem na rozkazy pani!

— No widzi mameczka, jaki dobry pan Dzieńdzieliński, pan zadeklamuje nam coś z Kopernika...

— Albo ze Siemiradzkiego — ciągnęła dalej rozbawiona dziewczyna, zalotnie spoglądając na uszczęśliwionego Bobcia.

Pani Strzałkowska była w istocie blizką ataku spazmatycznego.

— Bo mameczka nie chciała nam wierzyć... ani mnie... ani ojcu...

— Zosiu!... idź, każ podać herbatę!

— Moja mameczko — zawołała Zosia — niech mameczka sama tym razem to zrobi; ja tu zostanę, ja tak lubię mówić z panem Dzieńdzielińskim.

— Ależ moja Zosiu!...

— Moja mameczko!... Niech pan co deklamuje, panie Dziéndzieliński.

— Tak mi nic teraz na myśl nie przychodzi — rzekł Bobcio.

— No to, co w sobotę, o tych namiotach na piasku rozbitych... mameczka nie chciała wierzyć... jakże się to nazywa?...

— Hegar na puszczy! — odpowiedział Bobcio z powagą.

Pani Strzałkowska wybiegła z pokoju.

Zosia po chwili przyszedłszy do siebie, rzekła z przymileniem:

— No, panie Dziéndzieliński: Trzy razy księżyc odmienił się złoty...

Bobcio jednak popadł w zadumę, przypominał sobie wprawdzie nie Ojca zadżumionych, ale ojca z Psiej Wólki i jego polecenia, rozważał sytuacyę i analizował w myśli czułe i zalotne spojrzenia panny, jej chęć pozostania z nim sam na sam w salonie, jej zaproszenie, aby pozostał dłużej w ich domu i w końcu całą relacyę Mordka Leisenhafta.

— No, jakże panie Dziéndzieliński — rzekła Zosia jeszcze czulej, i siadając bliżej niego, spojrzała mu w oczy.

— Pani! — zawołał Bobcio, powstając

z miejsca. — Czy pani wie, po co właściwie ja tu przyjechałem?

— Wiem — odrzekła Zosia — po konia i po owies.

— I prócz tego — rzekł Bobcio — po serce pani, bo ja panią kocham, panno Zofio, nadewszystko, więcej, aniżeli świat cały!

Słowa te zastały Zosię zupełnie na nie nieprzygotowaną; w pierwszej chwili uczuła przykrość, a potem spojrzawszy w piękną twarz przyszłego właściciela Psiej Wólki i Wilczodołów, parsknęła śmiechem.

— Pani się śmieje?! — zawołał Dziendzieliński. I przykrość doznana odmalowała się w jego oczach.

— Ach panie, bo za późno pan się zgłosił — za późno! I wziąwszy go pod ramię, podprowadziła w jeden kąt salonu, gdzie wisiał mały, na blasze malowany portrecik Kościuszki.

— Widzi pan — rzekła wesoła dziewczyna — to mój narzeczony.

— Jakiś wojskowy — mruknął Bobcio bardzo niezadowolony i wpatrzył się w portret, jakby chciał dobrze zapamiętać rysy szczęśliwego rywala.

— Proszę państwa do herbaty — rzekł służący, kłaniając się we drzwiach salonu.

. . . .

Po herbacie, umówiwszy się z panem Strzałkowskim o cenę za konia i owies, popędził Dzieńdzieliński do Rzędzin wedle ojcowskiej dyspozycyi, a około północy był z powrotem w Psiej Wólce.

— No cóż?... no jakże?... pytali niecierpliwie rodzice.

— Oświadczyłem się — rzekł z niesmakiem Bobcio.

— I cóż, przyjęli cię... z radością... ha?!

— A przyjęli, — ale w Rzędzinach.

— Taak?... w Rzędzinach?... no, a Strzałkowska?

Ii... — rzekł Bobcio — przepada za mną, ale cóż z tego, kiedy już zaręczona.

— Z kim?! — zawołała pani Marcyanna, zainteresowana do najwyższego stopnia.

— Bo ja wiem — odpowiedział Bobcio — z jakimś wojskowym; stary, z zadartym nosem, wygolony, jak nasz proboszcz, ani się umył do mnie.

— Myślę! — zawołała matka — a szkoda!

— Pewnie, że szkoda — dorzucił Bobcio.

— Zatem Kolasińska... niechże będzie i Kolasińska! Koniec lipca na karku — zakonkludował pan Kalasanty!

III.

Księżyc wypłynął wysoko na modre, pogodne niebo; bzy i jaśminy, rozkwitłe koło dworu w Psiej Wólce, napełniały powietrze rozkoszną wonią, mały strumyk, snujący się popod tarasy ogrodowe ze szmerem toczył swe wody, w stawach i mokradłach rehotały wesoło żaby, wśród zielonej runi zbóż odzywały się od czasu do czasu derkacze, a w leszczynie za dworem słowik wyspiewywał kochance miłośne trele.

I było coś niepojętego w całej przyrodzie, jakaś rozkosz niewysłowiona i nieogarnięta, jakieś życie młode, pełne czarów i miłości, wyrażającej się przecudną harmonią barw i tonów.

Przed dworską stodołą na złożonych belkach siedziała Hanka Rzepielonka, wpatrzona w niebo i księżyc. Jej modre oczy biegły po dalekiem nieznanem przestworzu, poza którem miało być niebo i wieczny spokój i szczęście wieczne.

Bobcio Dzieńdzieliński przechadzał się wokoło gazonu, paląc papierosa; potem poszedł ku stajniom, a od stajen ku stodole.

— Cóż ty tu robisz, Hanka? — zagadnął Bobcio, spostrzegłszy ją siedzącą.

— Siedzę panicu i dumam — odrzekła.

— A o czem?

— O cem, bo ja wiem, chyba ze o tem niebie, co hajn nad nami.

— Cóżeś taka smutna?

— A cegosbym się weseliła... mało to mam załości?

— O co?

— O co?... na co mnie pytacie panicu, kiej dobze wiecie... I ukryła twarz w obu dłoniach.

— Ot — rzekł Bobcio, siadając przy niej — nie bądź ty głupia dziewczyno, przecież to być nie może.

— Ha, taze ja wiem, ze nie moze, a i tak serce boli i załość dusę źre, kieby pies! Cóze ja temu winna, ze wy panicu kochanie moje!... Kiej was stracę, to ślepota padnie na moje młode ocy i słonko dla mnie zagaśnie i ten miesiącek świecić juz nie bedzie.

— Hanuś! dajno psiakrew pokój — przemówił tkliwie Bobcio, tuląc dziewczynę do

swojej piersi. Ona podniosła jego rękę do ust, złożyła na niej gorący pocałunek, a potem oparłszy głowę na jego kolanach, objęła go za szyję, wpatrując się w jego oczy.

— Panicu... panicu mój jedyny!... Ja na kraj świata posłabym za wami! Cemuz to tak jest na świecie, ze ja wasą być nie mogę, a wy nie mozecie być moim na zawse!

— Nie myśl o tem — rzekł Bobcio — co być nie może, to nie może: widzisz: urodzenie, majątek...

— A dyć ja wasego majątku nie poządam! Och, zeby wy byli chłopski syn, a bidny taki, jak ja bidna, a taki sirota, jak ja sirota, mój Ty Boze mocny!...

I westchnęła Hanka Rzepielonka tak jakoś smutnie i żałośnie, że aż łzy stoczyły się po jagodach, takie dwie łzy duże i jasne, świecące w srebrnych promieniach księżyca tysiącem złamanych własnych promieni.

Nastała długa chwila milczenia i cisza była wokoło; tylko słowik rozkochany przerwał ją śpiewem w leszczynie, wołając: tuli, tuli... tul, tul, tul!... a potem: tioch, tioch, tioch, tioch! tioch, tioch!

. . . .

— Cicho, Hanuś, cicho! — przemówił znowu piękny Bobcio. Ja się ożenię, bo muszę, ale ty zostaniesz u mnie.

— O, nie — odrzekła — nie ostanę, cóżby mi potem było, załość tylko większa i nic więcej! Nie ostanę panicu, ten świat Bozy taki syroki, taki pzestrony i taki pusty, kieby urocysko jakie zapadłe — dodała z ogromnym żalem.

— Ot pójdę we świat, panicu, bo i jakze, nie mam nikogo sirota; chsesna matka zeźlili się na mnie i pedzieli mi wcora, zebym się do ich chałupy nawet nie nawracała bez to nieboze, co się na jesień ma urodzić.

— Ej, cobyś sobie z tego robiła — rzekł Bobcio, garnąc ją bliżej do siebie — ja cię wyposażę, wydam za mąż...

— Nie kcę; nie kcę od was zadnego wyposazenio... was, tobym kciała, jako zyćbym kciała na tym świecie białym, ale od was niczego nie ządam! Nie dacie mi serca wasego, i siebie mi nie dacie na wieki, to na co mi co inse!

— Siebie ci nie oddam, bo nie mogę, pomyśl sama, jakby to było.

— A wiecie, panicu, jakby było? Ja, to-

bym was sanowała i miłowała, tak okrutnie miłowała bez całe zycie, aze do śmierci.

I zacisnęła splecione ręce naokoło jego szyi i gorącymi jak piekło pocałunkami okryła gorejącą twarz pięknego młodzieńca.

— Tioch, tioch... tioch, tioch — zaśpiewał znowu słowik w leszczynie.

— Panicu — szepnęła po chwili — majątek macie i mieć będziecie; ale cy takie kochanie znajdziecie na świecie, jak moje, to nie wiem. Mnie się zdaje, ze jabym wam dusę moją oddała... i taki oddałam juz... bo mi ksiądz probosc rozgzysynia nie dali i pedzieli, ze pókil się od was nie odcepię, to ni mam po co do kościoła zaglądać... Oni se tak godają, bo nie wiedzą, co to kochanie! O Jezu mój! jakze się odcepić? Kiej se pomyślę, ze juz niedługo tza odedrać serce od was, panicu, to załość mnie mrocy taka, jak śmierć strasecna!

— Hanuś! — rzekł Bobcio — posłuchaj mnie, a dobrze na tem wyjdziesz; idź zamąż, za Jaśka, dam wam ze dwa morgi pod górą, krasą z cielęciem, sto reńskich na budynek i będziesz miała psiakrew jak w raju!

— Nawet mi nie gadajcie, panicu ni ocem! Nie kcę wasej ziemi, ni krasej, ni Jaśka, ni

budynku... nic, nic, nic nie kcę. Pójdę we świat syroki i pzepadne kaj na wieki. Zeby to gzych nie był, jak ksiądz probosc na kozaniu godali, tobym posła niedalecko, hajn do stawu; zielona tam woda a głęboka, panicu, głęboka!...

— Hanuś!

— Bo Pan Jezus nie dał mi nijakiej doli na ziemi, ni scęścio ni tylo!

— Hanuś! — powtórzył Bobcio.

— Panicu! ukochanie moje! nie gadajcie mi więcej o zadnym Jaśku!

— Hanuś ty moja! — szepnął ciszej młodzieniec i jął okrywać jej twarz namiętnymi pocałunkami.

Księżyc płynął po modrem, pogodnem niebie, bzy i jaśminy wonialy, świat cały dyszał miłością i rozkosznem upojeniem!

Drzwi od stodoły cicho zaskrzypnęły. Bobcio, pociągając za sobą rozkochaną dziewczynę, piękną, jak to słonko poranne, które niebawem już miało jasnem okiem ogarnąć ziemię, zniknął razem z Hanką w czarnej czeluści.

I cichość nastała wielka, tylko po chwili przerwał ją słowik, wołając w leszczynie: tioch, tioch, tioch... tul, tul...

. . . .

Przy rannych obrokach stał Bobcio w przeorynie przy swoim złotogniadym i klepał go po karku.

Jasiek z zadartym nosem i miną skończonego gapia wycierał słomą karego, przerywając milczenie od czasu do czasu okrzykiem: „stois!“

— Jasiek! — odezwał się Bobcio.

— Słuchom!

— Czemu ty się nie żenisz?

— Jo... e... a po co mi baby, prosę panica, na te dwaścia ötyry ryńskie na rok.

— Głupiś, żebyś się chciał porządnie psiakrew ożenić — rzekł Bobcio — to wziąłbyś posag, jak się patrzy i już!

— A kaj to sukać pozomnej zyniacki — odrzekł Jasiek — kej prose panica naokolusieńko sama bidota. U gospodoza, jak się trefi dwa morgi gruntu, to mo na to dwóch abo trzech chłopoków i ze ötyry dzieuchy, abo i więcy.

— No widzisz — odezwał się znowu młody Dzieńdzieliński — a ja ci wymyślę taką żeniaczkę, że weźmiesz babę młodą, ładną, dwa morgi gruntu, krowę z cielęciem i pieniądze na budynek.

— E, panicu, jak tak, tobym jesce dziś poseł na pocize do księdza.

— No to idź; ja ci dam dwa morgi pod górą, sto reńskich na budynek i krasą z cielęciem, a ty się żeń z Hanką.

— Z Zepielonką? — zapytał Jasiek.

— A z którąże myślisz? Z Rzepielonką — rzekł Bobcio — i już.

— A panic zapisaliby ten gront u mentarusa.

— Oczywiście — odpowiedział młodzian — nie jabym zapisał, ale ojciec, z którym zaraz o tem pogadam, jeżeli ty się zgodzisz.

— Jak bedzie u mentarusa zapisane, pseprosom panica — rzekł, kłaniając się rozradowany Jasiek — to Hankę biorę chociaj dziś, tak, jak jest, a na niej, pseprosom panica, juz tyla wiela, ale znać.

— E, co ci to szkodzi.

— A juści!

— Więc zgadzasz się? — zapytał Bobcio.

— No juści, zgodzom; ale, z pseproseniem, zapis u mentarusa.

— Bądź spokojny — odpowiedział Bobcio — idę i pomówię z ojcem o tym zapisie.

Z temi słowami wyszedł ze stajni.

Jasiek czuł się bardzo uszczęśliwiony; za-

wsze pragnął mieć kawałek ziemi — mórg, choćby pół morga — a tu trafia mu się sposobność dostania dwóch morgów i jeszcze w dodatku całej setki na postawienie budynku. Radością pierś mu wezbrała: w stajni było mu teraz za ciasno i duszno. Wyszedł na próg i przed progiem ujrzał Hankę, niosącą skopczyk mleka dla pani Marcyanny.

— Hanuś! — krzyknął wesoło, wyszczerzając do niej zęby, jak młody źróbek. — Hanuś! słysys, pójdziewa na pocize!

— Idze, nie sełbyś to? — zawołała Hanka.

— No, co se myślis — rzekł Jasiek — pójdziewa i juz; jo mom dostać za tobą dwa morgi gruntu pod górą, sto ryńskich i krasą z cielęciem.

— A to se zmów krasą i idź z niom na pocize — odburknęła Hanka i odeszła ku dworowi.

— Dzis! jako cholera honorna — zawołał za odchodzącą, a wszedłszy napowrót do stajni, począł jakby ze złości polerować żelaza przy kantarkach.

— Hm... bida — monologował przy tej robocie, spluwając przez zęby — gotówem bez tę psiąkrew tego grontu nie dostać... a juści! O, pockoj, zebym ci mioł gnaty po-

łomać, to i tak musis ze mną pójść na pocize i do ślubu!

W kancelaryi pana Kalasantego Bobcio tymczasem prowadził z ojcem ożywioną rozmowę.

— Ty cymbał jesteś! Zawsze musisz coś zmalować — wołał zaperzony pan Dzieńdzieliński.

— No przecież nie cuda — tłomaczył się Bobcio.

— Nie cuda; pewnie, że nie cuda, cymbale jakiś; ale tu długów co niemiara, tu koniec lipca na karku, a tu daj dwa morgi, najlepszą krowę z cielęciem i jeszcze sto guldenów w dodatku! Jak Boga kocham, tak ty masz kiepsko w głowie.

— Ale proszę ojca, przecie się weźmie posag...

— Wiesz ty, ile już dziur czeka na ten twój posag, co? — zawołał zaperzony pan Kalasanty. — Przyrzeka cymbał wynagrodzenia, jak jaki magnat.

I począł pan Kalasanty srodze rozgniewany chodzić szerokimi krokami po swej kancelaryi.

— W zeszłym roku — odezwał się nieśmiało Bobcio — to ojciec dał nawet półtrze-

cia morga za folwarkiem Magdzie Siekierczance.

— Ha? Siekierczance? — rzekł papa Kalasanty, mocno zalterowany. — A ty znowu skąd wiesz o tem? Przecież kupiła ten grunt.

— Aha, kupiła... wszyscy wiedzą, czem zapłaciła za niego — rzekł Bobcio nieco śmielej.

Papa Kalasanty stał jak piorunem rażony; po dłuższej dopiero chwili, przyszedłszy nieco do siebie, odezwał się zniżonym głosem łagodnie:

— To Bobciu jakoś tak trzeba z tą Magdą, żeby, broń Boże, matka się nie dowiedziała. Byłożby to dopiero, było... strach pomyśleć! Słuchaj, gdyby jej kto przypadkiem wypaplał, ma się rozumieć całkiem niepotrzebnie, no to tego... to się powie, że to niby twoja sprawka... ha?

— To dobrze — odrzekł Bobcio.

— Co się zaś tyczy Hanki — mówił ojciec — no to ja już się sam z nią ułożę i potarguję.

Pan Kalasanty popołudniu wyprawił Bobcia do Wilczodołów, odbył konferencyę z panią Marcyanną z Kokoszyńskich Dzieńdzielińską, której opowiedział na ucho o wszyst-

kich popełnionych i niepopełnionych grzechach jedynaka.

Zaasekurowawszy się tym sposobem od wszelkiego wypadku, zadowolony i zupełnie bezpieczny, pan Kalasanty przywołał Hankę do swego pokoju.

— Słuchaj — rzekł do niej — ja wiem o wszystkiem; niepotrzebnie wdawałaś się z paniczem.

Dziewczyna spuściła oczy ku ziemi.

— No, no, panicz się przyznał — ciągnął dalej pan Kalasanty — a że teraz niby się żeni, chce ci jakoś to wynagrodzić, że to niby przez niego... no powiedz, cobyś żądała? Tylko dwa morgi i krowa jeszcze z cielęciem i sto reńskich, to za dużo... tyle, to se ani nie myśl.

— Ja nijakiej wynagrody nie kcę — odrzekła, kłaniając się do ziemi — ani gruntu, ani krowy, ani pieniędzy, ja nic nie kcę!

— No, a jakże? Przecie choć co?...

— Nic nie żądam, nic nie kcę!

— Hm... to dziwne — rzekł pan Kalasanty — ale to tak być nie może... no to weźże już te dwa morgi od Walkowego.

— Nie wezmę, nie kcę — odpowiedziała, potrząsając głową.

— Mówił mi panicz, że Jasiek się chce z tobą żenić.

— Ale ja nie kcę... to panie sobie tak umyślili... ja nic nie kcę. I zasłoniwszy załzawione oczy rękawem od koszuli, wyszła z pokoju, pozostawiając w zdumieniu pana Kalasantego.

Przygotowany był na to, że się będzie targował i użyje całej swej powagi w tym celu, aby dać jak najmniej, gdy tymczasem ta wiejska dziewczyna z niezrozumiałych dla pana Kalasantego powodów nie chciała przyjąć dwóch morgów gruntu, które on jej sam ofiarowywał, i nic nie chciała i żadnej sobie nie rościła pretensyi.

— Hm... to bardzo dziwne, to coś nadzwyczajnego — mówił do siebie pan Kalasanty, a przypomniawszy sobie Magdę i układy z nią o wynagrodzenie, dodał z pewnym odcieniem żalu: hej, hej! i między nimi są ludzie i ludziska!

. . . .

Wieczorem przybyli państwo Kolasińscy z córką do Psiej Wólki. Dwa domy z okazyi blizkiego już połączenia się Bobcia Dzieńdzielińskiego ze Stasią Kolasińską, porozu-

miewały się ze sobą co do programu uroczystości weselnej.

Matki razem z oblubienicą omawiały kwestyę wyprawy i sukni ślubnej dla panny młodej, Bobcio siedział na boku nieswój i zamyślony, a pan Kalasanty z panem Antonim żywą prowadził rozmowę, podczas której nie chcąc natrącił coś zdaleka o sprawie posagowej i spostrzegł, iż kochany sąsiad nierad byłby nad tym przedmiotem się zatrzymać.

To niemile dotknęło pana Kalasantego; zaczął więc zajeżdżać sąsiada to z tej, to z owej strony, a pan Antoni pod krzyżowym ogniem wywijał się na wszystkie strony; wreszcie sprytnie wymknął się z matni tak, że pan Kalasanty pozostał zaniepokojony i niczego się nie dowiedział.

W czasie pobytu państwa Kolasińskich, Hanka kilkakrotnie wchodziła do pokoju i za każdym razem dziwnym, jakby przerażonym wzrokiem, patrzyła na Stasię, która znowu czule wpatrywała się w pięknego młodziana, z upragnieniem wzdychając do ślubu. Trzy tygodnie dzieliły ją jeszcze od niego!

Około północy państwo Kolasińscy wyjechali, a pan Kalasanty, wyprowadziwszy ich do powozu, wrócił zły i chmurny.

— Wiesz ty matka — rzekł do pani Marcyanny — co spostrzegłem, że ten stary wyga coś kręci; on mi się teraz wcale nie podoba; zagadywałem go o ten posag i tak i siak, a on szelma wykręcał się jak piskorz i ani du du!

— Ou... to niedobrze — rzekła matka — co do tego, trzeba się koniecznie upewnić.

— Oczywiście!

— A wie ojciec, coby było najlepiej? — zawołał Bobcio.

— No co?

— Jakby to odemnie zależało — rzekł Bobcio — puściłbym Kolasińskich w trąbę, a sam ożeniłbym się!

— Z kim? — zapytała pani Marcyanna.

— A z Hanką Rzepielonką — odpowiedział młodzian.

— O Matko Przenajświętsza! — jęknęła przerażona Dzieńdzielińska, załamując ręce.

— Jak Boga kocham — rzekł z przekonaniem pan Kalasanty — że ten chłopiec ma kiepsko w głowie!

— A co — rzekł Bobcio — co to gadać; drugiej takiej, coby mnie psiakrew tak kochała, jak ona, to dalibóg na całym świecie

nie znajdę, a to, że chłopianka, furda, dyabli mi o to!

— Waryat, jak Boga kocham, skończony waryat — wołał papa Kalasanty, uderzając się dłonią po czole.

— Bobciu! zlituj się — jęczała matka — co ty wygadujesz? Szlachcic, obywatel, młody chłopiec, cudny, jak nie wiem co, i wykształcony, z wiejską dziewką?... Nie, to okropność!... Utopiłabym się, nie przeżyłabym!

— Słuchaj cymbale — krzyknął ojciec — koniec lipca na karku; jeśli będziesz pstro miał we łbie, Psią Wólkę i Wilczodoły dyabli wezmą, rozumiesz? Przeszło dziewięć tysięcy guldenów w Towarzystwie kredytowem do zapłacenia, a żydowskie długi, a Skrobaczyński ze swoją pretensyą... najgorszy ten Skrobaczyński!

— Ba — odezwał się Bobcio — a jeśli Kolasiński posagu nie da, to co nam pomoże to stare pruchno! Jeśli nie ma dać posagu, tobym dalibóg wołał Hankę, jak tę psiakrew miłą Stasiunię ze szparkowatemi oczyma i już.

— Bobeczku, zabijesz mnie! — wołała pani Marcyanna — samem takiem gadaniem zabijesz mnie!...

— Już co do Kolasińskiego, to mu się okpić

nie dam — rzekł pan Kalasanty. — Trzy tygodnie czasu, od jutra ostro się do niego zabiorę, a ty cymbale nie pleć, jak Piekarski na mękach: nie zapominaj, że jesteś obywatelem — jak to pięknie mówi rejent ze Zabłocic — przygotowanym do spełnienia kulturalnych i społecznych zadań!

— Ii... co mi z tego, co rejent mówi.

— Bobeczku! — jęknęła matka — miej Boga w sercu!

Ten ostatni okrzyk macierzyńskiej boleści zamknął rozmowę państwa Dzieńdzielińskich.

Pan Kalasanty długo nie mógł usnąć, przewracał się po łóżku, a niepokój go dręczył. pani Marcyanna miała sny straszne, widziała jakby na jawie ślub Bobcia z Hanką, rozpacz rozdzierała jej serce, rzuciła się do stawu i woda chłodna i gęsta oślizła mada wtłaczała się jej do ust i gardła, dusiła się okropnie.

Jeden Bobcio spał snem sprawiedliwego.

A nad światem cichym i uśpionym płynął znowu srebrny księżyc po niebie i znowu słowik tulitiochał miłośnie w leszczynie.

W ogrodzie pod drzewem siedziała Hanka, zapatrzona w księżycowe blaski, a z jej

modrych oczu staczały się na jagody łzy duże, przejrzyste i bolesne, a takie ciche, jako ten księżyc płynący po modrej, bezmiernej przestrzeni.

IV.

Mimo stanowczej zapowiedzi właściciela Psiej Wólki i Wilczodołów, że się ostro zabierze do pana Kolasińskiego, nie mógł się pan Kalasanty nic pewnego dowiedzieć.

Był zły, zgryziony i niepewny, musiał poprzestawać na tem, co przed kilku miesiącami słyszał z ust właściciela Rzędzin, że na razie da jedynaczce w posagu piętnaście tysięcy.

Tak mówił wówczas pan Antoni i to właśnie skłoniło pana Kalasantego do wyprawienia syna w konkury do podstarzałej panny.

Oczywiście pan Kalasanty przedtem sekretnie przejrzał hipotekę rzędzińską. Z początku przeraził się, bo była okrutnie zachlastana; ale potem, gdy przy pomocy Mordka Leisenhafta wybadał położenie pana Kolasińskiego, uspokoił się zupełnie. Wedle relacyi tajnego posła, Kolasiński miał mieć kilkanaście tysięcy w papierach wartościowych.

Po zaręczynach i zapowiedziach pragnął pan Kalasanty pomówić w tej materyi. Nie

chcąc o nią potrącił, a dwuznaczne zachowanie się pana Antoniego grubo go zaniepokoiło i niepokój wzrastał z dnia na dzień.

Jakoś tak wprost wyjechać z żądaniem zapewnienia posagu nie śmiał, bo znowu bał się narazić syna na utratę dobrej partyi, a kołując, niczego dowiedzieć się nie mógł, bo pan Antoni kuty na cztery nogi, umiał z miejsca zawrócić i zawsze wykręcić się sianem.

Pan Kalasanty był w Rzędzinach kilka razy i do Zabłocic jeździł sam i z Mordkiem, zbierał jednak tylko przyjemne pogłoski i miał nadzieję, ale pewności nie miał, a tej pragnął koniecznie wobec tego, iż pan Antoni tak się jakoś trzymał w rezerwie.

Po dwóch tygodniach daremnych usiłowań i zabiegów postanowił wreszcie pan Kalasanty odłożyć wszelkie skrupuły i wprost nacisnąć pana Antoniego, aby go zapewnił z wypłatą posagu.

Pojechał do Rzędzin; ale nieszczęście chciało, że państwa Kolasińskich nie zastał w domu; wyjechali do Krakowa po sprawunki.

Zostawiwszy bilet w kancelaryi pana Antoniego, zapraszający go w pilnej sprawie do Psiej Wólki — powrócił znowu z niczem do domu.

Dzień po dniu mijał, pan Antoni nie przyjeżdżał, a pan Kalasanty marł z obawy i niepokoju. Nareszcie w wigilią wigilii ślubu Bobcia ze Stasią, zaturkotał na dziedzińcu przed dworem w Psiej Wólce wózek pana Kolasińskiego.

Pan Kalasanty wybiegł na jego spotkanie.

— Cóż to za sprawa? — zapytał wszedłszy pan Antoni do pokoju.

— Zaraz pomówimy, panie sąsiedzie! — Marcysiu! każże dać butelczynę, z tych od kąta, wiesz, z pod spiżarni, zielonym lakiem pieczętowanych!

Zanim wniesiono omszałą butelkę i kieliszki, pan Kalasanty traktował właściciela Rzędzin cygarami i mówił to o tem, to o owem, tylko nie o posagu, nie chcąc poruszać tej kwestyi przedtem, zanim sąsiad uczuje błogie ciepło po jednym kieliszku stuletniego węgrzyna.

Wniesiono butelczynę, zielonym lakiem zapieczętowaną i mchem porosłą; pan Kalasanty sam odkorkował i nalawszy pokaźnych rozmiarów kieliszki, rzekł: Panie sąsiedzie, na szczęście naszych dzieci!

— Fiu... fiu! — zawołał po chwili pan Antoni — na królewski stół takie wino!

— Z wesela mego dziadka nieboszczyka zostało.

— Ale bije w czuprynę, jak pałką!

— Ba, ba — odparł pan Kalasanty — w pierwszej chwili, potem nie uderza... coś to miałem mówić... aha — rzekł, udając, że sobie przypomina — prawda o sprawie. Otóż tego... mieszkanie dla naszych dzieci w Wilczodołach już wyporządzone.

— A to dobrze — odpowiedział pan Antoni — bo właśnie jutro przywiozą meble; kazałem Wojciechowi, aby je z kolei wiózł prosto do Wilczodołów.

— No tak, tak. Jedno zatem jużby było — ciągnął dalej pan Kalasanty, napełniając po raz drugi kieliszki.

— Panie sąsiedzie, zdrowie naszych dzieci!... Ale widzi pan sąsiad, jest i druga kwestya bardzo ważna.

— Cóż takiego?

— Jak panu wiadomo, ja odstępuję synowi Wilczodoły, a sobie do śmierci zatrzymuję Psią Wólkę.

— Tak, tak.

— Tylko że na uporządkowanie tych spraw hipotecznych, bo jest trochę długów — nie wiele, nie wiele, ale jest; no w każdym razie

widzi pan sąsiad, że to... tego — zaczął się mięszać pan Kalasanty — bo to tak chciałbym, aby mieli Wilczodoły oczyszczone.

— No pewnie, pewnie — przytakiwał pan Antoni, rzucając niespokojne spojrzenia.

— To też to właśnie w tej materyi chciałem się z panem poradzić.

— A dobrze, dobrze — rzekł pan Antoni, popijając wino. — A ma pan sąsiad wyciąg hipoteczny z Wilczodołów?

— Nie, nie mam — odrzekł pan Kalasanty.

— To i jakże radzić bez tego? Widzi sąsiad jest rzecz taka — mówił pan Antoni — kilka tygodni temu przyjechał do mnie pan Władysław Fidrygalski... ten... no, pan sąsiad go zna..., no, no ten kuzyn mojej żony z Wądolina, jej stryjeczny, co to ożeniony z młodszą Rembalińską, no z tą, jakże się nazywa — z Marcelką — otóż on także mnie się radził...

— Za pozwoleniem — rzekł pan Kalasanty, widząc, że pan Antoni znowu się chce wymknąć. — Za pozwoleniem, bo tu nie tyle idzie o radę, ile o posag panny Stanisławy!

Kolasiński, przyparty do muru, wiedział, że teraz już się nie wymknie; Kalasanty, wykrztusiwszy ostatnie zdanie, czuł, że naresz-

cie dowie się, jak rzeczy stoją i był zadowolony z rozwiązania niepewnej i grubo niebezpiecznej zagadki.

— O posag?... — zapytał pan Antoni przeciągle i słodko.

— Uhm... — odpowiedział pan Kalasanty.

— Hm!?...

— Hm... hm!...

— To jest... e... tak panie sąsiedzie — rzekł Kolasiński — prawdę mówiąc, to ja nie dam za córką żadnego posagu...

— Ha?...

— Bo nic nie mam. Rzędziny lada dzień pójdą na bęben; długów co niemiara, cztery raty bankowe niezapłacone, a piąta tuż, tuż...

— Bagatela! — zakrzyknął pan Kalasanty i chciał powstać z fotelu.

— Ale czekajno sąsiedzie — rzekł pan Antoni, przytrzymując go za rękaw — bo to jeszcze nie koniec.

— Bagatela! — powtórzył Kalasanty — jeszcze coś lepszego się dowiem!

— Właśnie, tylko powoli! Ou... jakiż-bo to gorączka z kochanego sąsiada — cedził pan Antoni. — To, że ja na włosku wiszę, to nic nie znaczy, mam przecie księdza w rodzie...

— Ee! — przerwał Kalasanty i machnął ręką.

— No nie „ee“, bo mój brat, prałat przy kapitule krakowskiej, ks. Stanisław Kolasiński, chrzestny ojciec mojej Stasi, da jej w posagu piętnaście tysięcy.

— Czy tylko pewnie? — zapytał Kalasanty, spoglądając niedowierzająco na właściciela Rzędzin.

— Masz tobie! — rzekł pan Antoni — jak mówię, że da, to da!

— Ba, kiedy-bo to bardzo ślizka historya — zauważył pan Kalasanty.

— Ależ...

— Nuż się prałat rozmyśli, bo to ludzie bezżenni mają swoje szusy...

— E! Taki-bo to sąsiad niewierny! Przyjedzie — rzekł dobitnie pan Antoni — brat mój, prałat, do Rzędzin, dać ślub Stasi i zaraz po ślubie, zamiast krzyżma, którego nie dał wtedy, bo nie miał, będąc jeszcze klerykiem, da jej teraz posag!

— Hm — mruknął pan Kalasanty — ma dać piętnaście tysięcy, tak?

— No tak — odpowiedział Antoni.

— A... a jak nie da?

— Kiedy-bo pan sąsiad ciągle jedno i to samo.

— Bo to nie żarty, panie sąsiedzie — rzekł

pan Kalasanty — u mnie pięć rat towarzystwa kredytowego zalega...

— Bagatela! — zawołał pan Antoni, chcąc powstać z fotelu.

— To jeszcze nie koniec — rzekł Kalasanty, przytrzymując sąsiada za rękaw.

— Bagatela! — powtórzył pan Kolasiński.

— Jeszcze kilku żydów — ciągnął Kalasanty — i najgorszy Skrobaczyński. Otóż, widzi sąsiad, kiedy nasze rody łączą się ze sobą, potrzeba koniecznie pewności, że ten prałat nie skrewi, bo jakby skrewił, to nasze dzieci bez chleba!

— No, no, piękna historya — mówił pan Antoni — inaczej sobie wyobrażałem pańskie stosunki! Wprawdzie muszę się przyznać, że badałem hipotekę Psiej Wólki i Wilczodołów i przeraziłem się nią, bo okrutnie była zachlastana, ale mój Icek Pfefferhaut przyniósł mi wiadomość, że pan sąsiad ma jakąś znaczniejszą gotóweczkę. Inaczej nie byłbym wchodził w interes. No, przepadło — dodał po chwili — zapowiedzi wyszły, goście zaproszeni, byłaby kompromitacya, . o prałata może być pan sąsiad spokojny, tak, jak ja jestem spokojny. Byliśmy w Krakowie, wczo-

raj dopiero wróciliśmy stamtąd; dał dla Stasi trzy tysiące na wyprawę...

— Może z tych piętnastu?...

— Ależ nie! Osobno! Dał jej srebra na dwanaście osób i brylantowy garnitur, i przyrzekł zaraz po powrocie z kościoła wypłacić piętnaście tysięcy — dodał z naciskiem. Nie ma się o co obawiać, przyrzekł i dotrzyma, ja go znam!

— Pojutrze wesele naszych dzieci — rzekł pan Kalasanty — a jeszcze wszystko wisi w powietrzu. Niechże pan sąsiad dopilnuje prałata, bo jeśli on zawiedzie, to, jak Boga kocham, nie wiem, co będzie!

— Bądźże pan sąsiad spokojny — zapewniał pan Antoni — przecie tu idzie nietylko o waszego syna, ale o szczęście i spokój mego jedynego dziecka!

Pan Kalasanty tą ostatnią apostrofą znacznie się uspokoił, w pokoju zjawiła się pani Dzieńdzielińska, która skończyła przyrządzanie na wesele pasztetów i majonezów, i przybył Bobcio, pod którego nadzorem na dziedzińcu przed stajniami odlakierowywano kocz i karetę.

Bobcio i pani Marcyanna powiadomieni o sprawie posagowej, byli z wiadomości tych

bardzo niezadowoleni: Bobcio czuł niepokój i jakiś dziwny, nieokreślony, a jednak bardzo głęboki żal do Stasi.

Kilka razy spojrzał na przechodzącą Hankę i pomyślał sobie: czemu ona psiakrew nie jest córką Kolasińskiego; czy prałat dałby posag, czy nie, a takibym się z nią ożenił!

Późnym wieczorem pan Kolasiński odjechał; Kalasanty chodził po pokoju, mrucząc coś do siebie pod nosem; pani Marcyanna przymierzała przed lustrem fioletową jedwabną suknię i ubiorek, a Bobcio siedział skwaszony i zadumany na kanapie.

— Mówię ojcu — odezwał się po chwili — że nas kiwną z tym prałatem i już!

— Eh, chybaby sumienia nie mieli — rzekła pani Marcyanna.

— Nie będzie ślubu, póki nie będzie pewności, że pieniądze są — rzekł pan Kalasanty. — Co tam kompromitacya, koniec lipca na karku, to gorsze, jak kompromitacya!

— A jabym na to jeszcze inaczej poradził — rzekł Bobcio.

— No, cóżbyś zrobił? — zapytał Kalasanty, stając przed synem.

— A co — odrzekł Bobcio — sprzedałbym Wilczodoły, i tak psiakrew, nie wiele

warte, z Psiej Wólki wyprzedałbym wszystkie grunta te z dalsza, bliższych zostałoby ze sto pięćdziesiąt morgów na czysto, Kolasińskich puściłbym w trąbę razem z ich prałatem, a ja ożeniłbym się z Hanką i już!

— Jak Boga kocham, zwaryował! — krzyknął pan Kalasanty.

— Bobciu! — jęknęła pani Marcyanna — co się tobie stało!? Przemienienie Pańskie! Tyś naprawdę oszalał! Popatrzcie się, taki cudny chłopiec, jak nie wiem co, dobrze urodzony i wychowany, taki wykształcony...

— Zwaryował, nic innego! — zawołał ojciec — i już dlatego samego radbym, aby się to raz skończyło, byleby ten prałat nie skrewił, byleby dał tych piętnaście tysięcy!

— A ja powiadam ojcu, że nie da ani piętnastu centów — rzekł Bobcio — i wybiegł z pokoju.

. . . .

Za domem w ogrodzie spostrzegł Hankę, podbiegł ku niej, objął ją w pół i przycisnął do piersi.

— O panicu, wy juz nie mój; jesce dziś, jesce jutro i juz psepadnie moje kochanie.

— Hej, Hanka, Hanka — rzekł Bobcio ze szczerym żalem — jaka to psiakrew szkoda,

że ciebie pojąć nie mogę za żonę. Od tej nocy, w której pod stodołą mówiliśmy ze sobą, to czegoś taki żal mię rozbiera... im bliżej tego wesela, tem psiakrew jakoś gorzej...

— A kcieliście panicu wydać mnie za Jaśka, a jakbym ja mu była przysięgała, kiej ja was miłuję na wieki!

— A ja, to muszę psiakrew przysięgać Kolasińskiej, chociaż czuję, że ja ciebie Hanuś kocham!

— Panicu! — jęknęła dziewczyna — i tego mi nie godojcie, bo jak pójdę we świat, kaj mnie ocy poniosą, to i tej pociechy nie będę miała, ze wom bedzie dobze z tom paniom!

— Ii... będzie psiakrew dobrze; psubym takiego dobra nie życzył! A ty Hanka, ty nigdzie nie pójdziesz.

— O, pójdę, panicu, tu ostać nie mogę!

— Dlaczego?

— Spojrzyjcie ino hajn do góry... niebo i niebo... a tam Pan Jezus w niebie i strasecnie karałby nas za to, bo gzych... i tak gzych... i tak mnie samem tem kochaniem i zalem okrutnie pokarał, ale potem ino byłoby patseć, jakby zywy ogień z nieba nas prazył. Pójdę we świat, co wam po mnie,

nikiejbyście scęścio nie mieli: ta pani miałaby piekło z wami, a wy z niom!

— Hanuś moja! — rzekł młodzian, tuląc ją czule w swoich objęciach.

— A tak, panicu mój — szepnęła — chocia mi tak dobze pzy wos, jak w niebie, ustąpię się wam z drogi na wieki. Cy to bedzie dobze cy źle lo mnie — to la was bedzie lepiej.

I ciche westchnienie żałosne uleciało z jej piersi, w której uderzało proste, ale bez granic kochające serce!

— Hanuś — zawołał Bobcio, — jabym cię chciał mieć zawsze przy sobie, do śmierci!

— A jazbym to nie kciała, kiej nijak nie mozno. Och zeby wy panicu byli parobek ze wsi, sirota a bidny, jakbym ja tez Panu Jezusowi za to dziękowała!

I uśmiechnęła się słodko przez łzy, świecące w jej źrenicach, do tej myśli błogiej, do tego marzenia, w którem zamykało się całe i jedyne pojęcie jej szczęścia!

Gdyby Bobcio Dzieńdzieliński, ów — jak utrzymywała pani Marcyanna — dobrze urodzony i wykształcony młodzieniec, miał zdolność myślenia i zrozumienia serca i duszy tej młodej, pełnej powabów wiejskiej dziew-

czyny, byłby przynajmniej pojął, że ona przewyższa go rozumem i uczuciem o całe niebo, i że kochając go z całego serca — ona tylko może zapewnić mu prawdziwe szczęście na ziemi!

Obywatel jednak, przygotowany—jak się wyrażał złośliwie rejent ze Zabłocic — do spełnienia społecznych i kulturalnych zadań — czuł tylko odrazę do wychudzonej, zawiędłej i łysawej panny Kolasińskiej, z którą miał go ksiądz prałat piętnastu tysiącami połączyć na wieki.

Porównując mimowoli swoją przyszłą małżonkę z tą wiejską dziewczyną, którą natura przystroiła ogromną sumą wdzięków i powabów, z pobudek czysto zmysłowych uczuwał żal, że mienia jedną za drugą, że musi się wyrzec tej pięknej modrookiej Hanki, która go taką darzyła rozkoszą — dla tamtej, której jedynem i wyłącznym powabem był spodziewany posag!

Gdyby Bobcio był się żenił ze Zosią Strzałkowską, w takim razie oczywiście byłby bez żalu odepchnął od siebie Hankę, której zupełnie nie rozumiał, jako istoty myślącej i czującej; że jednak Zosia zabawiwszy się jego kosztem, odebrała mu z łatwo zrozu-

miałych przyczyn, wszelką ochotę do starania się o jej rękę — żałował Hanki i wołałby był z nią się ożenić, aniżeli z tą, z którą pojutrze miał już stanąć przed ołtarzem.

— Och dziękowałabym, dziękowała za to Panu Jezusowi bez całe życie — mówiła Hanka — i potem w niebie bez całą wiecność! A tak co, wy bogaty i panic dworski i dworska panna la was, a ja sirota bidna i opuscona. Dla was dostatków i uciechy i radości tyla; a lo mnie świat syroki i pusty i załości taka moc, taka okrutecna moc!

— Hanuś!...

— Hej panicu, zeby to ksiądz probosc byli na kazaniu nie godali, to tam hajn taka zielona woda we stawie, a głęboka panicu mój, — głęboka!

I przytuliła się zbolała do niego, jakby chciała ducha wyzionąć w jego uścisku.

— Tul, tul, tul — odezwał się słowik w leszczynie, a w tej chwili zeszedł księżyc i przez liście i gałęzie drzew przecedził tysiące jasnych promieni, którymi oświecił dwoje kochanków.

Oni stali jeszcze długo w niemej zadumie, potem rozeszli się w milczeniu; on ze

spuszczoną głową podążał ku dworowi; ona z oczyma wzniesionemi do nieba, szła przez ogrody pod krzyż przydrożny na swoją żałość uskarżyć się Bogu!

V.

W sobotę po południu okrutny był rwetes we dworze w Psiej Wólce, pan Kalasanty Dzieńdzieliński z miną skwaszoną stał na środku pokoju w żółtych safianowych butach, w amarantowym żupanie, okręcony słuckim pasem, w granatowym kontuszu z amarantowymi wylotami, przy karabeli w jaszczur oprawnej i na srebrnych rapciach powieszonej.

Ustawił na łysinie bobrowy kołpak z czaplem piórem i począł z trudem i mozołem wciskać w gołąbkowe rękawiczki swoje ogorzałe i do tego stroju nieprzywykłe ręce.

Do pokoju weszła pani Marcyanna w fioletowym ubiorku na głowie i w takiejże jedwabnej sukni.

— Jest tu Bobcio — zapytała, rozglądając się.

— Nie ma — odrzekł pan Kalasanty. — Żeby tylko ten prałat...

— Przecież przyjechał.

— Tak przyjechał, ale czy przywiózł, w tem sęk — rzekł pan Kalasanty, biedząc się nad zapięciem niedochodzącej rękawiczki.

— Uf!... ha!... masz!... nie zapnę — zawołał po chwili zniecierpliwiony: Marcysiu! może ty... i wyciągnął ku niej dłonią do góry odwróconą rękę.

Pani Marcyanna poczęła wciskać guziczek do dziurki rękawiczki, a tymczasem na dziedziniec zatoczyła się odlakierowana kareta i za nią kocz. Kareta była przeznaczona dla Bobcia, kocz dla państwa Dzieńdzielińskich.

Bobcio stał zupełnie już ubrany, w nowym fraku i białym krawacie przed lustrem, wkładał właśnie niebieską fularową chustkę za gors kamizelki, gdy cicho otwarły się drzwi od jego pokoju, a na podłogę runęła biedna Hanka, obejmując jego nogi i okrywając je tysiącem pocałunków!

— Hanka, co robisz!? — zawołał trochę zażenowany.

— To juz ostatni raz panicu, ostatni! Bobciu mój — zajęczała — o Bobciu, Bobciu mój drogi, najdroższy!

I łkanie, w którym grała cała burza żalu tak niezmiernego, jak bezmierną była jej miłość, stłumiło dalsze słowa.

— Hanuś, daj pokój, nie płacz — mówił Bobcio, starając się ją podźwignąć ze ziemi, ale ona uczepiona u nóg jego, czołgała się za nim po podłodze. Płacz i jęk przeszedł w ton jakiegoś żałosnego wycia; z ócz nie łzy, ale jakaś lawa paląca spływała strugami po rozognionych jej licach, a całe młode jej ciało przebiegał dreszcz taki, jaki tylko ostatnie może poprzedzać tchnienie.

Bobciowi zrobiło się jakoś bardzo ciężko na duszy.

— Hanuś, miejże rozum — rzekł — daj pokój, kto to widział psiakrew tak płakać okrutnie.

— Bobciu! — zawołał ojciec.

— Zaraz idę! — odpowiedział. — No słyszysz Hanka, dajże pokój! Hanka! Hanuś! no...

— Chodźże! — zawołała po chwili matka.

— Zaraz! Hanuś słyszysz wołają! Hanuś! wstań! — I podniósł ją przemocą z podłogi.

— Hanka miej rozum...

— Pa... panicu,... panicu mój... Bobciu mój... moje ty słonko...

— Hanuś, bój się Boga!

— Pan... Jezus, niech wam... da scęście i... i... wsystko dobre, słonko moje najdrozse, kochane!

Rzuciła mu się na piersi i objąwszy go rękami za szyję, przylgnęła do niego w uścisku jakimś konwulsyjnym i śmiertelnym.

— Bobciu! — zawołała niecierpliwie pani Marcyanna.

— Już! — krzyknął na całe gardło, i wpił usta swoje po raz ostatni w korale ust na wpół nieprzytomnej Hanki, palący na nich wycisnął pocałunek, wyrwał się z jej objęć i wybiegł z pokoju!

Za chwilę siedział już w karecie, państwo Dzieńdzielińscy usadowili się w koczu, stangreci na ochotę strzelili z batów, konie z miejsca wyciągniętym puściły się kłusem, i uleciał wśród warkotu kół powozowych w tumanach kurzu złoty sen biednej dziewczyny!

. . . .

Hej Hanka — szkodaż cię szkoda!

. . . .

Dziedziniec w Rzędzinach zapchany był powozami i karetami. Państwo Dzieńdzielińscy zastali już mnóstwo gości. Pan Antoni przedstawił ich księdzu prałatowi.

Poczciwa twarz starego prałata, dobrodusznie uśmiechnięta, fiolety i łańcuch na

szyi złoty z dużym krzyżem, wzbudziły ufność w Kalasantym. Skłonił się z uszanowaniem, a prałat, podając mu obie ręce, rzekł wesoło:

— Wspominał mi Antoni, że pan coś trochę nie dowierzał, iż przyjadę związać ręce stułą pańskiego syna i mojej synowicy!

— A nie; najzupełniej wierzyłem księże prałacie dobrodzieju — odpowiedział nieco zażenowany pan Kalasanty.

— Tylko co do tego posagu — rzekł prałat, nachylając się do ucha Kalasantego — były pewne wątpliwości... prawda? No, no, niech się pan nie trapi, po ślubie dam Stasi i synowi pańskiemu natychmiast piętnaście tysięcy! Tu uderzył się po sutannie na piersiach, w której wprawne ucho pana Kalasantego zasłyszało przyjemny szelest papierów!

Kamień spadł mu z serca.

— Dziękuję z całej duszy księdzu prałatowi, boć to przecie nietylko dla mego syna, ale i dla jedynaczki pana Antoniego.

— Ależ co prawda, to nie grzech — rzekł prałat, spoglądając w drugi kąt salonu, gdzie Bobcio stał obok pana Bogdalskiego — syna to już można państwu pozazdrościć!

— Ha, co? prawda!? — rzekł uradowany ojciec.

— No, no, nie dziw, że Stasia głowę straciła — mówił prałat — chłopiec jak malowanie.

No, prawda, ha? — dopowiadał pan Kalasanty — ho, ho, ho! mój Bobcio to perła! A rozumny, stateczny, religijny! — łgał bez zająknienia, chcąc skaptować prałata dla syna.

— Taak? a to pięknie — rzekł prałat — to bardzo pięknie; rzadkie to dziś cnoty u naszej młodzieży. A jakież studya skończył pan Bolesław?

— Studya? — rzekł zaambarasowany Kalasanty, — a tak, tak, oczywiście był w szkołach, najpierw w Zabłocicach, a potem w tym... jakże się nazywa,... a bodajże cię... a potem znowu w tym,... o do licha...

— Na uniwersytet oczywiście uczęszczał — rzekł prałat.

— O, co to, to nie — odpowiedział zmęczony pan Dzieńdzieliński — kwalifikowałem go do gospodarki.

— Wykształcenie nie wyklucza kwalifikacyi gospodarczej.

— Tak, tylko potrzebowałem już wyręczenia...

— Szkoda, szkoda, jeśli chłopiec rozwinięty, utalentowany.

— O bardzo, bardzo utalentowany — odpowiedział pan Kalasanty, a prałat z upodobaniem spoglądał z daleka na utalentowanego młodziana.

Tymczasem gości napływało coraz więcej i więcej; przyjechali wreszcie państwo Strzałkowscy ze Zosią, która ofiarowała się na druchnę.

Kalasanty zręcznie z tego skorzystał i wykręcił się od prałata, przy którym zastąpił go odwieczny notaryusz ze Zabłocie.

Pan Dzieńdzieliński przepchnął się pomiędzy gośćmi i zbliżywszy się do żony szepnął jej do ucha:

— No Marcysiu, dzięki Bogu prałat przywiózł. Dobrze się stało, że Kolasińskiego onegdaj przyparłem do muru, bo gdyby nie to, jeszcze w tej chwili nie miałbym pewności.

— A Bobcio wie o tem? — zapytała troskliwie matka.

— Nie jeszcze — odpowiedzał Kalasanty.

— To idźże mu powiedz, niech się biedactwo nie martwi.

Biedactwo tymczasem stało wyprostowane z głową zwieszoną na piersi i oczyma śle-

dziło drobne, różowe paluszki Zosi, która mu przypinała weselny bukiet do fraka.

— Och! — westchnął ciężko.

— Czemuż pan tak wzdycha? Może pana ukłółam?

— W samo serce — rzekł Bobcio, — starając się o wdzięczną przenośnię.

Cofnęła rękę.

— Naprawdę ukłółam pana? — zapytała.

— Śmiertelnie! O gdyby pani nie była zaręczona, dziś inna drużka przypinałaby mi bukiet do fraka — szepnął Bobcio.

— I innej może mówiłby pan, że pana w serce ukłóła — dorzuciła ze śmiechem Zosia.

— O dalibóg nie mówiłbym tak do niej — zawołał zupełnie szczerze.

— Nie wierzę panu, nie wierzę...

— Bobciu! — huknął pan Kalasanty nad uchem, — pociesz się, prałat tego... — i urwał spostrzegłszy Zosię.

— No to dobrze, przynajmniej tyle dobrze, bo jakby psiakrew nie to, — to...

— Fe, panie Dzieńdziliński... używa pan takich wyrażeń — rzekła Zosia.

— O, przepraszam panią, bardzo przepraszam, to tak, psiakrew przy gospodarstwie

człowiek się nauczy mówić: „psiakrew“ co drugie słowo. O taki mię wstyd — e!...

— No to nareszcie nic tak złego — pocieszała go Zosia. — Widzi pan, jeden ze sławnych poetów improwizował nawet wiersz w pewnem towarzystwie, wiersz taki, którego każda zwrotka kończy się tym wyrazem. Szkoda, że nie umiem na pamięć całego wiersza, wiem tylko, że przemawia tam stary kapral, który powiada: „Hej bomby, granaty, kartacze“, rozżarłem się gdyby lew, aż mi serce w piersiach skacze. Czekaj kamrat, ha psiakrew!

— O psiakrew, to ładne, dalibóg ładne.

— A wie pan, który to poeta improwizował?

— Nie wiem — odrzekł Bobcio.

— Matejko, — rzekła śmiejąc się filutka — Matejko! Zna pan jego bitwę pod Grunwaldem albo Wernyhorę?

— Nie, tego nie czytałem.

Zosia pobiegła do matki, która niespokojnym okiem spoglądała na nią, wiedząc, że żywa dziewczyna w rozmowie z panem młodym musiała korzystać dla swej uciechy z jego bezdennej głupoty.

Gwar wzrastał coraz większy, wreszcie próg panieńskiego pokoju przekroczyła po raz ostatni panna Stanisława w mirtowym wieńcu i welonie, w białej atłasowej sukni z ogromnym trenem, przybranej w mirty i kamelie.

Na zawiędłej twarzy wykwitły jakieś bronzowe plamy, niby rumieńce, usta zesznurowały się jeszcze silniej, a małe ruchliwe oczka skryły się prawie zupełnie pod wypukłem czołem.

Bobcio spojrzał na swoją połowicę, nie widział jej jeszcze nigdy tak odrażająco brzydką, jak była w tej chwili.

Nie mógł się patrzeć na nią, a jednak patrzył i wpatrywał się coraz silniej, jakby w gorzkiem uczuciu wstrętu chciał się zanurzyć i utonąć.

— Hej Hanka psiakrew — pomyślał sobie — nie szkoda, że ty nie Kolasińska.

Zwiesił głowę na piersi i dopiero popchnięty przez ojca, posunął się leniwie ku narzeczonej i przytknął z odrazą usta do jej rękawiczki.

Odszedłszy na bok, nie mógł panować już dłużej nad sobą i szepnął do ojca:

— A tom się ubrał!

— Hę?

— Dyabli psiakrew tego prałata z pieniądzmi przynieśli; gdyby nie to, miałbym powód odstąpić.

— Co pleciesz cymbale! Wilczodoły, Psia Wólka...

— I psie życie będzie w Psiej Wólce z tem pruchnem.

— Bobciu! — jęknął ojciec — dla Boga, piętnaście tysięcy!

— Gdybym miał, zarazbym jej darował trzydzieści, a sam ożeniłbym się z Hanką! Co to za dziewczyna ta Hanka! Gdzież tej psiakrew do tamtej!

— Jak Boga kocham, tyś owaryował!

I poszedł pan Kalasanty przeszeptać Marcysi do ucha rozmowę z Bobciem.

Pani Marcyanna słuchała męża w skupieniu, a oczy trzymała utkwione w syna, który spochmurniał i posmutniał!

Ciocia Pinia i pani Hermenegilda poprawiając fałdy welonu, asystowały przy Stasi, która uniósłszy treniastą suknię, brodziła po posadzce salonu, jak bocianica po łące, podając miarowo długą szyję i głowę naprzód za każdym krokiem.

Pan Antoni uwijał się pomiędzy gośćmi, zabiegał, doglądał, aby wszystko było w po-

rządku, a koło księdza prałata zebrała się większa grupa mężczyzn, żywą z nim prowadząc rozmowę.

Wreszcie wpadł pan Kolasiński do salonu, szepnął kilka słów do żony, ta pociągnęła za sobą Stasię; Kolasiński pobiegł do Kalasantego, ten wziął Marcysię i Bobcia, i przeszli do bocznego saloniku.

Goście weselni podążyli za nimi, ustawiając się w półkole. Bobcio ze Stasią uklękli na środku, rodzice obojgu udzielali błogosławieństwa.

Chwila bardzo uroczysta i rzewna!

Stasia żegnana błogosławieństwem z domu rodzicielskiego, zapłakała, a Bobcio spojrzawszy na nią, uczuł wezbrany żal i rozpłakał się także, jak dziecko!

Zosi żal się go zrobiło. Głupi, bo głupi, jak stołowa noga, pomyślała sobie, ale musi mieć dobre serce. I zapłakała rozczulona łzami rodziców i nowożeńców.

Pokropiono ich święconą wodą, poczem ksiądz prałat pożegnał ich uroczystą przemową i krzyżem świętym pobłogosławił, a następnie pierwszy wyszedł na dziedziniec i wyjechał do kościoła.

Na dziedzińcu powstał ruch niebywały; pojazd za pojazdem zataczał się przed ganek, zatoczyła się kareta, w której z drużbą usadowiła się panna młoda, ozdobiona teraz buraczkowym nosem od wzruszenia, w powozie otwartym drugi drużba ze starościną ciocią Pinią. W następnej karecie zasiadł pan młody obok Zosi, która chciała mu dotrzymywać towarzystwa dla własnej zabawy, w innych powozach inni goście weselni, i ruszono z kopyta do kościoła wśród grzmotu salw moździerzowych i okrzyków wieśniaczych.

Przy wjeździe do dziedzińca dworskiego, za mostem i na zakręcie drogi do kościoła, były łuki tryumfalne z choiny uplecione z napisami: „Szczęść Boże“, Witajcie“, „Niechaj żyje para młoda“; — ale tego wszystkiego Bobcio nie widział. Siedział, jak skamieniały, zakrył chustką oczy i płakał. Może pierwszy raz w życiu płakał tak serdecznie, nad sobą!

— Co panu jest, panie Dziendzieliński — pytała Zosia ze współczuciem — kto widział się tak rozrzewniać, przecie pan mężczyzna! Ja wiem, że takie błogosławieństwo to bardzo może oddziałać na serce czujące; ale

jakże tak długo... pan mężczyzna, panie Dzieńdzieliński, panie Bolesławie...

— Och pani, pani! — zawołał Bobcio — gdyby pani wiedziała, jaki ja bardzo nieszczęśliwy, to paniby także zapłakała może nademną.

— Cóż panu jest? pan nieszczęśliwy?!... w dzień ślubu?

— A właśnie dlatego, ten dzień ślubu, to gorszy dla mnie, aniżeli dzień pogrzebu!

Zosia dowiedziała się z tego, że Bobcio uważał małżeństwo ze Stasią za swoje nieszczęście! Przez delikatność nie chciała głębiej badać tej rzeczy, której nie chcąc, się dowiedziała; ale Bobcio raz odezwawszy się na ten temat, nie mógł powstrzymać wybuchu swego żalu; nie wiedząc i nie przypuszczając, że biednej dziewczynie sprawia tem ogromną przykrość, uczynił Zosię popowiernicą swoich uczuć!

— Widzi pani, ja jadę do tego ślubu jak na ścięcie. Rodzice mnie namówili, bo koniec lipca na karku! No niech pani sama powie, co mnie czeka przy takiej żonie; ona pewnie ma dwa razy tyle lat, co ja!

Zofia milczała, nie wiedząc, co ze sobą zrobić!

— Mój Boże, gdyby nie zaręczenie się pani z tym jakimś ogolonym oficerem, jechałbym do ślubu wesoły jak djabli, a tak co!...

Zosię, pomimo tego, że siedziała jak na torturach, śmiech pusty zebrał.

— Ależ panie Dziendzieliński — odezwała się po chwili — co też pan mówi; przecież my nigdybyśmy się nie zrozumieli, dlaczego pan narzeka na swoje małżeństwo, panna Stanisława jest taka miła, dobra...

— Już ja tej dobroci nie chcę!

W tej chwili kareta wtoczyła się na most

— O, widzi pani, — rzekł wskazując nurty rzeczne — tam bym rad uciec przed nią i jej dobrocią!

Zosia znowu zamilkła, Bobcio zapłakał.

Przeszło pół godziny drogi do kościoła wymęczyła się Zosia nie do opisania. Zdawało jej się, że usłyszy z ust Dziendzielińskiego znowu coś zabawnego, że przynajmniej przez tydzień będzie się miała z czego śmiać, a tymczasem musiała słuchać jego żalów, przyjmywać rolę powierniczki jego nietajonej boleści, i w końcu mimowoli ulegała współczuciu na widok łez i odczuwała litość nad nim!

Zmierzch zapadał, gdy dojeżdżali do kościoła rzęsiście oświetlonego. Stasia prowadzona przez młodego Zerkiewicza i Melchiora Czepielowskiego, a Bobcio przez Zosię Strzałkowską i Józię Zerkiewiczównę, przybliżyli się do ołtarza.

Na stopniach ołtarza stał ksiądz prałat w asystencyi miejscowego proboszcza i księdza wikarego.

— Tam — rzekł prałat — pożegnałem was w domu rodzicielskim, a tu was witam w domu Bożym! I w podniosłych słowach, pełnych namaszczenia, przypominał nowożeńcom, że odtąd jedną drogą pójdą przez świat i życie, że odtąd mają dzielić ze sobą dolę i niedolę, radość i cierpienia, łzy i uśmiechy. Przypominał im obowiązki względem kościoła, ziemi ojczystej i narodu, i wskazał na wiążący się ze stanowiskiem właściciela większej posiadłości, wielki obowiązek przyświecania przykładem cnót bożych ludowi wieśniaczemu i prowadzenia go drogą światła do wolności narodowej.

Mowę swoją, która ze względu na stopień inteligencyi obojga nowożeńców była tem ziarnem ewangelicznem, które padło na opokę, zakończył ksiądz prałat temi słowy:

— Ty Bolesławie masz być opiekunem, kierownikiem duchowym i podporą dla twojej małżonki: ty Stanisławo masz być dla męża twojego osłodą!

Podpora spojrzała na osłodę, i skrzywiła sie okropnie: osłoda zerknęła na podporę i buraczkowy i świecący nos ze wzruszenia odbił na samym końcu, błyszczącym najsilniej, fiolety sutanny księdza prałata.

Nastąpiła ceremonia ślubu. Ksiądz prałat zaintonował Veni Creatur, organista z fałszywego tonu rozpoczął akompaniament. Następnie prałat związawszy nowożeńcom ręce stułą, odczytał rotę przysięgi. Stasia-osłoda powtarzała ją za prałatem wyraźnie i dobitnie, Bobcio-podpora ledwie dosłyszalnym głosem. Przy słowach: „biorę sobie ciebie“... pomylił się i powiedział Han...: ale urwał i powtórzył: „Stanisławo“; niektóre zbyt krępujące zobowiązania wymawiał tak cicho, jakby je chciał przemilczeć i nie zaprzysiądz, a Hanka... stała mu przed oczyma, taka młoda, taka ładna i taka bardzo powabna!

Przy dźwiękach skocznego mazura, ruszono z powrotem i w niespełna godzinę cała kalwakada gości weselnych zawinęła

wśród salw moździerzowych i okrzyków wiejskiego ludu do dworu!

Stasia z fioletowo-buraczkowym nosem i Bobcio z załzawionemi oczyma wracali jedną karetą do domu. Przez całą drogę i on i ona słowa do siebie nie przemówili: ona spragniona czekała na pierwszy uścisk i pocałunek — daremnie; a on, — on czuł rozpacz i ból, że właśnie obowiązki uścisków i pieszczot włożył sobie na barki.

Gdyby ona była taka jak Hanka, ściskałby ją i całował choćby do śmierci, ale tak... brr... uczuwał dreszcze.

W milczeniu jechali obok siebie, pierwszy raz i pierwsze nieporozumienie dziwne, bo z milczenia zrodzone, wkradło się pomiędzy nich i wyszczerzyło do obojga ostre swoje zębiska. Ona była okrutnie na niego zła, a on był na nią wściekły!

Po powrocie do domu ksiądz prałat zaprosił do saloniku Stasię, Bobcia, państwa Kolasińskich i Dzieńdzielińskich, a przymknąwszy drzwi, rzekł:

— Przyrzekłem po powrocie z kościoła dać wam posag; wywiązuję się tedy z mego przyrzeczenia, oto jest, dorabiajcie się przy

Bożej pomocy! — I złożył na stole opieczętowaną kopertę.

Uściski i powinszowania zakończyły tę materyalną część uroczystości. Prałat wyszedł i wyszli państwo Kolasińscy z panią Marcyanną, a pozostał w saloniku tylko pan Kalasanty, Bobcio i jego małżonka.

Wesoły gwar panował wśród gości, uzupełniano nakrycia do uczty weselnej, gdy w tem wypadł pan Kalasanty z twarzą bladą, zmienioną i odszukawszy w tłumie pana Antoniego, zbliżył się doń gwałtownie i pociągnął go za rękaw.

Za chwilę znów Bobcio, zmieniony, wypadł ze saloniku i powołał panią Marcyannę; za chwilę znowu wyskoczył pan Kalasanty jak z procy jeszcze bardziej zmieniony i przypadł do księdza prałata.

— Za pozwoleniem — rzekł — prosimy księdza prałata na małą naradę.

Prałat udał się za nim.

W saloniku pani Marcyanna zalana łzami, Bobcio drżący od gniewu, Stasia płacząca, Kalasanty jak trup blady, a pan Antoni zasępiony.

— Dla Boga, co się wam podziało? — zapytał prałat.

— Proszę — odezwał się Kalasanty przerywanym głosem, wydobywając z rozciętej koperty piętnaście banknotów po tysiąc koron. — Co to jest? siedm tysięcy pięćset reńskich, a mieliśmy dostać piętnaście tysięcy.

— Za pozwoleniem — rzekł prałat, — ja bratu ani synowicy piętnastu tysięcy reńskich nie przyrzekałem, bo tej sumy nie mam: przyrzekłem dać jej co mam, piętnaście tysięcy koron, i dałem, a czy państwo na korony, czy na guldeny liczyliście, to tego nie wiedziałem. W każdym razie ani mi przez myśl nie przeszło, abyście się większej sumy po mnie mogli spodziewać!

To rzekłszy, wrócił prałat do gości.

— No i cóż będzie? — rzekł Kalasanty, zwracając się do pana Antoniego — mówiłeś, że Bobcio weźmie piętnaście tysięcy!

— Ale nie mówiłem, że guldenów — odparł Kolasiński — toście sobie mogli imaginować, że prałat da wam piętnaście tysięcy dukatów, co mnie do tego; ja myślałem o tej walucie, która jest w obiegu, a nie o tej, która była. Mówiłem nawet, że dał trzy tysiące na wyprawę, oczywiście koron, a któż temu winien, że wy rachowaliście posag w guldenach.

— A nie mówiłem ojcu — huknął Bobcio — nie trzeba było tak zrobić, jak ja chciałem?

— Cicho bądź! — przerwał mu pan Kalasanty. — I co teraz robić, koniec lipca na karku, towarzystwa kredytowego nie ma czem zaspokoić, a żydzi, a Leisenhaft, a Spielvogel, a Pfefferhaut, a Barber, a Skrobaczyński, jak Boga kocham, ani tędy, ani tędy!

— Musisz panie Antoni — rzekł po namyśle — prałata przypilić, aby tych piętnaście tysięcy koron dołożył, albo co.

— Skądże dołoży, kiedy do ostatniego grosza dał nam, co miał.

— To Rzędziny sprzedaj — huknął Kalasanty — a dodaj, bo Psią Wólkę i Wilczodoły djabli wezmą, koniec lipca na karku!

— Popatrz do hipoteki, co się tam dzieje! Gdybym sprzedał z wolnej ręki Rzędziny — rzekł pan Antoni — i oprócz Rzędzin wszystkie graty, siebie, żonę i córkę, to jeszcze z piętnaście tysięcy musiałbym wierzycielom dołożyć!

— Hę? — rzekł pan Kalasanty, nie wiedząc już co mówić.

— A widzi ojciec...

— Bobciu! — jęknęła matka.

— Ładny początek naszego pożycia małżeńskiego — rzekła nareszcie Stasia. — Z kościoła wracaliśmy, ani słówka do mnie, teraz ani słówka, a co będzie dalej?...

Bobcio z odrazą spojrzał na nią.

— Co ma być dalej — zawołał impetycznie, nic nie będzie, bo nic nie ma.

Pan Kalasanty uderzył się po łysinie i jęknął z boleścią: — Ależ to osioł ze mnie.

Nikt mu nie starał się zaprzeczyć!

Po chwili rzekł znowu: — Ha, stało się, już się nie odstanie.

Bobcio spojrzał na niego z wyrzutem i rozpaczą, pół życia byłby dał za to, aby się odstać mogło.

Pan Kalasanty, złożywszy we dwoje piętnaście banknotów, podał je w milczeniu synowi.

— A mnie na co tego — rzekł Bobcio, wzruszając ramionami, — ja nie chcę, ja już nic nie chcę.

Ojciec zawinął je w kopertę i schował do serdecznej kieszeni kontusza.

— No, — rzekł po chwili — przepadło, nie ma co; chodźmyż wreszcie do gości; Bobciu! podaj rękę żonie i wejdźcie pierwsi.

Bobcio, uległy jak zawsze woli rodzica i tym razem wykonał jego polecenie.

Państwo młodzi weszli w grono ludzi, mających dzielić ich szczęście i wesele. Starali się przybrać maskę odpowiednią do potrzeby chwili; ale ta maska zesuwała się z ich twarzy bezustannie, aż wreszcie zupełnie opadła, ukazując wzajemne rozczarowanie, żal i zgryzotę!

Przy wieczerzy posadzono ich obok siebie na pierwszem miejscu. Oboje uparcie milczeli i temu zawdzięczyć należy, że ksiądz prałat zachował na razie o rozumie pana młodego to mniemanie, jakie w niego wdrożył papa Kalasanty.

Zosia Strzałkowska, która tyle sobie uciechy na tem weselu obiecywała, chmurę miała na białem czole i była bez humoru, rozumiejąc aż nadto dobrze, że siedzi przy stole biesiadnym, wobec młodej pary, nad którą nieszczęście jak olbrzymi nietoperz kolczaste swe rozpostarło skrzydła!

Jakby z szatańskiej jakiejś ironii podczas uczty zagrzmiały skrzypice i basy tonami wesołej fanfary, a na ogrodzie biły salwy moździerzowe!

Po uczcie, przy której pomimo mnóstwa spełnionych toastów, wesołości wcale nie było; młodzież rozpoczęła tańce tak jakoś bez żadnej ku temu ochoty, jakby odczuła snujące się po tym domu zgryzoty!

Stasia i Bobcio siedzieli zdala od siebie, nie biorąc udziału w zabawie; a zdaje się, że ich usposobienie oddziałać musiało na całą atmosferę weselną!

W rzędzińskim dworze już po północy przygasła zupełnie zabawa, a przed drugą połowa gości wyjechała i pozostali tylko ci, którzy mając złe drogi przed sobą, musieli pozostać do pierwszego brzasku, aby osi nie połamać.

Z pierwszym też brzaskiem pozostały tylko dwie rodziny i trzecia nowo związana — i już rozdzielona!

Bobcio czuł zimno, czuł dreszcze jakieś dziwne, a w myśli ciągle była mu Hanka i Hanka.

Nie mogąc się opędzić tej myśli, zbliżył się do żony i zapytał sucho:

— Pojedziemy do Wilczodołów?

— Nie.

— A kiedyż?

— Jutro.

— Dzięki Bogu — pomyślał sobie Bobcio, a głośno rzekł: — Ja bo muszę dziś być w Psiej Wólce i Wilczodołach koniecznie, przynajmniej na godziuę.

— To jedź — rzekła Stasia.

— Po południu wrócę.

— A wracaj, albo nie wracaj — odpowiedziała, odsuwając się od niego.

Bobcio spojrzał na nią dziwnie złem okiem. Wymknął się na dziedziniec, pomógł Jaśkowi zaprządz do kocza, i kazał mu siąść w powozie.

— Wo! — zawołał Jasiek — a to panicu na co?

— Na nic! Siadaj i siedź! Zawiezę cię do Psiej Wólki!

I wskoczył na kozioł.

Ledwie wyjechał poza dworską bramę, uderzył konie batem raz, drugi i trzeci, zachęcając je krzykiem do biegu. Konie puściły się z początku kłusem, później zaczęły cwałować, a Bobcio bezustannie strzelał z bata. Lekki powóz prawie kołami ziemi nie dotykał, a Jasiek, trzymając się poduszek oburącz, gapił się na Bobcia siedzącego na koźle i powtarzał sobie w myśli:

— Abo sie jucha zeźlił na co, abo pijany, abo owaryował!

Bobcio pędził, jakby go szatan z Rzędzin gnał, — pędził do domu, do Hanki, aby być przy niej jak najprędzej i odetchnąć jej miłością!

Służba w Psiej Wólce posłyszała zdala tentent koni. Myśląc, że się rozbiegały, chciała je wstrzymać przy bramie; ale Bobcio wrzasnął na całe gardło: na bok! i pognał drogą ku dziedzińcowi.

Na zakręcie pękła tylna oś i rysor, pudło powozu zwaliło się na jedną stronę, a koło odskoczyło o kilkanaście kroków. Jasiek wysypał się z pudła, a konie stanęły.

Nie patrząc nawet na to, co się stało, Bobcio pobiegł do ganku, wpadł do domu i zawołał: Hanka!

Za chwilę drzwi się otwarły i w mrokach niezupełnie jeszcze rozwidnionych stanęła zaspana dziewczyna.

— Hanuś! — zaszeptał Bobcio miłośnie — Hanuś!

— Nie panicu, Hanki Zepielonki juz niema; wcora pod wiecór pognała kajsik — rzekła Jaga — i pedziała, co juz do nasej wsi nikej więcy nie wróci!

Bobcio stał osłupiały i przybity tą wiadomością; pustka była wokoło niego, nie miał z kim żalu swego podzielić, był sam ze swoją tylko zgryzotą.

Byłby rozesłał ludzi na wszystkie strony za nią, ale lęk go zebrał jakiś okrutny, chciał i nie mógł i nie miał siły.

A ona, teraz nieobecna, daleka, gdzieś za górami siną mgłą okryta, była mu tak potrzebna i tak bardzo droga.

— O Hanuś! — jęknął — niema cię, niema!

— A cegoby panic kcieli? — zapytała Jaga.

— Nic, nic nie chcę, odejdź!

Dziewczyna wyszła z pokoju w milczeniu.

Bobcio otworzył okno; chłodny, poranny wiatr owiał mu czoło; on wyciągnął ręce przed siebie ku mgłom, snującym się nad ziemią i zawołał z żalem: Hej, Hanuś moja! wróć się — wróć!

— Ho, psio para — krzyknął Jasiek przed oknem. — Dalibóg, jak jom złapę, to ij gnoty popzetrącom; zeby una śmiała uciekać od pańskiego dobra!...

— Panicu! — zawołał — pseprosom, ale ja siadnę na te gniadom od fornolki i pojadem do ziańdziarów, coby chycili i zaro tu

dostawili Hankę Zepielonkę. Pewnikiem musiała co pokraść we dworze cholera i uciekła!

— Milcz, psia-krew! — wrzasnął Bobcio, aż Jaśkowi kolana zadygotały.

— A dalibóg — mruczał pod nosem Jasiek, wracając do stajni — dalibóg, ze panic owaryował; o, kunie zgonił, jak nie wim co, dzieuchy nie kce chytać, a furt jom woła; powóz roztrącił, na mnie wzasnął, jaze mu gordziel ledwo co nie pęk... no! Hm... a moje dwa morgi; e... wun nie owaryowoł, nie; panic sie wcik, taj tylo!

VI.

Świat szeroki miała przed sobą biedna Hanka, której niebo dało krasę i urodę, i oczy cudne własnej barwy, i serce gorące, i młodość i miłość, ale nie dało jej szczęścia żadnego.

Płacze ją gnały ze wsi rodzinnej, hen, hen daleko w nieznane drogi, do ludzi nieznanych, a za nią w ślad biegła tęsknota do złudy miłosnej, żal za nią i za paniczem, żal tak straszeczny, że aż serce od niego jakimś nieludzkim jęczało skowytem.

Szła w świat, a tyle pokus stawało jej na drodze.

Rzeka szumiąca toczyła swe wody, a ten szum, ten pluskot fal tak jakoś nęcąco przemawiał do jej duszy zbolałej.

— Ej, zeby to ksiądz probosc byli na kozaniu nie godali, mój Ty Boze mocny!... Jak to ta zyka sumi i sumi!...

I poszła dalej, a szum za nią poszedł i w leśne wpadł obszary, i las przebiegł, i w zbóż

zieloną ruń zaleciał, i potem nocą ciemną... hen, łąkami aż nad brzeg stawu, dużego, cichego stawu.

Hanka nad brzegiem usiadła i siedziała zadumana, aż księżyc wysunął się na niebo i jasnem okiem na świat spojrzał. Oświetlił sitowia i trzciny, które niby wieńcem objęły brzegi spokojnych wód i lilie wodne, które niby wodne boginki z toni wyglądały. A w tej toni była cichość jakaś bezmierna, taka błoga, jak spokój wieczny, jak ukojenie po łzach i bolu!

I tu szum przybiegł za nią, za Hanką! Zachwiały się trzciny, sitowia i lilie, staw wysrebrzony blaskami księżyca poruszył się i namarszczył.

— Hej zycies ty moje zycie, co mi po tobie?... na co mi ciebie?

Staw zaczął szemrać i szeptać, jakby boginki na dnie radosne odprawiały korowody, że jeszcze jedno zbolałe serce wpadnie jak kamień w głęboką otchłań chłodnych wód, że jeszcze jedna kochanka śmierć poślubi na wieki i wesele będzie tam na dnie.

I biegły rozwichrzone myśli i tęskne uczucia biednej Hanki daleko światami aż tam za sine wzgórza, gdzie wioska rodzinna została,

to wracały znowu do tego stawu, do tych wód szeroko rozlanych, z których szło dziwne tchnienie wiecznego spokoju.

— Ach, zycies ty moje, opłakane zycie — westchnęła Hanka z boleścią.

— Toń!... toń!... toń!... — odezwały się z różnych stron stawu tajemnicze głosy.

— A moze ze tam na dnie dobze mi bedzie, moze to ksiądz probosc tylo se tak godali na tem kozaniu... moze jo tam znajdę moje scęście, moje słonko kochane, panica mego, mój raj!...

— Raj!... raj!... raj!... raj!... — zarehotały chórem żaby.

— Ksiądz probosc nie wiedzieli, co to kochanie!

— Chuodź!... chuodź!... — odezwał się głos z sitowia.

I Hanka bezwiednie powstała ze ziemi, a w tej chwili zrobiło jej się słabo, jakaś mgła przysłoniła jej oczy, księżyc zadrgał na niebie — a dziecię, owoc jej miłości, rzuciło się po raz pierwszy w jej łonie.

Radość i ból zatargały jej sercem, staw jęknął: toń! toń!... a ona bezwiednie rzuciła okiem poza siebie.

Tuż za nią przy ścieżce stał krzyż przy-

drożny, a na nim rozpięty Chrystus ze zwieszoną na piersi głową, widny w blasku księżyca, taki cichy, bolesny, serdeczny, a miłosierny.

— Jezus! — krzyknęła Hanka i runęła na twarz przed krzyżem, obejmując jego drzewce rękoma.

A staw umilkł, zaniemiał i szum poleciał gdzieś dalej, światami.

— Jezusieńku! Jezusieńku! — wołała Hanka. — Spojzyj tyz na mnie sirotę i na to niebozątko moje... Nikaj scęścia ni doli nima dla nas na świecie!... Dajze nam Jezusieńku śmierć, daj wiecne odpocnienie, a panicowi, a Bobciowi memu, daj za to scęście i dobro wselakie!...

Ty widzis, co moje słonko zagasło na wieki, Ty miłosierny ulituj się załości mojej — ksiądz probosc zawse pedali, coś Ty taki miłosierny!...

A Chrystus ze zwieszoną głową na piersi, rozpięty na krzyżu, był taki cichy, bolesny, serdeczny!

. . . .

Blask wschodzącego słońca ozłocił kopuły i dachy wieżyc kościelnych. Do rogatek krakowskich zbliżyła się Hanka po trzydnio-

wej podróży; miała po raz pierwszy w życiu zobaczyć wielkie mrowisko ludzkie, aby szukać w niem chleba.

Obejrzała sią poza siebie raz jeszcze, może już ostatni, i roztęskniona wyszeptała:

— Panicu jedyny, panicu! Bobciu mój!... juze cie nikej nie ujźrą ocy moje!

I wstąpiła w progi miasta, napełnionego ruchem i gwarem, weszła w te dziwnym chłodem tchnące mury kamienne, z poza których mogła widzieć małe tylko skrawki takiego, jak jej oczy, modrego nieba.

. . . .

Nastała jesień szara, mroczna, posępna, całunem mgły pokryta, deszczem płacząca i zżółkłym liściem, które wiatr do reszty z obnażonych strąca gałęzi.

W celi szpitala św. Łazarza na białej pościeli leżała Hanka blada, jak giezło. Przed godziną dała życie nowej na świecie istocie, ale życie tak słabe, że zanim świat je ogarnął, już zgasło, jak bańka mydlana.

Hanka oddechała ciężko, chrapliwie, wydając od czasu do czasu głuchy jęk przez zaciśnięte usta; u wezgłowia jej łoża krążyły już jakieś dziwne cienie.

Dwie siostry zakonne były przy niej. Sio-

stra Julia trzymała w ręku przygotowaną gromnicę, siostra Klara, klęcząc, odmawiała półgłosem modlitwę za konających.

Wiatr wył i huczał, siekł deszczem i dzwonił w szyby okien szpitalnych, wciskał się szczelinami na kurytarze, szczękał klamką ode drzwi, lekkim podmuchem wpadał do celi i chwiał żółtym płomykiem gromnicznym.

— Matecko! — odezwała się cichym głosem konająca — dobze tez to ksiądz probosc pedali, co pon Jezus miłosierny...

I westchnęła głęboko.

— Jo nic nie kcę — rzekła po chwili — ni grontu, ni dostatków nijakich!

Zakonnica pochyliła się nad nią.

— O kajześ ty słonko moje kochane?

— Panicu! — zawołała rzewnie — cy juz wos nie ujźrą ocy moje?!

— Matecko — rzekła po chwili, zwracając błagalne spojrzenie na zakonnicę — matecko, jakby tu psyseł panic, a mnie juz nie było, to oddojcie mu niebozątko moje,... a jakby psyseł, a mnie nie było, to mu powiedzcie tak, com go miłowała okrutnie aze do śmierci mojej!...

Wiatr zawył gwałtowniej i znowu szyby

w oknach jakimś żałosnym odpowiedziały mu dźwiękiem, drzwi celi zadygotały wstrząśnięte.

Chora uniosła głowę i spojrzała z poza płomyka gromnicy na te drzwi podmuchem wichru poruszone, spojrzała modremi, jak niebo, oczyma, na które śmierć białego bielma kładła już zasłonę.

Jeszcze jedno silniejsze uderzenie wichru i drzwi skrzypnęły przeciągle, rozwierając się na rościeżaj.

— Panic!! — krzyknęła chora przeraźliwie, wyciągając obiedwie dłonie przed siebie. — Panic!... słonko moje kochane!

I uśmiechnęła się tak radośnie i szczęśliwie.

Siostry zakonne ujęły ją i złożyły martwe ciało na posłaniu.

Na bladem licu, tężejącem pod tchnieniem śmierci, zastygał promienny uśmiech, pierwszy może i ostatni uśmiech szczęścia na ziemi, wywołany przedśmiertną, gorączkową wizyą.

Zastygło to serce proste, poczciwe, tak bardzo kochające i tak bardzo zbolałe. Bóg miłosierny zesłał mu wieczny spokój i ukojenie!

. . . .

W dwa dni potem w szpitalnym wspólnym grobie złożono kilkanaście trumien i między niemi domowinę biednej Hanki, której do grobu oddano jej martwe skostniałe dzieciątko!

Grabarze mogiłę nad wspólnym usypali grobem, taką mogiłę bezimienną, nad którą nikt nigdy nie zapłacze i o którą nikt nawet nie zapyta, chyba sam Pan Bóg, gdy przyjdzie godzina sądu ostatecznego!

. . . .

— Hej, Hanka, nie szkodaż cię było, nie szkoda?!

ZAKOŃCZENIE.

Tej samej jesieni odbyła się licytacya Rzędzin.

Pan Icek Pfefferhaut nabył majątek pana Kolasińskiego, który z żoną panią Hermenegildą z Fidrygalskich, schronił się pod opiekuńcze skrzydła księdza prałata.

Pan Kalasanty Dzieńdzieliński przebył koniec lipca względnie szczęśliwie, gdyż częściowo się uratował przy pomocy posagu synowej.

Wyprzedał sposobem parcelacyjnym wszystkie odleglejsze grunta w Psiej Wólce; Wilczodołów wprawdzie dyabli nie wzięli, lecz wzięli je panowie Mordko Leisenhaft i Simche Spinnenberg, dzisiejsi właściciele tej majętności.

Pan Kalasanty, pozostawiając sobie dwór w Psiej Wólce i około stu pięćdziesięciu morgów ziemi — zastosował się z konieczności do rady jedynaka, który tę drogę

wskazywał wówczas, gdy kombinował puszczenie Kolasińskich w trąbę razem z ich prałatem, a ożenienie się z Hanką: tak serdecznie go kochającą!

Pan Bolesław Dzieńdzieliński z panią Stanisławą z Kolasińskich Dzieńdzielińską mieszkali rok blisko w Psiej Wólce i zatruwali sobie każdą godzinę i każdą chwilę małżeńskiego pożycia.

Bobcio wyglądał powrotu Hanki i wzdychał do niej; a gdy mijały tygodnie i miesiące, a ona nie wracała — otoczył względami swymi zażywną Jagę, z którą Jasiek poszedł na pacierze do księdza, otrzymawszy zapis na mórg gruntu pod górą i pięćdziesiąt reńskich.

Bobcio prosił ojca, aby przyjął ten wypadek na swój rachunek, ale daremnie, pan Kalasanty pod tym względem nie był skłonny do wzajemności; Stasia zaś zbadawszy tę tajemnicę do głębi, urządziła ogromną awanturę swemu małżonkowi i wywiezła go na mieszkanie do miasta.

Przy protekcyi wpływowych osób, Bobcio, vulgo Bolesław, Dzieńdzieliński, taki cudny chłopiec. jak nie wiem co i taki wykształcony — jak utrzymywała zakochana

w nim matka — dostał posadę w jednej z krajowych instytucyi kredytowych!

A dostał tę posadę, bo czegożbo u nas wszechwładna nie dokaże protekcya!

I musiała być ta protekcya bardzo silna, a może, któż wie, i poznano się na wykształceniu Bobcia, bo w rok po objęciu przezeń posady, doniosły dzienniki, że rada nadzorcza tej instytucyi zamianowała referentem oddziału hipotecznego pana Bolesława z Dzieńdzielina Dzieńdzielińskiego, z płacą przywiązaną do IV-ej rangi i przyznała mu nadto tytułem dodatku osobistego cztery tysiące koron rocznie.

Tak zatem znawca i recytator poezyi Kopernika, Moniuszki i Siemiradzkiego uzyskał przy pomocy protekcyi wcale wygodne i popłatne stanowisko!

Podwładni w biurze przezywali go naczelnikiem, a w domu Stasia-osłoda dobierała dla Bobcia-podpory rozmaite inne tytuły, niezupełnie nadające się do przytoczenia.

Zosia Strzałkowska wyszła zamąż za pana Kazimierza Lisowieckiego.

Bobcio, vulgo Bolesław Dzieńdzieliński, nie mógł się tylko dosyć temu wydziwić,

że portrety — jak mniemał — jej męża wszędzie tak często spotykał.

Raz przecie ciekawość wzięła nad nim górę i zapytał pan naczelnik dyetaryusza ze swego biura, wskazując mu za wystawą księgarską portret Kościuszki:

— Nie wie pan przypadkiem, czemu tego pana Lisowieckiego tak wszędzie malują?

— Jakiego Lisowieckiego — zapytał dyetaryusz?

— No — tego, — męża Zosi Strzałkowskiej.

Chudy pisarek sądził w pierwszej chwili, że pan naczelnik dostał pomięszania.

— Taż to Kościuszko! — zawołał wytrzeszczając oczy — Kościuszko, generał wojsk polskich, naczelnik polskiego narodu!

— A to szelma dopiero! — jęknął pan Bolesław.

— Panie naczelniku! — krzyknął biały murzyn. — Co pan naczelnik wygaduje — Kościuszko szelma!?

— Ależ nie, — odrzekł Bobcio — nie on szelma, ale ona!

— Jaka ona? — nalegał dyetaryusz, przekonany, że szef ma bzika.

— Jaka ona, jaka ona? — odburknął świeżo na rożnie protekcyi upieczony dygnitarz — jaka ona? — Ta psiakrew Zosia Strzałkowska — i już!

KONIEC.

Kraków w sierpniu 1904.

WESELI SPADKOBIERCY.

I.

Pan Teodor Moczarski, właściciel dóbr Zawadowa — skracał sobie długie godziny pracowitego żywota drzemką w swoim pokoju, szumnie kancelaryą nazwanym.

Właśnie po drugiem śniadaniu, zapaliwszy fajkę na długim cybuchu, ułożył się jak mógł najwygodniej na kanapie, gdy do kancelaryi wpadła małżonka pana Teodora pani Antonina z Bzikowskich Moczarska, w wydekoltowanym jak zawsze szarawanie.

— Dorku! rany Boskie — zawołała na wstępie — jest telegram od Kręcickiego i list od Mani.

— Telegram? — zapytał pan Teodor — od Kręcickiego?

— Dziś przyjeżdża. — „Wyszlij konie o drugiej na stacyę przyjeżdżam Kręcicki“ — powtórzyła treść depeszy pani Antonina, podając ją małżonkowi.

— Ciekawość, co go tu pędzi na taką zawieruchę — rzekł pan Teodor.

— Może z listu Mani się dowiemy, odpowiedziała pani Teodorowa i usadowiwszy się pod oknem zaczęła czytać. Zaledwie jednak przebiegła oczyma kilka początkowych wierszy — zerwała się z krzesła jak oparzona.

— Rany Boskie — Dorku, nieszczęście!

— Co się stało? — zapytał pan Teodor podnosząc się i opierając na łokciu.

— Co się stało? Posłuchaj co Mania pisze: „Moja droga Tolu! Donoszę Ci o wielkiem waszem nieszczęściu. Ten wasz jakiś niby to wuj pan Borejko zrobił już testament. Notaryusz Gębarzewski jeździł przez dwa dni do Stokłosina; mój mąż chciał go wybadać jak i co, ale rejent ani du-du, tylko tyle się wygadał, że Borejko mianował uniwersalnym spadkobiercą Antka.

— Antka!? zakrzyknął pan Teodor i zerwał się na równe nogi.

— Antka, Antka! powtórzyła jak echo z goryczą pani Teodorowa. Rany Boskie cóż teraz będzie!?

I nie czekając odpowiedzi męża, czytała dalej.

— „No widzisz Tolu, co to ten bałwan narobił“...

— Ah co bałwan to bałwan przerwał pan Teodor.

— Skoro wmówił w Borejkę pokrewieństwo — czytała pani Antonina...

— Co?

— Aha — Dorku, to o tobie mowa.

— O mnie, jakto o mnie?

— Słuchaj dalej: „skoro wmówił w Borejkę pokrewieństwo, to powinien był z tego skorzystać, że stary dziwak mu uwierzył — a on tymczasem nic nie zrobił i pozwolił swemu braciszkowi tak dalece opętać starego, że uniwersalnym spadkobiercą zamianował pana Antoniego. Biednaś ty Tolu z tym niedołęgą“.

Pan Teodor począł szerokimi krokami chodzić po pokoju, a pani Antonina obracając się za nim jak słonecznik za słońcem, odczytywała dalej list siostry.

„Mój mąż okrutnie tym całym wypadkiem zmartwiony, bo tu idzie o te sześć tysięcy, które Dorkowi pożyczył, a których teraz nie będziecie mieli skąd oddać. I rany Boskie Tolu rób jako, żeby się Antek na nowo w Wandzie zakochał — bo widzisz my obie

wyszłyśmy za mąż nie najlepiej, ale ona to już wyszłaby całkiem źle za Jasińskiego — a przecież byłoby lepiej, gdyby Antek się z nią ożenił teraz, gdy został uniwersalnym spadkobiercą Borejki. Mój mąż w sprawie tego testamentu jedzie do Was i Wandzię z nim wyprawiam, postaraj się Tolu koniecznie, aby i Antek do Was przyjechał, żeby to związać na nowo jak najprędzej. Resztę Jaś Wam ustnie powie. Całuję Cię serdecznie Twoja Mania“.

— Otóż masz — zawołała pani Antonina, składając list siostry na stole. — Zawsze mówiłam, że ty jesteś do niczego, że ty nigdy nic nie potrafisz zrobić jak się należy — i sprawdziło się; oczywiście — ja wszystko wiem i nie mogę się mylić — przepowiedziałam i stało się!

— Proszę cię daj mi czysty pokój — rzekł pan Teodor z goryczą.

— Tak jest, dam ci pokój — a tymczasem kochany braciszek zagarnie Stokłosin z Rychłowicami i gotówkę, bo Borejko musi ją mieć i ma niezawodnie — już ja wiem, a nigdy się nie mylę. Mówiłam, pilnuj starego idyotę, pilnuj, bo ci się wymknie — ale gdzie tam,

zostawił braciszkowi pole do działania — a sam co? — nic, a to okropność.

— I cóż do licha miałem zrobić? — zawołał pan Teodor, przygryzając rude wąsy. Czyż miałem możność zmuszenia tego niegodziwca, aby mnie uniwersalnym spadkobiercą zamianował?

— Co miałeś robić?! — Rany Boskie on się mnie pyta co miał robić, Antka się lepiej zapytaj, on cię objaśni. Taka dobra sposobność — stary wdowiec sam jeden na świecie bez żadnej familii, bogaty, uwierzył, że jest wujem — nie, ja tego nie przeżyję...

— Nie miałem przecież środka, aby temu zapobiedz — próbował się tłómaczyć pan Moczarski.

— Miałeś! — zaprotestowała energicznie pani Antonina. Przedewszystkiem należało w Borejkę wmówić, że jest moim wujem a nie twoim

— Bagatela! zaśmiał się gorzko pan Teodor. — W takim razie byliby się wszyscy Bzikowscy z całego świata zlecieli jak kruki do Stokłosina!

— A tak się zlecą wszyscy Moczarscy z całej okolicy — odparła pani Antonina — i wszyscy odejdą z kwitkiem a pan Antoni,

jedyny braciszek, ukochany braciszek, — z fortuną.

— Rany Boskie, jaka ja nieszczęśliwa z takim mężem. Gdzie tobie do interesów; ani sprytu, ani rzutkości, ani rozumu — a taka dobra sposobność...

— Proszę — ani sprytu, ani rozumu — powtórzył pan Teodor — a ciekawym kto to wymyślił to pokrewieństwo z Borejką — co?

— I co nam z tego przyjdzie — zawołała pani Antonina. — Na owinięcie palca z całego majątku nawet nie dostaniemy; cóż to czy ja nie znam twego brata, czy ja się mylę — czy ja się kiedykolwiek mogłabym omylić.

— Czy nic nie da — to się dopiero pokaże — rzekł pan Teodor — gładząc całą dłonią rudą brodę i niesforne na dół spadające wąsy, co było u niego zawsze oznaką wysokiego zakłopotania.

— Pokaże? — Co się miało pokazać, to się już pokazało, nic innego nie będzie; testament jest, uniwersalny spadkobierca także jest, Zawadów zlicytują a my zostaniemy z dziećmi bez chleba.

— I załamała ręce pani Antonina z rozpaczy na wspomnienie przewidywanej przyszłości.

Pan Teodor siadł na kanapie i pogrążył się w zadumie. — W pokoju zapanowała cisza przerywana tylko westchnieniami pani Antoniny.

— Ależ Tolu — czekaj — zawołał naraz pan Teodor, jeszcze nic niema straconego; najpierw Jaś Kręcicki, mając u mnie sześć tysięcy, które w danym razie musiałyby spaść z hipoteki Zawadowa przy licytacyi — będzie musiał nam pomagać w swoim własnym interesie; powtóre — zanim wierzyciele wezmą się do Zawadowa — pójdą pierwej Słomkowce na bęben.

— I cóż to ma do rzeczy — zauważyła pani Antonina.

— Jak to, co ma do rzeczy. — To ma do rzeczy — przekonywał pan Teodor, że Antek ze Słomkowiec wyleci jak z procy, zanim Borejko oczy zamknie.

— Wyleci ze Słomkowiec i wleci do Stokłosina.

— Nie tak prędko — bo najpierw — zauważył pan Teodor — Borejko gdyby wiedział, że Antkowi grozi licytacya, mógłby jeszcze testament zmienić, zwłaszcza, że stary nudziarz ma jakieś dziwaczne przywiązanie do ziemi i nienawidzi tych, którzy ziemi się

pozbywają a jeszcze bardziej tych, których przymusowo ze ziemi się wyrzuca.

— Z obawy przed możliwością zmiany testamentu Borejki pan brat będzie musiał ratować Słomkowce, a ratować bez nas i Kręcickiego nie potrafi, zwłaszcza że Kręcicki skupił jego weksle.

— A zatem myślisz — rzekła pani Antonina, że zdołasz co od niego wytargować.

— Nie chcę zadowolnić się czemkolwiek, odpowiedział pan Teodor — krótko się z Antkiem załatwię i spadek od niego odkupię.

Spadek, odkupisz? Dorku rany Boskie co ty mówisz? Stokłosin i Rychłowice — sto tysięcy, skądże wziąłbyś pieniądze?

— Przecież na głowę nie upadłem — zawołał pan Teodor, — abym mu płacił za spadek tyle, ile on przedstawia wartości; jeśli dam za niego dwadzieścia a dwadzieścia pięć tysięcy — to wszystko!

— Dwadzieścia pięć tysięcy dając, trzeba je mieć, zauważyła pani Antonina.

— A ja mam trzy tysiące, które wziąłem za resztkę lasu od Holzfressera — te mogę dać Antkowi na zadatek, a na resztę musi poczekać.

— Jeśli zechce.

— O to nie mam obawy, musi zechcieć, bo innej drogi do wyjścia mieć nie będzie.

— Trzy tysiące masz zamiar mu dać na zadatek — rzekła po chwili pani Antonina — a bank?

— Jeszcze sprolongują do przyszłorocznych żniw — zapewnił pan Teodor.

I poweselał nagle. — Już to Antek — dodał po chwili — nie będzie się bardzo opierał, raz że Kręcicki będzie go musiał przycisnąć, powtóre, że Borejko żyje — i kto wie kiedy się zechce rozstać z tym światem.

— Rany Boskie Dorku — jęknęła pani Antonina — jeśli ten stary sknera jeszcze z dziesięć lat pożyje, zarżniemy się tem kupnem jak nożem.

— Dajno pokój Tolu — uspokajał pan Teodor — ośmdziesiąt lat i astma, zresztą jeśli nie mamy pójść z torbami, to na to jest jedna tylko rada, kupić spadek póki Borejko żyje i basta. Trzy tysiące dam teraz, resztę po śmierci Borejki — z dwojga złego lepsze mniejsze; nie można wziąć stu tysięcy weźmiemy siedmdziesiąt pięć.

— Jeśli braciszek na to się zgodzi — dorzuciła pani Antonina nieco uspokojona.

— Zgodzi się, zgodzi — bądź spokojna —

rzekł pan Teodor — Kręcicki mi pomoże. Ale Tolu już pierwsza minęła; poszlij kogo do stajni, niech Maciej zaprzęgnie do wózka i jedzie na stacyę; Jasiek niech sobie siwą nasiodła, pojedzie do Słomkowiec — a ja tymczasem napiszę do Antka, aby koniecznie wieczorem do nas przyjechał.

Pani Antonina z Bzikowskich Moczarska wyszła z kancelaryi męża, a pan Teodor zasiadł do pisania listu do brata.

W godzinę potem Jasiek na siwej wychudzonej szkapie wjeżdżał na dworski dziedziniec w Słomkowcach, a przed gankiem dworu w Zawadowie zatrzymał się parokonny węgierski wózek, którym do państwa Teodorów przybył Dr. Jan Kręcicki, adwokat z Dobrosławia z panną Wandą Bzikowską, mającą najszczersze zamiary rozbudzenia przygasłych uczuć w sercu pana Antoniego Moczarskiego, właściciela przedłużonych Słomkowiec, lecz zarazem uniwersalnego spadkobiercy pana Stefana Borejki ze Stokłosina.

II.

Mecenas Kręcicki z trudem wydobył się z wysokiego wózka na ganek, — odchrząknął, odsapnął, przywitał się z panią Antoniną, ucałował w milczeniu powietrze koło twarzy pana Teodora i wszedł do przepokoju, gdzie począł rozwijać się z futer, okrywek i szalów.

Panna Wanda tymczasem, uwolniwszy się z objęć czułej i stęsknionej siostry, wpadła do pokoju wesoła i rozbawiona.

— Powiadam ci Tolu, jaki ten Jaś zabawny — jak mamusię kocham, omal się w pierzyny nie kazał pozaszywać.

— Czemuż już i Mania nie przyjechała? — zapytała pani Antonina.

— Miśko zakatarzony i ona sama niezdrowa. Tolu, kiedy Antek przyjedzie?

— Dziś wieczór.

— No pomyśl — rzekła panna Wanda, stając przed lustrem — pomyśl, uniwersalny spadkobierca Borejki.

— Ciepła i pieniędzy panie dzieo — huknął we drzwiach mecenas — nigdy nie może być za wiele.

— Pieniędzy jak pieniędzy — rzekł pan Teodor wchodząc za nim, ale co do ciepła...

— Także panie dzieo, także. Śmiejesz się z moich dwóch futer i kożuszka — mówił Kręcicki, gładząc świecącą łysinę, — ale tam dziś psie powietrze panie dzieo, pluta, zimno, wiatr br... Gdyby nie sprawa tego testamentu i mój własny interes, byłbym panie dzieo nie tego...

— Zrobił testament na prawdę? zapytał pan Teodor.

— Słowo ci daję — upewnił mecenas. Rejent Gębarzewski nie zwodzi. Chciałem go wybadać, bliższych szczegółów panie dzieo dowiedzieć się od niego, ale odmówił, — powiedział, — że Borejko zobowiązał go do tajemnicy i dopiero po długich molestacyach panie dzieo powiedział mi w sekrecie, że Antoni został uniwersalnym spadkobiercą — i więcej panie dzieo niczego się od niego nie dowiedziałem.

— Nieszczęście — westchnęła pani Antonina.

— Nieszczęście, jak nieszczęście — zau-

ważyła panna Wanda, przymuskując brwi przed lustrem — to zależy od tego z kim się Antoś ożeni.

— Uhm — mruknął pan Teodor i spojrzał z ukosa na kandydatkę do stanu małżeńskiego, a zwracając się do żony rzekł z wyrazem zniecierpliwienia — Tolu każ dać obiad — przecież głodni...

— Zaraz — prawda, chodźmy Wandziu, zawołała pani Antonina i wziąwszy siostrę pod rękę wyszła do jadalni, pozostawiając męża sam na sam z Kręcickim.

— Uf źle, bardzo źle szwagierku panie dzieo, — rzekł mecenas — cóż jakże zrobisz z temi pieniądzmi?

— Z któremi — niby z temi od Borejki?

— Ii panie dzieo — co mi do Borejki — z mojemi panie dzieo, z sześciu tysiącami.

— A z tem — no co do tego widzisz Jasiu mam projekt — właśnie chciałbym z tobą pomówić — jeśli się uda — nic nie stracisz.

— Mówże panie dzieo a prędko bo tych sześć tysięcy — ledwie żyję z obawy, żeby tego...

— Czy ty masz jakie weksle Antoniego? zapytał pan Teodor.

— A mam — albo co?

— To dobrze Jasiu, dobrze — wszystko pójdzie gładko.

— Ba z nim pójdzie gładko panie dzieo, bo ze spadku Borejki odbiorę; ale z tobą — zauważył Kręcicki — to dopiero będzie rozpacz.

— Nic nie będzie — ja spadek od Antka odkupię, ale musisz mi dopomódz.

— Przecież Borejko, panie dzieo jeszcze żyje, zauważył mecenas.

— To też właśnie teraz pora spadek za bezcen odkupić, odparł pan Teodor.

— Ba, panie dzieo — prawo uważa takie transakcye, dotyczące spadków po ludziach żyjących — za niemoralne.

— Jasiu! zaśmiał się pan Teodor — i ty, ty z takimi romansami wyjeżdżasz.

— No to tylko dlatego panie dzieo o tem mówię, że co prawo nazywa tytułem niemoralnym, to tego zużytkować nie można, bo kontrakt taki byłby nieważny.

— Prawo prawem, a interes interesem — rzekł sentencyonalnie pan Teodor; ty zaś na to jesteś adwokatem, abyś mógł w danym razie zastosować taki *modus*, iżby i prawo nie mogło go obalić i zysk dał się osiągnąć.

Kręcicki począł gwałtownie pocierać świe-

cącą łysinę. — Teodorze — zawołał po chwili — a ile na prawdę ten majątek Borejki może przedstawiać wartości.

— Sto tysięcy — odpowiedział właściciel Zawadowa.

— A za ile masz zamiar spadek odkupić? — badał mecenas.

— Najwyżej za dwadzieścia pięć.

— Ha, panie dzieo, w takim razie mnie oddasz tych sześć i zapłacisz honoraryum, a ja rzecz przeprowadzę. Honoraryum dodał po chwili Kręcicki — nie będzie małe, — dwadzieścia tysięcy panie dzieo.

— Jasiu! krzyknął pan Teodor — miejże sumienie.

— E — panie dzieo, ktoby się w takie romanse wdawał w dzisiejszych ciężkich czasach.

— Dwadzieścia tysięcy — jęczał pan Teodor — szwagier, mój szwagier, każdy obcy przeprowadziłby ten interes za sto, za dwieście, niech powiem za pięćset guldenów.

— Wcaleby nie przeprowadzał panie dzieo, — bo to sprawa nie taka jasna jak słońce.

— Ależ zlituj się — wołał pan Teodor, miej Boga w sercu.

— Kiedy bo z tobą panie dzieo o interesie nie można mówić — zauważył adwokat — zaraz mówisz o sumieniu, o litości, o sercu — co to wszystko panie dzieo ma wspólnego z Borejką, z jego majątkiem i z interesem pomiędzy nami.

Pan Teodor zaczął znowu wąsy przygryzać; był zły, bo czuł że będzie się musiał sowicie opłacić zanim wejdzie w prawa swego brata. Wiedział, że bez Kręcickiego nie ma możności zniewolenia właściciela Słomkowiec do ustępstwa, a z Kręcickim, że go to ustępstwo będzie słono kosztowało.

— Ten cały twój projekt — rzekł po chwili mecenas — zły czy dobry panie dzieo dla ciebie, w to nie wchodzę — ale mnie psuje szyki. Słomkowce miałem zamiar kupić na licytacyi dla siebie, a tymczasem dwudziestu pięciu tysiącami on się wyłabuda i ja panie dzieo ze Słomkowiec muszę zrezygnować. Przecież za to należy mi się jakieś wynagrodzenie.

— Niechże będzie pięć tysięcy — rzekł pan Teodor.

— Dwadzieścia — odpowiedział krótko mecenas.

— Jasiu — pięć masz dosyć, co?

— Ani dziewiętnaście dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć — panie dzieo nie wezmę.

Pan Teodor popadał w coraz gorszy humor — Kręcicki był coraz zimniejszy i skąpszy w odpowiedziach.

Z jadalnego pokoju dolatywał brzęk rozstawianych talerzy, wreszcie w progu stanął chłopak kredensowy i zaprosił panów do obiadu.

Kręcicki wstał i ciężkim krokiem zdążał do jadalni, pan Teodor idąc za nim, zatrzymał go przed progiem.

— Jasiu ośmnaście rzekł mu do ucha.

— Ani grosza mniej jak dwadzieścia.

— Dziewiętnaście!

— Ani grosza mniej.

— Niechże będzie — jęknął w końcu właściciel Zawadowa, wiedząc, że Kręcicki od swojej ceny nie odstąpi, i że bez niego spadku nabyć nie zdoła.

— A to wróćmy panie dzieo — rzekł mecenas — i stanąwszy pod oknem wydobył z grubego portfelu dwa weksle, których treść podyktował panu Teodorowi i podpisania ich przez obojga małżonków zażądał.

Właśnie pani Antonina weszła do kancelaryi męża, aby ponowić zaproszenie na obiad

i dowiedziała się o zawartej przed chwilą umowie. Dowiedziawszy się, że spodziewany po Borejce spadek znowu znacznie nadtopniał — nie mogła zapanować nad sobą i wybuchnęła głośnym płaczem. Licząc na potęgę łez kobiecych, poczęła Kręcickiego molestować i zaklinać, przemawiać mu do sumienia i do serca — jak to z początku rozmowy czynił pan Teodor — ale niewzruszony mecenas obstawał przy swojem, na krok nie ustąpił, wytłómaczył pani Antoninie, że bez jego pomocy o zmuszeniu właściciela Słomkowiec do sprzedaży spadku ani mowy nie ma — i w końcu skłonił ją do podpisania weksli, które mu zapewniały zastrzeżone honorarium.

— Tylko, że to tak jakoś panie dzieo trochę dziko wygląda, rzekł zawiązując sobie serwetę na szyi, — po prostu pijemy na skórę żywego niedźwiedzia.

— Ba — odezwał się kwaśno pan Teodor — niedźwiedź stary lada dzień skończy, skóra dostatnia, jest z czego łyka udrzeć.

— Prawda co? panie dzieo — odciął się Kręcicki — wmówiłeś w niego pokrewieństwo, brata urządzisz i dobrze się obłowisz.

— Ciekawa jestem — rzekła pani Anto-

nina — w jaki sposób on sobie pozyskał tego starego idyotę.

— A ta sprawa panie dzieo opierała się o moją kancelaryę, odpowiedział Kręcicki. Borejko wytoczył Lebiszewskiemu z Lichocina proces o dwa morgi gruntu. — Grunt był Borejki, ale Lebiszewski, którego broniłem w tej sprawie, miał jakimś cudem panie dzieo dokument, na którym tamten swoje prawa opierał. Proces więc panie dzieo chylił się na korzyść Lebiszewskiego, a Borejko, dziwak jakiego świat nie widział — tym obrotem sprawy był panie dzieo okrutnie zmartwiony. Nie szło mu o ten grunt, ale jak mówił panie dzieo o zasadę, o słuszność i opinię, aby go nie posądzano, że bez racyi z urojonemi pretensyami występywał. Pan Antoni wcale sprytnie się z tem urządził — jeździł codziennie do Stokłosina i schlebiając staremu Borejce i wyręczając go panie dzieo na każdym kroku, dowiedział się o jego zmartwieniu — zaofiarował się mu więc z pomocą, którą Borejko przyjął.

— Widzisz Dorku nie mogłeś ty to zrobić — westchnęła pani Antonina.

Otóż, ciągnął dalej mecenas pan Antoni, panie dzieo po prostu sporny przedmiot od

Lebiszewskiego kupił — Lebiszewski kazał sobie za grunt zapłacić po cichu mówiąc panie dzieo po raz drugi — jak za rodzoną matkę — pan Antoni pożyczył u Wuchermanna trzy tysiące — zapłacił — a Lebiszewski uznał przed sądem własność na rzecz Borejki.

— Dorku jakiś ty niedołęga, zawołała pani Antonina.

— Ii, gadanie odparł pan Teodor — Słomkowce o miedzę od Stokłosina — a Zawadów o dwie mile.

— Ale ten Borejko to stary złośliwiec. Przy tem oświadczeniu łypał jakoś złem okiem na pana Antoniego i mruczał: jeżeli który Moczarski jest moim kuzynem — to tylko pan Antoni.

— Jak Mamusię kocham niema nic złego, coby na dobre nie wyszło, zakonkludowała panna Wanda.

Pan Teodor spojrzał na nią z ukosa.

Obiad w Zawadowie kończono w smutnym nastroju — pan Teodor nie miał apetytu — pani Antonina wzdychała — Dr. Kręcicki jadł za trzech, a panna Wanda była zniecierpliwiona.

Gdy wstawano od stołu — zaturkotał wó-

zek przed gankiem. Do Zawadowa przyjechał pan Antoni Moczarski, właściciel Słomkowiec i uniwersalny spadkobierca p. Stefana Borejki.

III.

— Przyjechał — jak mamusię kocham przyjechał! — zawołała panna Wanda radośnie. — Tolu! jest puder w twoim pokoju? A żelazka do włosów?

— Chodź, chodź — odpowiedziała pani Antonina — we wszystko cię zaopatrzę.

— Tolu, ty zostań, przywitasz go przecie.

— Ja? A to dobre! znienawidziłam go odkąd został uniwersalnym spadkobiercą.

— A ja przeciwnie — odparła Wanda i wybiegła z pokoju a za nią szybkim krokiem wyszła pani Antonina zła i chmurna.

Pan Antoni wprowadzony przez Teodora zastał w pokoju samego tylko Kręcickiego.

— Uszanowanie mecenasowi, zawołał od progu.

— Sługa panie dzieo — moje uszanowanie. Dobrze, że pan przyjechał, bo mam do pana ważny i pilny interes.

— Domyślam się — odrzekł przybyły,

tylko wątpię, czy co z tego będzie; jestem na razie bez pieniędzy; urodzaje były złe, pszenica jeszcze jako tako obrodziła, ale wołczki ją zjadły — niema z czego zrobić gotówki.

— To nie dobrze panie dzieo — to nawet bardzo niedobrze — zaznaczył mecenas, a widząc że rozmowa od początku weszła na pożądany dla niego temat — postanowił sprawę spadku Borejki z miejsca załatwić.

— Widzi pan — odezwał się po chwili jurysta — ja dłużej panie dzieo czekać już nie mogę, a o innych wierzycielach, to nie ma nawet co mówić.

— Jeszcze trochę cierpliwości — rzekł pan Antoni — trochę tylko, a pieniądze będą.

— Od Borejki panie dzieo, co?

— A tak od niego.

Mecenas uśmiechnął się ironicznie i machnął ręką z lekceważeniem.

— Zrobił przecie testament — rzekł pan Antoni — i mnie uniwersalnym spadkobiercą zamianował.

— To ładnie panie dzieo — i o tem słyszałem, ale pieniądze z tego źródła mogą przyjść za lat dwadzieścia.

— Za dwadzieścia — powtórzył niepe-

wnym głosem pan Antoni, który widać w rachubach swoich nie uwzględniał tej możliwości.

Mecenas spostrzegłszy, że zrobił wrażenie — dodał przekonywująco:

— Tak, tak panie, co najmniej za dwadzieścia.

— Ależ on ma ośmdziesiąt dwa lat — odparł Antoni.

Ba, ale z rodziny panie dzieo długowiecznej. — Ojciec Borejki umarł w sto szóstym roku życia.

— Co? w sto szóstym — jęknął pan Antoni.

— Uhm.

— Ależ mecenasie — rzekł właściciel Słomkowiec — astmatyczny...

— No to za ośmnaście panie dzieo.

— Chory na śledzionę...

— To za szesnaście!

— Nogi mu spuchły, — argumentował Antoni.

— W takim razie, jeśli panie dzieo nie za lat dwadzieścia ani za szesnaście — to za dziesięć — a tu tymczasem pieniędzy potrzeba zaraz.

— Ależ to być nie może — protestował uniwersalny spadkobierca — Dr. Molicki wy-

raźnie mi powiedział, że puchlina nóg to zły znak.

— A oczywiście, że zły panie dzieo — odrzekł Kręcicki, który nie łatwo ustępywał — dlatego zły, bo spadkodawca przy puchlinie nóg lubi ciągnąć latami. Molicki wiedział panie dzieo, że panu potrzeba tego spadku zaraz i uprzedził pana, że u Borejki wystąpił zły znak — dla pana.

— Ależ ja to całkiem przeciwnie zrozumiałem — rzekł Antoni.

— Ba, to i cóż z tego panie dzieo, że pan inaczej zrozumiałeś — kiedy nauka stwierdza tak jak ja mówię. Po spuchnięciu nóg przychodzi polepszenie.

— Ou do djabła — jęknął Antoni, jemu w istocie wczoraj znacznie się polepszyło.

— A co panie dzieo — nieprawdaż?

— Duszność się zmniejszyła dodał Antoni.

— A co, nie? proszę pana, — ja panie dzieo — mówił mecenas — szczerze życzę panu jak najprędzej, ale cóż począć — ta sprawa przeciągnie się, bardzo się przeciągnie, a tymczasem panie dzieo — cóż będzie — ha?

Pan Antoni z przerażeniem patrzył na jurystę.

— Gdyby tak było — rzekł po chwili złamanym głosem — to będzie ze mną bardzo krucho. Słomkowce pójdą na licytacyę, a w takim razie ten pół waryat a pół dziwak gotów testament odmienić.

— A otóż to, otóż to, nawet panie dzieo takie wersye krążą, że mu ktoś napomknął już o pańskich długach.

— O do djabła! krzyknął pan Antoni.

— A tak, tak panie dzieo — smutna to rzecz, ale prawdziwa.

— Któżby mu doniósł o tem, co w takiej tajemnicy przed nim chowałem — rzekł Antoni — któżby — jeśli nie panowie Żurkowscy.

— Cóż to za jedni panie dzieo? — zapytał mecenas.

— Stary Żurkowski — odpowiedział Antoni — to ekonom Borejki, a ten młody pan Mieczysław to djabli wiedzą — próżniaczysko, taki łuszczybochenek i nic więcej. W wykrzywionych butach chodzi, z chłopami się wdaje i pisze jakieś tam książki, czy coś.

— I jeszcze jedno powiem panu panie dzieo — rzekł mecenas — wierzyciele mają zamiar zwrócić się wprost do Borejki.

— Co? — jęknął Antoni — w takim razie mnie zrujnujecie — sami nie będzie-

cie mieli dla siebie pokrycia i wszystko przepadnie!

— Ja też panie dzieo nie należę do tych, którzy chcą na tej drodze działać, — owszem do tych, którzy chcą innych wierzycieli odwieść od tego kroku — i dlatego tu przyjechałem, aby się panie dzieo z panem porozumieć w tej materyi.

— Ah — przepraszam panie mecenasie — rzekł pan Antoni — odmiennie to zrozumiałem. Czy ma pan dla mnie jaką radę? zapytał po chwili.

— Mam panie dzieo, mam!

— Jakąż?

— Sprzedać spadek i basta!

— Ba sprzedać, kto go kupi, gdy Borejko jeszcze żyje.

— I długo jeszcze panie dzieo będzie żył, ale o kupcu już pomyślałem. Ze względów wyższych, ze względów na węzły rodzinne i moralny obowiązek ratowania brata od ruiny, zobowiązałem panie dzieo Teodora do odkupienia od pana tego przyszłego spadku.

Pan Teodor, który dotychczas w milczeniu przysłuchiwał się rozmowie prawnika

z panem Antonim, wzruszył ramionami tak, jakby mu narzucano ciężar wbrew jego woli.

— To nic nie pomoże panie dzieo, rzekł mecenas, zwracając się do Teodora — trudno, musisz ponieść pewną ofiarę dla brata w nieszczęściu; — wszakże to jedna krew, jeden ród, jedno nazwisko...

— Jeśli możesz — dodał Antoni — to kup, mnie wyratujesz i sam coś zyskasz.

— Ale kiedy?... — rzekł pan Teodor — ty wiesz, że ledwie dyszę w tym Zawadowie.

— Kiedy i kiedy panie dzieo — wtrącił znowu mecenas, o tem mowy niema; co zaangażujesz w interes, to bez terminu — może za dwadzieścia lat, może za piętnaście, któż to wie.

— A może za miesiąc, za tydzień — dorzucił pan Antoni.

— E — za tydzień — odrzekł niechętnie pan Teodor. Zresztą kupić, kupić — Jaś mnie namówił i zdecydowałem się, ale zważ, że połowa spadku Borejki i tak do mnie należy.

A to z jakiej racyi? — zapytał Antoni.

— Z tej — odpowiedział pan Teodor — że Borejko za mojem staraniem został naszym wujem i w pokrewieństwo uwierzył.

— Ii uwierzył, tak jak i ty uwierzyłeś —

zawołał pan Antoni — ile razy mówi o tem pokrewieństwie, to się tak dziwnie uśmiecha a tak zjadliwie spogląda, że aż patrzeć nie miło. Mnie zawsze nazywa swoim niby kuzynem.

— Mimo tego jednak mianował cię uniwersalnym spadkobiercą, zauważył właściciel Zawadowa.

— Tak, ale to z innej racyi — zabiegałem o to jak mogłem i oddałem mu bardzo kosztowną przysługę w sprawie z tym starym wygą.

— Z Libiszewskim z Lichocina?

— Uhm.

— Koniec końcem panie dzieo niema innego wyjścia — odezwał się Kręcicki — sprzedać prawa do spadku i basta.

— Ileżbyście dali? — zapytał pan Antoni.

— Czy ja wiem? — odrzekł Teodor.

— Nie zapominaj, że Stokłosin i Rychłowice z inwentarzami to perła.

— Uhm — perła — mruknął właściciel Zawadowa, tylko że koncha z tą perłą jeszcze na dnie morskiem.

— Borejko ma także i gotowego grosza sporo — dodał Antoni.

— Ma albo nie ma — odparł pan Teodor — widziałeś? liczyłeś?

W tej chwili otwarły się drzwi od pokoju pani Teodorowej — i w jej towarzystwie weszła panna Wanda wyświeżona, ufryzowana według ostatniej mody, z imitacyą rumieńców na twarzy, czarująca w półświetle, wydobywającem się z poza abażuru lampy.

Pan Antoni zerwał się z krzesła — powitał bratową, która w milczeniu podała mu rękę i zwrócił się do panny Wandy.

— Jakże się cieszę — zawołał — że panią tu zastaję.

Wanda westchnęła niby ukradkiem — a potem z pod oka gorące rzuciła spojrzenie i przekonawszy się, że ono doszło adresata, uśmiechnęła się słodko i zalotnie.

— Nie przypuszczałem, że się dziś spotkamy.

— Ja miałam przeczucie, że... i z rozmysłu nie dokończyła rozpoczętego zdania, opuszczając długie rzęsy na lica, okraszone sztucznym rumieńcem.

Pan Antoni spojrzał na nią raz i drugi, w źrenicach zaświeciły mu jakieś blaski, przez myśl przemknęło wspomnienie minionej wiosny słonecznej, kiedy był już tak bliski

połączenia swoich losów z jej losami na zawsze.

Uczuł żal jakiś daleki, jakąś tęsknotę do tych chwil bezpowrotnie w przepaść zapadłych — ale trwało to krótko jak jedno mgnienie oka. — Obraz świetlany zgasł, zatarło go wspomnienie pana radcy Bzikowskiego, na zgiętych w kolanach nogach — starego nudziarza, który obydwom swoim zięciom pokazywał na wabika przed ślubem po dwanaście tysięcy — a po ślubie z płaczem przyznawał, że je tylko wypożyczył i musiał oddać.

Po panu radcy w myśli pana Antoniego zamajaczyła jak z za mgły smukła postać młodziutkiej blondynki o czarnych oczach, koralowych ustach i trochę zadartym nosku, Duninówna z Pustopola — jedynaczka — posag może nie zbyt wielki, ale pewny.

Żal i tęsknota daleka, rozbudzona przed chwilą, na rozkaz rozumu liczącego się ze sytuacyą —ześlizgnęły się po właścicielu obdłużonych Słomkowiec — i spojrzał raz jeszcze na pannę Wandę — tym razem już zimno i obojętnie, jakby ją pierwszy raz w życiu spotykał...

Panna Wanda uczuła, że uniwersalny spadkobierca wymyka się jej w tej chwili — wy-

słała więc pod adresem pana Antoniego kilka gorących a szybko po sobie następujących spojrzeń i westchnień — ale daremnie: pan Antoni pociski te odpierał chłodnym uśmiechem i zupełną obojętnością.

— Dawno nie miałem przyjemności.

— I ja także — rzekła panna Wanda — często myślałam nawet, że jesteśmy w powinowactwie, a tak rzadko widujemy się teraz; dawniej jakoś częściej...

— Tak, dawniej — jakoś częstsza bywała sposobność.

— Mecenas zaczął pokrząkiwać.

— Teraz pan rzadko kiedy do Dobrosławia zagląda.

— Jak się miewa pan radca? zapytał Antoni, przypominając Wandzie powód zerwania.

— Papa? — odpowiedziała — o wcale — tylko teraz trochę na reumatyzm zapada.

— Powinienby do Piszczan — doradzał Antoni — przecie ma za co — nie pożycza...

— Ah tak.

— Zatem do interesu — huknął mecenas — jeśli ma co być z tego panie dzieo.

Rozmowa w Zawadowskim dworze zeszła znowu na Stokłosin i przyszły spadek — mecenas wciągnął w nią natychmiast właściciela

Słomkowiec i wszyscy trzej panowie, przejęci ważnością interesu, zajęli się przedmiotem — tak, że panie pobywszy chwilę w salonie, nie mogąc brać udziału w kwestyi dla nich obcej — wyszły do drugiego pokoju. Dwaj bracia tymczasem przy pomocy Kręcickiego rozpoczęli targ o ekwiwalent.

— Dwadzieścia tysięcy to wszystko panie dzieo — huczał jurysta — czego się pan możesz spodziewać.

— Ani grosza więcej! zakrzyknął Teodor.

— Nie sprzedam, jeśli nie dostanę czterdzieści — powtarzał pan Antoni.

— A to panie dzieo nic pan nie dostanie i spadku nie będzie — bo ja panie dzieo pierwszy z wierzycieli zwrócę się do Borejki, a on Teodorowi cały majątek zapisze i basta!

Targ stawał się z każdą chwilą coraz więcej zażarty — na twarzach trzech „ludzi“ wystąpiły wypieki ceglastego koloru, gardła ochrypły, usta wyrzucały potoki słów i argumentów dla przekonania przeciwnika, wszystkie nerwy w nich grały, — żyli palącą gorączką pieniężną!

Setkę po setce dokładając, doprowadził już Kręcicki z panem Teodorem ekwiwalent do dwudziestu pięciu tysięcy; pan Antoni

znacznie osłabł w uporze; wreszcie gdy mu jeszcze dorzucono pięćset złotych, poddał się zrządzeniu losu.

Naraz uciszyło się w salonie.

— Teodorze — rzekł Kręcicki, — możebyś panie dzieo — papier, pióro, atrament...

— Może przejdziemy do kancelaryi — odpowiedział właściciel Zawadowa.

— A dobrze panie dzieo.

— Przepraszam — zawołał Antoni, zatrzymując wychodzących — jeszcze jedno zastrzeżenie: Żurkowskich, ojca i syna natychmiast po objęciu spadku ma Teodor z majątku wyrzucić, a natomiast zostawić karbowego Wojciecha, którego udało mi się wsunąć do Stokłosina, aby mi wszystko donosił.

— Ale ma się rozumieć panie dzieo, ma się rozumieć, gdzieżby znowu Teodor ekonoma trzymał w Stokłosinie.

Przyszedłszy do kancelaryi — mecenas zasiadł przy biórku i puścił pióro po papierze; — dwaj bracia stanęli za krzesłem, patrząc na szeregi powstających czarnych liter na białej przestrzeni.

— Co, co, co?! zawołał pan Antoni.

— Co — panie dzieo, ha?

— Z mocy testamentu świętej pamięci

Stefana Borejki — przeczytał pan Antoni — przecież on jeszcze żyje.

— Ba panie dzieo — żyje, pewnie że żyje, ale przecież musi umrzeć przedtem, zanim ten dokument nabierze mocy prawnej.

— Oczywiście — potwierdził pan Teodor.

— Aha — no to dobrze; teraz rozumiem — rzekł przekonany pan Antoni.

Mecenas zasypywał arkusz papieru tłumami czarnych liter, bracia-kontrahenci łowili z poza jego ramion każdy powstający wyraz, dopóki Kręcicki nie umieścił ostatniej kropki i pauzy. — Skończywszy treść dokumentu, napisał Zawadów, dnia . . . . . i urwał.

— Ośmnastego listopada — podpowiedział Antoni.

— Ale gdzież tam panie dzieo — rzekł jurysta — datę wypełni się wówczas, gdy Borejko będzie już tego...

— A — tak, rozumiem — zawołał pan Antoni — no dobrze, dobrze.

— Podpiszcie panie dzieo — pan pierwszy, Teodor drugi.

Bracia dokument ustępstwa podpisali, właściciel Zawadowa wydobył z kieszeni plik banknotów i podając je panu Antoniemu, rzekł: — Trzy tysiące jako zadatek.

Wszyscy trzej pochylili głowy nad dłońmi pana Antoniego, który ująwszy banknoty, przesuwał palcami jeden po drugim, szepcząc ilość przesuniętych papierów. — Pan Teodor i Kręcicki szeptali także każdy dla siebie.

I w ciszy, jaka panowała w pokoju, ten szept wydawał się jakby modlitwa — nie wznosząca się jednak ku niebu, lecz za śladem rozpalonych, ócz spadająca ku ziemi na plik wymiętych i brudnych banknotów.

Jeszcze nie doliczył pan Antoni do końca, gdy wbiegł chłopak kredensowy do pokoju.

— Proszę pana — rzekł do niego — karbowy Wojciech ze Stokłosina przyjechał i chce panu coś pedzieć.

— Niech tu przyjdzie — odpowiedział pan Antoni, nie odrywając oczu od liczonych pieniędzy.

W progu skłonił się do ziemi przybyły.

— Niech będzie pochwalany!

— Na wieki — co tam Wojciechu — zapytał były uniwersalny spadkobierca pana Borejki.

— A no prose pana — odpowiedział Wojciech, kłaniając się znowu do kolan — starsy pon w Stokłosinie dzisiok na samo połednie, pomer.

IV.

Państwo Duninowie w Pustopolu mieli właśnie zasiąść do kolacyi, gdy na dziedzińcu ozwał się turkot kół.

— Pewnie proboszcz — rzekł pan Dunin, marszałek dobrosławskiego powiatu — Stefciu, każ dać jeszcze jedno nakrycie.

— Panna Stefania, smukła blondyneczka o czarnych wyrazistych oczach i nieco zadartym nosku — wstała z krzesła.

— Pewnie przygotować karty i orzechów do grania — zawołała wesoło.

— Oczywiście — dodała pani Jadwiga — wiesz przecie, że tatuś musi od proboszcza wygrać kilka orzechów.

— I o każdy z osobna należycie się wysprzeczać — dokończyła córka.

— Nie śmiej no się, nie śmiej — rzekł pan Aleksander, bo to proboszcz temu winien; pamięć starowinę opuszcza, zapomina co zagrywa a czem bije i potem spiera się najniesłuszniej.

— Pan Żurkowski! — zaanonsował służący.

Pan Żurkowski? zdziwił się marszałek — proś ale tu, zaraz siadamy do wieczerzy.

Do jadalni wszedł młody człowiek, więcej niż średniego wzrostu, o śniadej cerze.

Panna Stefania zarumieniła się i uśmiechnęła wesoło; uśmiech jej zgasł natychmiast na widok jego bardzo poważnej postawy.

— Darujcie państwo — odezwał się przybyły, że o tej porze wstępuję do Pustopola po drodze — wstąpiłem jednak na chwilę, aby oznajmić państwu bolesną wiadomość, że pan Borejko — nie żyje.

— Umarł?! zakrzyknął marszałek.

— Dziś w południe — brzmiała odpowiedź.

Cisza zaległa komnatę — pani Jadwiga przeżegnała się i zaczęła odmawiać modlitwę za umarłych, panna Stefania poszła za przykładem matki, starając się ukryć łzy, które jej z óczu spadały na wspomnienie kochanego dziadunia — a pan Aleksander padł na fotel i ukrył twarz w obydwu dłoniach.

Cała rodzina państwa Duninów szczerze i serdecznie opłakiwała zgon obywatela, po

którym pan Aleksander objął marszałkostwo powiatowe.

— Najszlachetniejszy człowiek ubył z pośród nas panie Mieczysławie — rzekł marszałek głosem przez łzy zdławionym — najszlachetniejszy i najzacniejszy obywatel w kraju.

— Społeczeństwo, a szczególniej nasza okolica, poniosła niepowetowaną stratę — rzekła pani Jadwiga. Jakież to było złote serce, jaka poczciwa dusza!

— Nasz dziaduś ukochany — dodała panna Stefania.

Mieczysławowi łzy świeciły w oczach.

— Tak, to był wyjątkowy człowiek — odezwał się po chwili — o szerokich poglądach, pełen miłości i poświęcenia — prawdziwy naśladowca Chrystusowy.

— Zdaje się — westchnął pan Aleksander, że w całej okolicy niema nikogo, ktoby mu czegoś dobrego nie pamiętał. — Mnie wychował, gdy mnie rodzice w dzieciństwie odumarli — zastąpił mi ojca i matkę, uratował Pustopole od zagłady — nauczył kochać tę ziemię rodzoną, nauczył pracy i wzniosłe wskazał jej cele.

— I ja to samo mam mu do zawdzię-

czenia — rzekł rozrzewniony Żurkowski — i mnie wiódł po Bożej drodze, rozdmuchiwał w młodocianej duszy każdą iskrę myśli i uczucia.

— Mój Boże, mój Boże — westchnęła pani Jadwiga — wczoraj tak mu się już polepszyło — miałam nadzieję, że się jeszcze podniesie.

— Dziaduś wczoraj żartował, taki był wesół — dodała panna Stefania.

— Biedny starowina — rzekł marszałek — mówił wczoraj ze śmiechem, że na złość spadkobiercom do setki dobije — a dziś, mój ty Boże mocny... Czy ciężko umierał panie Mieczysławie?

— Spokojnie — odpowiedział Żurkowski, z rana senny był — ułożył się i usnął — w tym śnie gasło życie, oddech miał coraz cichszy, coraz krótszy, wreszcie w sypialni zrobiła się jakaś przerażająca cichość. Zbliżyliśmy się z moim ojcem i panią Kokoszyńską do jego łóżka i wtedy spostrzegliśmy, że nie żyje. — Zasnął na wieki, a na ustach przymarł mu uśmiech niewysławionego szczęścia!

— Niebo musiało się przed nim na wście-

żaj otworzyć za ten długi poczciwy i ofiarny żywot — dokończył marszałek.

— Zrządzenie Boże — rzekła panna Stefania — Stokłosin opustoszał.

— W Stokłosinie powszechna żałoba, proszę pani — mówił Mieczysław — ci najbliżsi sąsiedzi nieboszczyka z pod słomianych strzech — zalegli całą komnatę i sień we dworze, modląc się płakali rzewnemi łzami na świadectwo, kim dla nich był ten starzec spoczywający na śmiertelnej pościeli.

— Mój biedny ojciec — dodał po chwili — z płaczu utulić się nie mógł.

— Ba — zżyli się ze sobą, sześćdziesiąt lat razem, kawał czasu — zauważył marszałek.

— Czy w istocie rozporządził nieboszczyk swoim majątkiem, zapytał po chwili.

— Tak jest — odpowiedział Mieczysław — zamianował podobno uniwersalnym spadkobiercą pana Moczarskiego ze Słomkowiec. — Marszałek skrzywił się.

— Słyszałem o tem, ale nie chciałem wierzyć.

— Przecież to jakieś pokrewieństwo, wtrąciła pani Jadwiga.

— Ii — jakie znowu pokrewieństwo, odparł pan Aleksander.

— Przynajmniej państwo Moczarscy z Zawadowa tak utrzymywali.

— I ja słyszałem — rzekł Mieczysław — chociaż nie wiem, jak i przez kogo spokrewnieni są z rodziną Borejków — nieboszczyk natomiast utrzymywał zawsze, że niema żadnych krewnych.

— Dziwi mnie ten testament, boć przecie wiem, że nieboszczyk miał zamiar jakąś szkołę rolniczą ufundować — mówił pan Aleksander.

— Ha — widać, że inaczej postanowił — odrzekł Mieczysław. Ksiądz Sawicki, gdy się dowiedział o testamencie i ustanowieniu sukcesyi, ogromnie się zaniepokoił — i starał się odwieść nieboszczyka od tego — ale nieboszczyk się uparł i powiedział przy mnie proboszczowi: księżuniu, co niby kuzyn to kuzyn — a będziecie mieli w Stokłosinie dobrego kolatora!

— Proboszcz ma żal do pana Moczarskiego — wtrąciła panna Stefania.

— A tak, o tę konkurencyę zeszłoroczną — rzekła pani Aleksandra — nie dopuścił przecie do naprawy kościoła.

— Kiedyż pogrzeb? — zapytał pan Aleksander.

— W sobotę — panie marszałku, po południu — odpowiedział Mieczysław — na cmentarzu powie mowę ks. Sawicki — a możeby pan marszałek zechciał przed domem?

— Bardzo chętnie, bardzo chętnie uczczę pamięć mego dobrodzieja — zapewniał pan Aleksander — ze łzami w oczach.

— W takim razie misya moja skończona — rzekł Mieczysław — dziękuję panu marszałkowi imieniem tych wszystkich, którzy opłakują zgon tego poczciwego staruszka.

— I my go opłakujemy — dodała panna Stefania.

— Nie zostanie pan u nas na wieczerzy? — zapytała pani Jadwiga, widząc, że Mieczysław zabiera się do wyjścia.

— Bardzo dziękuję, już furmanka za mną idąca musiała nadciągnąć, spieszno mi dalej w drogę — do Dobrosławia. — Jadę po sprawunki pogrzebowe, po trumnę, zaprosić księży świeckich i zakonnych na smutny obrzęd, i rozesłać zawiadomienia.

Mieczysław pożegnał państwa Duninów, uścisnął przyjaźnie podaną sobie rączkę panny Stefanii i wyjechał z Pustopola.

Państwo Duninowie w milczeniu zasiedli do wieczerzy. Żal po tym staruszku ze Sto-

kłosina, zawsze uśmiechniętym i wesołym, a takim bardzo serdecznym i poczciwym, odjął im ochotę do dalszej rozmowy.

Po kolacyi pan Aleksander przeszedł do swego pokoju, zasiadł przy biurku i pisał. Przygotowywał sobie mowę pogrzebową i snać wiele uczuć przelewał na papier, bo siwe oczy marszałka raz i drugi zaszły łzami i wreszcie po ogorzałych licach spadły na szpakowate wąsy dwie duże łzy gorące.

Do późna w nocy płonęło światło w pokoju właściciela Pustopola; na drugiej stronie w sypialni pani Jadwigi płonęła migotliwem światłem czerwona lampka przed obrazem Najświętszej Panny — przed którym pani Duninowa na klęczkach się modliła — tylko panna Stefania usnęła, przenosząc ze sobą w krainę snu smutek i żal po ukochanym dziadusiu.

I śnił się jej ten dziaduś ze Stokłosina, wesoły, uśmiechnięty, żartobliwy jak zawsze — przyjechał do Pustopola huczno i dworno — i pan Mieczysław z nim przyjechał — była wiosna, była zieleń, kwitły bzy — słońce było, niebo modre — i wesele było; — ona z Mieczysławem klękła na kobiercu, a dziaduś się uśmiechał — uśmiechał i błogosławił.

V.

— Nie właź tu do salonu w zabłoconych buciskach — zawołała śpiewnym akcentem na brata Mania Libiszewska, okazałej tuszy, trzydziestoletnia córka pana Stanisława Libiszewskiego, właściciela Lichocina.

— Mańka! — rzekł pan Józef — jeśli nie chcesz, abym wlazł do salonu, to wołaj ojca na drugą stronę — a duchem, bo mam mu coś pilnego powiedzieć.

— Powiedzże i mnie, prędzej, bom ciekawa, a jakże.

— Cóż se myślisz, dwa razy jedno będę opowiadał — wołaj ojca i już.

To mówiąc, poszedł do swego pokoju, w którym zarazem mieściła się spiżarnia i rupieciarnia gospodarska.

Ściany były nabite kołkami, na nich wisiały połcie wędzonej słoniny, wydzielające właściwe odory, na innych kołkach wisiały kantarki i chomąta, po kątach stały worki z mąką i ze zbożem, oddanem wedle reje-

stru na dom — a w jednym kącie stało łóżko pana Józefa niezaścielone i niemożliwie brudne

Na tym barłogu usiadł pan Józef i zapalił papierosa, a pogwizdując, spoglądał na drzwi.

W sieniach odezwało się dreptanie, drzwi skrzypiące odemknęły się na rozcież i do pokoju pana Józefa wpadł pan Stanisław Libiszewski, a za nim wtoczyła się jak kula piegowata panna Mania.

Pan Libiszewski, małego wzrostu człowieczek, siedmdziesiątki dobiegający, ale rzeźki i żwawy, o podłóżnej i dobrze pokrytej głowie, cienkich białych wąsikach i napoleońskiej bródce, a małych burych i przenikliwych oczkach — stanął przed synem w wyczekującej postawie.

— Ojciec! — zawołał Józef — Borejko już kłapnął.

— Nie pleć! zawsze jakieś plotki znosisz.

— Jak Boga kocham.

— Kiedy?

— A wczoraj w południe — i taki prawda, że Moczarskiego ze Słomkowiec zrobił dziedzicem.

— O Jezus! zaśpiewała panna Mania.

— Nie pleć!! krzyknął Libiszewski.

— Jak Boga kocham!

— A psiakrew! — westchnął stary wyga — ten się obłowił — i zaczął szybkim krokiem przebiegać rupieciarnię wzdłuż i wszerz, od kąta do kąta, od worka do worka.

— Trzeba mieć szczęście — dalibóg.

— A, a widzi ojciec, mówiłem, na co procesu z takim warjatem, który sam pieniądze ludziom rozdawał, choć go o to gdzie niektóry nawet nie prosił.

— Ii — Józek tyś zawsze głupi, jak stołowa noga — zawyrokował stary; niby to bez tego procesu byłby mnie albo tobie majątek zapisał — ha?

— A może.

— No to może — a morze daleko — tymczasem trzy tysiące za grunt do kieszeni wlazło — lepszy rydz, jak nic.

— Ale ten Moczarski będzie miał teraz rydza — śpiewała panna Mania, kręcąc głową na prawo i na lewo — Słomkowce, Stokłosin, Rychłowice — a jakże.

— Bagatela, — obłowi się jeszcze lepiej, obłowi — a gotówka co? — przynajmniej sto tysięcy.

— A wie ojciec, jakoś o gotówce nie gadają.

— Ba, ja wiem, że miał — i gładząc czuprynę, dodał po chwili: — nie dałbym trzy grosze za to, że tych pięć tysięcy, które nam przez bank hipoteczny przed dwoma laty posłano, gdy się wszystko spaliło, i krescencya i inwentarze — że to nieboszczyka sprawka?

— Jak Boga kocham, może być — rzekł pan Józef — to do niego podobne, on był taki warjat. Wie ojciec przecie, jak mu chłopi drzewo kradli w lesie na Wichowem, a on ich złapał — to kazał leśnym, aby im pomogli na furę złożyć — dalibóg!

— Warjat — jęknął stary — nic innego. Szkoda, że nie pomyślałem pierwej, aby go wziąć pod kuratelę, a majątek w administracyę — byłby człowiek odsapnął z tej lichocińskiej biedy.

— A, jak Boga kocham — zawołał pan Józef. — Tylko, dodał po chwili, w takim razie Moczarski ze Słomkowiec albo ze Zawadowa byłby wziął administracyę, bo krewni.

— Uhm krewni, mruknął stary, tacy jego krewni, jakeś i ty krewny chińskiego cesarza.

— A oni powiadają...

— E co oni powiadają, jeden wyga lepszy jak drugi — tak rozgłaszali, aby się

tylko czego chwycić i o co zaczepić, gdy stary umrze. Co ty wiesz, Stokłosin i Rychłowice, cymbale jakiś, na rok wziąć w administracyę — to można odsapnąć — oni też tego chcieli.

— A przecie Moczarskiemu majątek zapisał — zaśpiewała panna Mania.

— To też to — odrzekł pan Libiszewski — ale się psiakrew obłowi.

— O jak Boga kocham — przytwierdził Józef — co się obłowi, to się obłowi.

— Tysiąc ośmset a tysiąc — liczył stary Libiszewski — a tam blisko pięćset, tak, trzy tysiące trzysta morgów bez mała, a inwentarze co, a kosztowności, srebra, zastawy — ha? a te jakże się nazywa — książki — a karabele, trzęsienia z brylantami, rapcie szczerozłote — ha? a gotówka? — a niechże cię djabli wezmą — ta bestya się w czepku urodziła!

— Niby kto?

— Moczarski cymbale, Moczarski bo to wszystko zagarnie.

— Jak Boga kocham! — rzekł powolnie pan Józef.

Mania usiadłszy na barłogu obok brata, załamała ręce — Libiszewski chodził od worka do worka, czupryne przygładzał i myślał.

Józef wydobył świeżego papierosa, ojciec nastawił rękę.

— Ii — ojciec mi zawsze papierosy wypala — a jak przyjdzie kupić, to kłótnia.

— To moje tak, czy siak, — nie pleć! zawołał pan Libiszewski, zapalając papierosa.

— Jak Boga kocham...

— Nie pleć mówię — okradasz szelmo starego ojca, z dymem puszczasz majątek i mego własnego papierosa mi żałujesz!

— Jak Boga...

— Cicho bądź cymbale — nie pleć.

Józef umilkł, a pan Libiszewski przebiegłszy kilkanaście razy rupieciarnię, zatrzymał się nagle przed dziećmi.

— Już wiem — zawołał uradowany; już wiem, co zrobię — Moczarski musi się ożenić z Mańką!

— Ze mną — zaśpiewała piegowata panna Mania, klaszcząc w dłonie, a tłusta świecąca jej twarz sfałdowała się w radosnym uśmiechu.

— O jak Boga kocham, jaka to koza — zawołał pan Józef — cieszy się tak, jakby Moczarski już ją do ślubu prowadził. Ciekawym, jak to ojciec myśli zrobić — rzekł zwracając się do starego — Moczarski chyba

nie taki głupi, aby z takim majątkiem brał Mańkę bez posagu.

— Czy on głupi, czy nie głupi — ale ty jesteś głupi, zakonkludował Libiszewski.

— Tak jest, ojciec ma racyę — potwierdziła śpiewając panna Mania.

— Co mu ojciec za nią da — Lichocin — a długi, a mnie też się coś patrzy, jak Boga kocham.

— Nie pleć! — krzyknął papa Libiszewski i rozstawiwszy wszystkie palce lewej dłoni, począł na nich liczyć: Lichocin, Stokłosin, Rychłowice, Słomkowce i las na Wiechowem, to wszystko będzie jeden majątek — rozumiesz cymbale!

— Jak Boga kocham! Ale w jaki sposób?

— W jaki sposób — zobaczysz — Moczarski wziął się do starego warjata i udało mu się; ja się wezmę do Moczarskiego i uda mi się — zacznie on tu niedługo częściej zaglądać.

— Mańka, jak Boga kocham — rzekł pan Józef — tylko gorącego rosołu przy nim nie jedz,— ty zawsze przy rosole masz czkawkę!

— Ojciec musi mi dać na nową suknię i trzewiki... a jakże.

— Jak Boga kocham i mnie na ubranie.

— Czyście powarjowali, czy co? — krzyknął Libiszewski — cóżto ja kraść pójdę dla was, czy rozbijać po gościńcach?!

— A jakże ojciec chce, abym wyszła za Moczarskiego — tak w butach z cholewami — śpiewała panna Mania, unosząc niżej kolan starą i obstrzępioną suknię — albo może w tej sukni?

— Masz czas na stroje; niech pierwej Moczarski do nas przyjedzie raz i drugi.

— Raz i drugi — powtórzyła przeciągając opasła panna — proszę, jak raz przyjedzie, a tak wystrojoną mnie zobaczy...

— To powie, żeś gospodarna — dokończył Libiszewski.

— Jak Boga kocham, z ojca to adwokat — zawsze tak, jak ojcu lepiej, a ja co — w jałowiczych butach, w starem ubraniu do bogatego szwagra.

— Nie pleć!

— Dobrze, że przynajmniej wyrosłem, bo przestałem donaszać z ojca odzienie.

— Wyrosłeś dryblas dwa razy większy odemnie — ale głupi, jak stołowa noga.

— Jak Boga kocham...

— A tak, tak, na nic uwagi, na nic wymiarkowania, Lichocin na włosku cymbale

jakiś; gdyby nie te trzy tysiące z procesu z Borejką, jużby nas byli djabli wzięli. Teraz, jeśli się uda Moczarskiego łapnąć, to wasze szczęście a moja zasługa; jeśli się uda, to słuchaj cymbale, Lichocin, Stokłosin, Rychłowice, Słomkowce i las na Wiechowem — wiesz co to znaczy — jak obszył pół miliona — ha?

— Jak Boga kocham — a człowiek grajcara w kieszeni niema i w takiem odzieniu chodzi!

Długo jeszcze trwała rozmowa pomiędzy ojcem i dziećmi — wreszcie zimno w nieopalonej rupieciarni pana Józefa — zaczęło im dokuczać, — przenieśli się na drugą stronę do pokoju panny Mani, którego ściany były obwieszone starymi olejdrukami i dywanami z różnokolorowych gałganków.

Tu rozpoczęła się właściwa narada nad urządzeniem samotrzasku, w który miał się złapać uniwersalny spadkobierca ś. p. Stefana Borejki.

Narada trwała do późnej nocy, a w dzień pogrzebu nieboszczyka o świcie — młody pan Józef Libiszewski wyjechał z Lichocina.

Staszek wiózł go na stacyę kolejową — i niepomiernie się zdziwił, gdy zamiast do

przystanku w Zawadowie, pan Józef kazał gnać ledwie sapiące szkapięta aż do Dobrosławia.

— Ale mus, to mus — powiedział sobie w duchu Staszek i splunął przez zęby — skierował konie na bity dobrosławski gościniec i pojechał, jak mógł najprędzej, — aby panicza na czas dowieść do miasta.

VI.

Pan Antoni Moczarski powrócił do Słomkowiec — wściekły, nie spał całą noc, przewracał się po łóżku, uspokoić się nie mógł w żaden sposób.

— Mówiłem, że mu nogi spuchły, że to dobry znak — nie i nie, jak zaczął tłumaczyć, przekładać, przekonywać, tak i oskubali mnie jak dzwońca!

— Dwadzieścia pięć tysięcy pięćset — niechże mnie wszyscy djabli porwą!

I przestał na chwilę monologować, w myśli zaczął rozliczać wypłaty i kombinować rozmaite sposoby, zmierzające do uszczuplenia praw wierzycieli.

— Licha tam, nic z żydkami nie poradzę; — ogłoszę, że sprzedałem sukcesyę, Duninównę i Pustopole djabli wezmą — zachowam sprzedaż do czasu w tajemnicy, będę musiał żydkom do grosza zapłacić, to znaczy, ze mi z jakich sześć tysięcy bra-

knie. — A tom wdepnął, niech to djabli wezmą!

— Niema co, mruknął po chwili — dobrze się stało, że u tego miłego Dorka i jeszcze milszego mecenasa zastrzegłem sobie tajemnicę. Nim kontrakt wyjdzie na jaw, zaraz po pogrzebie Borejki pojadę do Pustopola i oświadczę się.

— Hm, marszałkowstwo mnie przyjmą, bo jakżeby nie przyjęli wiedząc, że zostałem uniwersalnym spadkobiercą. — No przy Pustopolu i Słomkowcach dam sobie radę.

I znowu zapadł w zadumę.

— A to mnie urządzili — zawołał po chwili — budząc się z zamyślenia. — Kochany braciszek! — Czy tylko ten szelma Kręcicki przyszle mi jutro w zastępstwie Teodora tych dziesięć tysięcy?

Tak monologując i rozmyślając naprzemian a klnąc siebie, brata i mecenasa panie dzieo — doczekał pan Antoni do rana.

Rano wstał zmęczony, stroskany i zły, nadewszystko zły — kazał zaprządz i pojechał do Stokłosina.

Szeroko otwarte drzwi od ganku i od sieni, zapuszczone firanki u okien frontowej sali i tłumy ludu wchodzącego i wychodzą-

cego z domu z czapkami w rękach — żegnające się i odmawiające pacierze — świadczyły, że majestat śmierci znalazł miejsce dla siebie w tym domu; a te łzy w każdem prawie oku świecące, te ciche i pełne żalu westchnienia były dowodem, że na marach legł człowiek, który żył szczęściem drugich, kochany serdecznie i czczony przez wszystkich.

Pan Antoni wszedł do sali. Była obita czarnym kirem; na środku na niskim i także kirem okrytym tapczanie, w czarnej metalowej trumnie, w otoczeniu płonących świec, kwiatów i wieńców, spoczywały zwłoki ś. p. Stefana Borejki.

Twarz o szlachetnych rysach niby z marmuru kowana, miała w istocie wyraz błogiego spokoju i ogromnego szczęścia; długie włosy mlecznej białości, jak srebrna aureola, okalały skronie i pogodne czoło, — w złożonych rękach błyszczał czarny emaliowany krzyż w złotej oprawie.

Pan Antoni stanął przed trumną i uczuł głęboki żal — nie za zmarłym jednak, ale żal do siebie, iż tej śmierci nie przewidział i zawarł kontrakt na takich marnych warunkach.

Żal wypisał się na skrzywionej twarzy uniwersalnego spadkobiercy, a ludzie, któ-

rzy na niego spoglądali — nie przypuszczając innych przyczyn smutku pana Antoniego, prócz straty czcigodnego starca — mówili sobie i myśleli: przecie krewny nieboszczyka, bo mu go żal.

Chłopi tłumami klękali przy trumnie i składali pocałunki na krzyżu i na rękach skostniałych nieboszczyka; na tych rękach, które im tyle świadczyły dobrodziejstw.

— O Boże! — odezwało się ciężkie westchnienie tuż przy panu Antonim.

Obejrzał się, za nim stał na kiju oparty zgrzybiały starzec o długich sumiastych białych wąsach.

Był to Żurkowski, ekonom — sługa, przyjaciel i towarzysz nieboszczyka od przeszło pół wieku.

Skłonił się Antoniemu w milczeniu.

— Dzień dobry panie Żurkowski, szepnął Antoni. — Wyjdźmy, mam z panem coś pomówić.

Przeszli do drugiego pokoju.

— Gdzie są srebra i kosztowności? zapytał uniwersalny spadkobierca.

— Wszystko nieboszczyk pan oddał notaryuszowi w depozyt.

— A gotówka była jaka?

— Była, brzmiała odpowiedź.

— A ile?

— Nie wiem, to gdzieś w banku, Gębarzewski, rejent z Dobrosławia, ma znowu na to kwit.

— Cóż pan będzie robił, panie Żurkowski, zapytał pan Antoni?

— Ja, mój Boże — westchnął ekonom — pan do mogiły i mnie czas w drogę — w równym my wieku mój panie i jakoś wszystko tak się składało, że zawsze wszystko razem, to i do grobu pójdziem razem. W jednym roku pożeniliśmy się, w jednym obaj owdowieli — to i w jednym pomrzemy.

— No, nie o to mi idzie, ale o to, że trzeba się będzie panie Żurkowski wynieść ze Stokłosina.

— Co?! ze Stokłosina?! — zawołał stary, jak to się wynieść?

— A no całkiem po prostu — pan wie, że ja jestem uniwersalnym spadkobiercą — a ja pana nie mogę trzymać.

— Chleba pańskiego nie żądam — odparł Żurkowski dumnie podnosząc głowę; mam dziecko, potrafi mnie wyżywić zanim śmierć oczy zamknie — ale mości panie ze Stokłosina nie pójdę, bo tu na cmentarzu śpią

prochy tych, których całem sercem kochałem.

— To już do mnie nie należy — rzekł pan Antoni — ja tylko ekonomówkę odbierę, bo będzie mi potrzebna.

— Jeśli nieboszczyk zgodzi się na to, bo może w testamencie zapisał panu majątek, a mnie zapewnił kąt do śmierci.

— Znasz pan treść testamentu? — zapytał Antoni.

— Nie znam, ale przypuszczam — odpowiedział Żurkowski — że nieboszczyk pan pamiętać musiał o mojej sześćdziesięcioletniej służbie — i że mnie towarzysza i przyjaciela nie zdałby na łaskę i niełaskę swego spadkobiercy. — Zresztą nic więcej nie miałbym panu do powiedzenia prócz tego, że przy otwartej jeszcze trumnie swego dobroczyńcy wziąłeś się pan do rozdzierania węzłów przyjaźni starszych od pana.

To mówiąc, Żurkowski wyszedł tak pospiesznym krokiem, na jaki tylko mógł się zdobyć w swoim wieku.

Na progu sali spotkał się z marszałkiem, panią Jadwigą i panną Stefanią, skłonił się im, marszałek podał mu rękę i zauważył, że Żurkowski jest okrutnie wzburzony.

Stary Żurkowski był także przyjacielem Dunina, przywoził go przecie zawsze na wakacye do Stokłosina i odwoził do szkół — hołubił pospołu z nieboszczykiem Borejką i pieścił, gdy był dzieckiem, uczył konno jeździć, wodził po polowaniach i poprzyjaźnili się tak, że na wylot od dawna się znali.

— Hej mości Żurkowski — rzekł marszałek, co się to waści stało.

— Ot marszałku! — i machnął ręką.

— Powiedzieć, zaraz powiedzieć, nalegał pan Aleksander.

Obie panie stały blisko i słuchały.

— Pan Moczarski, uniwersalny spadkobierca, wypędza mnie z ekonomówki i ze Stokłosina — rzekł rozżalony Żurkowski.

Panie spojrzały po sobie, marszałek oniemiał i wypatrzył się osłupiałym wzrokiem.

— Jeśli tak, mój przyjacielu — rzekł po chwili, ściskając szeroką dłoń starego ekonoma — to w Pustopolu ciepłego kąta i chleba na starość ci nie braknie.

— Bóg zapłać Olesiu! — przepraszam panie marszałku — poprawił się Żurkowski, ale to tak być nie może...

Marszałek nie dał mu dokończyć, wziął

go w ramiona i w serdecznym uścisku przy-przygaszał żal do pana Moczarskiego.

Pan Moczarski chciał się pozbyć Żurkowskiego i nietyle starego, ile Mieczysława, którego kilka razy zastawał już w Pustopolu i w którym przeczuwał współzawodnika w aspiracyach małżeńskich.

Pocieszał się tem, że Żurkowski, syn ekonoma, ubogi i bezdomny, że łatwo mu przyjdzie przeważyć szalę dla siebie — ale ten Mieczysław, ten próżniaczysko, jak go pan Antoni nazywał — cieszył się najwidoczniej wielką sympatyą panny Stefanii.

Był zadowolony pan Antoni, że Żurkowskiemu już zapowiedział odebranie ekonomówki, liczył na to, że dumny pan Mieczysław nakłoni ojca do wyjazdu ze Stokłosina i że tym sposobem będzie miał wolną do Pustopola drogę, po której szybko zdążać postanowił, zanim wyjdzie na jaw wyzbycie się przyznanych mu praw uniwersalnego sukcesora.

Antoni wyszedł z pokoju w tej właśnie chwili, w której marszałek tulił w uścisku starego Żurkowskiego.

Ta konfidencya oddziałała nader deprymująco na pana Antoniego; pokrył jednak

jak mógł najstaranniej niepokój i niezadowolenie — podszedł do państwa Duninów i skłonił się z obleśnym uśmiechem.

Panie na ukłon odpowiedziały lekkiem skinieniem głowy, pan marszałek do wyciągniętej ku sobie dłoni przytknął dwa palce.

Pan Antoni spojrzał po nich z niepokojem wzrastającym coraz bardziej, a na starego Żurkowskiego łypnął z podełba jak bazyliszek.

Duninowie postąpili ku trumnie. Wszystko troje uklękli przy zwłokach i długo się modlili; — potem panna Stefania pierwsza nachyliła się nad trumną, ucałowała obie ręce i czoło staruszka.

— Dziadusiu mój ukochany — szepnęła i łzy z jej ócz spadły na zwłoki.

Marszałek i pani Duninowa ucałowali również ręce zmarłego — i wyszli z pokoju.

Pan Antoni czekał w progu, chcąc z nimi zawiązać rozmowę; ale przeszli obok niego szybkim krokiem, jakby korzystali z przegrodzenia kilku przechodzących osób, na ukłon i słodki uśmiech uniwersalnego spadkobiercy odpowiedzieli skinieniem głów i odjechali do Pustopola.

Pan Antoni w kilka chwil potem odje-

chał do Słomkowiec znowu w jak najgorszym humorze.

— Kto wie, — myślał sobie — czy znowu nie pokpiłem sprawy z tym starym niedołęgą.

W domu zastał list od rejenta Gębarzewskiego, w którym mu donosił, że w poniedziałek po pogrzebie przybędzie do Stokłosina dla spisania aktu zejścia i opublikowania ostatniej woli zmarłego.

Prócz listu zastał pan Antoni recepis pocztowy z zawiadomieniem, że za osobistem zgłoszeniem wydany mu będzie list nadany przez Dra Kręcickiego, zawierający w gotówce dziesięć tysięcy.

— No przecież — zawołał pan Antoni — nieco pocieszony — przynajmniej jedno się udało.

VII.

W sobotę po południu zajęczały dzwony z wieży stokłosińskiego kościoła.

Ze dworu wyniesiono trumnę ze zwłokami Stefana Borejki i złożono ją na wozie pokrytym kirem i zaprzężonym czwórką karych mierzynów.

Obywatelstwo i duchowieństwo zjechało na ten pogrzeb — i przyszedł lud z całej okolicy oddać ostatnią posługę temu, który był prawdziwym opiekunem i serdecznym ludu tego przyjacielem.

Tłumy zebrały się na obszernym majdanie przed gankiem, chmurny dzień listopadowy rozjaśnił się, wiatr chmury zegnał, ukazała się modra kopuła nieba i słońce w czerwonych blaskach zachodzące.

Na ganku stanął marszałek powiatu, pan Aleksander Dunin. Cisza zaległa majdan, tylko lekki wietrzyk strząsał resztę pożółkłych liści ze starej lipy i łopotał jedwabiem kościelnych chorągwi.

— Zamilkły usta, które prawdę głosiły, przestało bić serce, które kochać umiało, uleciał duch, który szczęście dla siebie znachodził tylko w szczęściu drugich! — zawołał marszałek.

Tłumy ludu zaczęły się cisnąć bliżej stopni — powstał szmer, przebiegł majdan od końca do końca, a dzwony z wieży kościelnej grały w powietrzu coraz żałośniej, a wiatr unosił ich echo po polach i lasach daleko, a złote liście ze starej lipy zsuwały się z leciuchnym szmerem i kładły na połyskliwe wieko czarnej metalowej trumny!

— Uleciał duch wielki — mówił marszałek z uczuciem — zgasł nestor naszego obywatelstwa, długoletni nasz przewodnik i nasza chluba!

Tu zaczął pan Aleksander kreślić żywot zmarłego, mówił wiele o jego młodości, o ideałach, którym wiernie służył, o zasadach, które wyznawał i niezmienione dochował do grobu.

Wspomniał o sprawiedliwości, którą się kierował zawsze w całem życiu i dla której bez żadnej rekompenzaty zrzekł się swoich praw na rzecz ludu już wówczas, gdy w kraju nikt o tem jeszcze nie myślał.

— A gdy przyszedł rok straszny — rzekł marszałek, — ten rok, na którego wspomnienie serce w piersiach od bolu zamiera, te zapusty czerwone, kiedy z dymem pożarów z kurzem krwi bratniej, rozpaczny płynął nasz jęk, kiedy zdawało się, że szatan ziemię naszą objął w niepodzielne władanie, kiedy dwory zostały pustką — jeden tylko śp. Borejko nie opuścił swojej sadyby.

Napadnięty przez opętaną i we krwi ukąpaną tłuszczę ze wsi okolicznych — oddał jej broń wszystką, stanął sam w tłumie ze złożonemi rękami na piersiach i ze słodkim jak zawsze uśmiechem na ustach, gotowy do poświęcenia życia dla opamiętania zbłąkanych braci!

— Nie będę się bronił — mówił do nich — bo nie chcę i nie mogę krwią bratnią skalać rąk moich.

Szlachetność zmarłego — nie uwolniła go od męczeństwa.

Zbity, skatowany i ranami okryty, obroniony przez lud ze Stokłosina, długo walczył ze śmiercią — a gdy mu Bóg zdrowie powrócił — szedł do swoich katów z błogim na ustach uśmiechem, niósł im przebaczenie, niósł światło i pomoc w niedoli!

— O cześć ci przezacny mężu i cześć tobie ludu ze Stokłosina, który daleki od zbrodni, odepchnąłeś szatańskie podszepty, a zachowałeś to drogie życie na pożytek ojczyzny!

— Cześć waszym ojcom i dziadom siermiężni bracia moi, sławię ich pamięć pospołu z pamięcią tego, którego zimne zwłoki na marach spoczęły pośród nas!

Marszałek umilkł na chwilę mocno wzruszony — a echo dzwonów grało w powietrzu i grało.

Stokłosianie rękawami łzy z ogorzałych lic ogarnywali, gdzie niegdzie słychać było ciężkie westchnienia i płacz.

Pan Aleksander podjął rzecz na nowo. Przechodząc dalsze życie zmarłego, opowiadał o jego dobrych uczynkach, spełnianych skrycie tak, aby nikt nigdy nie wiedział, komu ma do zawdzięczenia pomoc w nieszczęściu. — Mówił, jak to magnacka fortuna Borejki z roku na rok topniała, jak nieboszczyk uważał się za szafarza Bożego dobra, jak hojną dłonią świadczył dobrodziejstwa na okół siebie aż do ostatniej życia swojego godziny!

— I był — rzekł pan Aleksander — za-

wsze pogodny, zawsze uśmiechnięty — tak jakby niebo już za życia w swojej duszy nosił. Ten starzec srebrnowłosy był uosobieniem dobroci — nie znał gniewu i chyba schmurzył się wtedy, gdy natknął się na egoizm i na chciwość ludzką. Karcił bezwzględnie i potępiał egoistów, bo utrzymywał, że oni psowają dzieła rąk Bożych na ziemi!

Kazałeś mu Panie odejść i odszedł po wieczną nagrodę — kończył marszałek — ale nas osierocił i żal bezmierny po sobie zostawił.

Stefanie! Opiekunie młodości mej i dobroczyńco mój! Ty, który ojcem mi byłeś... u progu twego starego dworzyszcza żegnam cię łzą serdeczną! — i umilkł nagle; wzruszenie zdławiło dalsze jego słowa, stłumione łkanie wstrząsnęło szeroką piersią marszałka.

Żegnam cię — rzekł po chwili zmienionym głosem — niech ciało utuli na swojem łonie ta ziemia rodzona, którą tak ukochałeś — a duszę, tę wielką, zacną i szlachetną duszę, Ten, który w niebie króluje, albowiem Jego drogami kroczyłeś przez życie do mogiły!

Umilkł i zeszedł ze stopni — muszkuły

w przybladłej twarzy kurczowo mu drgały — widocznie siłą woli tłumił łzy żalu i powstrzymywał łkanie.

Dzwony grały coraz głośniej, echa w przeróżnych tonach biegły coraz dalej, światła zapłonęły, Stokłosianie zdjęli trumnę z wozu, wzięli ją na ramiona, długi korowód księży posunął się naprzód i w powietrzu rozległ się choralny śpiew żałobny, który płynął nad ziemią zmieszany z jękiem dzwonów, łopotem chorągwi, poszumem wiatru i tupotem tych tłumów nieprzeliczonych, które za tą czarną połyskliwą trumną zdążały na cmentarz w Stokłosinie.

Pan Teodor Moczarski z małżonką, obwieszoną krepowymi welonami i pan Antoni uważali za stosowne wysforować się tuż za trumną, jako niby krewniacy nieboszczyka. Pani Teodorowa trzymając chustkę batystową przy oczach szeptała do męża po drodze.

— Dorku — rany Boskie, żebyś się nie ważył nic Antkowi dodawać do tej stypy — kiedy zaprosił sąsiadów, niech ich sam przyjmuje.

— Dobrze, dobrze, już mu to powiedziałem.

— Co za dzika pretensya, rany Boskie, on za darmo dostał dwadzieścia pięć tysięcy pięćset, a nas to będzie blisko pięćdziesiąt tysięcy kosztowało!

— Dorku — rzekła po chwili — dwanaście pokoi, wspaniała rezydencya, z wierzchu niepokaźna, a wewnątrz rany Boskie.

— A chodźmy jakoś bliżej Mańka — szepnął pan Libiszewski z Lichocina do córki — trzeba tak jakoś, aby pan Moczarski cię widział.

Zażywna panna, w dużym kapeluszu, upstrzonym zielonemi skrzydełkami i czerwono-żółtą kokardą — zawiesistym krokiem przysunęła się tak blisko, aż się otarła o ramię uniwersalnego spadkobiercy.

Pan Antoni obejrzał się i rzucił przelotne spojrzenie na pucołowatą twarz panny Mani, z poza której wychylił się mały człowieczek o przebiegłych oczach, cieniutkich siwych wąsikach i napoleońskiej bródce.

— Moje uprzejmości kochanemu sąsiadowi — rzekł, kłaniając się odkrytą głową panu Antoniemu.

— Sługa pana sąsiada — a po pogrzebie, szepnął Antoni — proszę na stypę do siebie.

Twarz starego wygi rozjaśniła się jak słońce.

— A dobrze panie sąsiedzie, dobrze — z miłą chęcią.

W tej chwili chór wychowanków bursy dobrosławskiej, którą nieboszczyk własnym sumptem postawił i utrzymał, zanucił pieśń: „W mogile ciemnej śpisz na wieki".

Szeptane rozmowy ucichły, orszak zwolna wypłynął na bity gościniec, tłum wzrastał, ludzie z okolicznych wsi schodzili się jeszcze i zjeżdżali, łącząc się po drodze z pogrzebem.

Za tłumem snuł się długi ogon powozów, karet, bryczek, wózków i prostych chłopskich wozów.

Wreszcie dziadek kościelny z krzyżem, postępujący na przedzie, zwrócił z gościńca na lewo w brzozową aleję.

W chwilę potem żelazne drzwi grobowca na wścieżaj się otwarły na przyjęcie do grona antenatów ostatniego z rodu Borejków!

Ksiądz Sawicki do głębi wzruszony mówił o żywej wierze zmarłego, o podniosłości jego ducha i o wszystkich cnotach, które ze źródła wiary i miłości Bożej wypływały.

— Jako spowiednik twój, znałem duszę

twoją Stefanie, a znałem od lat wielu we wszystkich jej przejawach — zakończył ksiądz Sawicki — i ludzkim sądząc rozumem, zdaje mi się, że już stamtąd, z góry, z lepszego świata — spogląda na nas, naszą mizeryę i nasz żal po tobie! Śpij z Bogiem Stefanie i odpoczywaj w pokoju, zanim trąba Archanioła ze snu tego cię obudzi — zanim my wszyscy na szali niemylnej sprawiedliwości złe i dobre zobaczymy nasze uczynki i ujrzymy nagrodę za życie twoje cnotliwe! Amen.

W tej chwili zapadające słońce rzuciło na trumnę snop złotych promieni. W niebo uderzyła pieśń żałobna, panna Stefania z głośnem łkaniem oparła się o ramię marszałka, a ciężka trumna z głuchym stukotem zapadła w podziemia grobowca.

. . . .

Dwór w Słomkowcach był rzęsiście oświetlony, kilkanaście osób, po największej części młodzieży obywatelskiej z okolicy, zasiadło do stołu.

Pan Libiszewski, wyprawiwszy córkę do domu, znalazł się w tem towarzystwie wesoły, rozpromieniony — kontent nad wyraz, że mu się nadarzyła sposobność zarzucić

sidła na wybrańca losu, uniwersalnego spadkobiercę fortuny Borejki.

Męskie towarzystwo przy kieliszku prędko poweselało, tłuste żarty i anegdotki posypały się jak z rogu obfitości, a stary wyga z Lichocina, wiedząc czem komu dogodzić i w tem przodował i tak aż nazbyt swobodnej młodzieży.

Pan Antoni urządzał stypę, aby się wkupić jakoś we względy sąsiadów, iżby nie sarkano na niego i Teodora za to pokrewieństwo z Borejką — tem bardziej, że wszyscy wiedzieli, ile to pokrewieństwo warte. Rozumował — że skoro z tej stypy i pan Teodor korzyść odniesie, powinien ponieść połowę kosztów — ale pan brat odmówił: Antoni więc był kwaśny i zły humor pokrywał podejmując miłych sąsiadów.

Przenikliwym oczkom pana Libiszewskiego udało się i te subtelne pochwycić oznaki— starał się więc rozbawić gospodarza, a uniwersalny spadkobierca z tytułu gościnności przypijając gęsto do sąsiadów, prędko poweselał, czem niezmiernie ucieszył właściciela Lichocina, który przypisywał sobie samemu zasługę tej zmiany.

Oczywiście w miarę zabawy ochota wzra-

stała, z czupryn już na dobre dymić się zaczęło — gdy Libiszewski przystąpił do pana Antoniego i rozczulony, podnosząc się na palcach, ujął go w swoje ramiona!

— Sąsiedzie dobrodzieju! — zawołał patetycznie stary wyga — staropolska gościnność, a wyświadczże staremu szlachcicowi i jego ubogiej chacie wielką łaskę, wstąp w ubogie progi moje.

— Ależ chętnie, bardzo chętnie -- upewniał pan Antoni.

— W ubogie progi starego szlachcica panie sąsiedzie dobrodzieju — frykasów nie będzie — zastrzegł się mimochodem — ale serce otwarte sąsiedzie dobrodzieju!

— Niech żyje gospodarz — wrzasnął od stołu młody pan Żubr ze Studniczyny i podniósł się na całą wysokość, że omal sufitu rozwichrzoną głową nie dostał.

— Wiwat — niech żyje!! — krzyknięto chórem.

— Następca starego Borejki!

— Uniwersalny spadkobierca.

— W górę z nim — huknął znowu pan Żubr.

Kilkanaście rąk dźwignęło ze ziemi i uniosło w powietrze uniwersalnego spadkobiercę,

który trzymając butelkę w jednej ręce a kieliszek w drugiej, chwiał się na prawo i na lewo na pół pijany i śpiewał wraz z innymi: niech żyje nam!

Kolejno poszły toasty — pito poszczególnie i sumarycznie jak na umór — wreszcie języki i nogi zaczęły odmawiać posłuszeństwa.

Libiszewski poczerwieniał, jak burak — wstał, podniósł kielich w górę i począł bełkotać:

— Taak, taak paanowie soąsieedzi dobroodzieeje — jaa piję zdroowie nieeboszczyka pana Boorejki:

— Brawo! — wrzasnął pan Żubr — niech żyje nieboszczyk Borejko! — i zatoczył się zamaszyście.

W sieniach huknęły w tej chwili basy i zagrały skrzypki.

— Muzyka! wiwat gospodarz!

— Szkoda psiakrew, że niema z kim zatańczyć.

— Znajdzie się, musi się znaleźć.

— Coby to było!

— Naturalnie!

Padały rozmaite wykrzykniki i słowa bez związku i ładu — aż wreszcie z czeladnej

wciągnięto przemocą prawie kilka dziewcząt wiejskich.

Muzyka grała od ucha, młodzież popita wybijała wesołe hołubce — a Libiszewski pijany jak noc, potrącany z kąta w kąt przez tańczących, zatroskał się, zafrasował i w końcu płakać zaczął.

— A cóż się panu sąsiadowi przydarzyło? — zapytał któryś z wesołych biesiadników.

— Córkę miałem na pogrzebie — i gdzieeś niema — zguubiłem, odpowiedział płaczliwym głosem.

— Słuchajcie, stary córkę zgubił.

Głośny śmiech wybuchnął w wesołem gronie — i ten śmiech zwalił z nóg właściciela Lichocina.

Dniało, gdy wesoła zabawa w Słomkowcach się skończyła — a echo jej rozbiegło się szeroko po okolicy i doleciało do Pustopola.

VIII.

Pan marszałek był niesłychanie oburzony, dowiedziawszy się, że pijacka uczta z tańcami i muzyką odbyła się w Słomkowcach z okazyi pogrzebu nieboszczyka Borejki.

— Ładnie sobie poczyna uniwersalny spadkobierca — rzekł do żony, nie mogąc pokryć gniewu. Jakaż to niewdzięczność — o nie pięknie.

— Złe serce z gruntu, gdy niezdolne do uczuć wdzięczności.

— Kto to widział — kto to widział, wprost z pogrzebu do pijatyki i hulanki, — mówił pan marszałek.

— Zgorszenie dla ludu — rzekła pani Jadwiga — prawdziwie nie pojmuję, jak można.

— Dał folgę pan Moczarski swojej radości z powodu pozbycia się spadkodawcy — zauważył marszałek — ale co o tem ludzie powiedzą, ci ludzie, którzy zachowali jeszcze pojęcie o tem, co godziwe a co niegodziwe.

I roztrząsali ten wypadek do żywego nim dotknięci, jako ciężkie wykroczenie przeciw koniecznym obowiązkom wdzięczności. Jeszcze nie skończyli mówić na temat tej zabawy, gdy się dowiedzieli państwo Duninowie, że u państwa Teodorów odbył się także tańcujący wieczór, również z okazyi śmierci Borejki.

Wieczór w Zawadowie — jakoś sam się skleił, a odbył się oczywiście przyzwoiciej ze względu na to, że i panie wzięły w nim udział.

Ciekawi sąsiedzi i jeszcze ciekawsze sąsiadki, w powrocie z pogrzebu, wstąpiły i wstąpili do Zawadowa.

Pani Antonina trzymała gości długo bez kolacyi w nadziei, że „rany Boskie“ pojadą sobie do djabła — ale koniecznością zmuszona, wymieniwszy z Dorkiem kilka znaczących spojrzeń, dała wreszcie wieczerzę. Znalazło się wino, za winem muzyka, a za muzyką tańce — i ot, ni stąd ni zowąd hulanka przeciągnęła się do świtu.

— Weseli spadkobiercy — niema co mówić! — zawołał pan marszałek.

— Nie chcę — odezwała się panna Stefania — wdawać się w krytykę rozporządzenia

nieboszczyka dziadusia; ale naprawdę dlaczego panu Moczarskiemu zapisał ten majątek a nie na jakie dobre cele.

— Któż wie moje dziecko — odrzekł pan Aleksander — zarządził wedle swojej woli...

— I biedak — dokończyła panna Stefania — za takie hojne dobrodziejstwo — nie tylko wdzięczności nie znalazł, — ale nawet najprostszej na świecie przyzwoitości i poszanowania dla samej powagi śmierci.

— Ha — trudno, żywym odpłaca świat czarną niewdzięcznością, cóż dopiero umarłym, których doczesne szczątki nie poruszą się i nie odezwą.

— Dziś pewnie po nieszporach proboszcz przyjedzie — rzekła pani Jadwiga.

— Prosiłem go nawet i obydwu Żurkowskich.

Panna Stefania zapłoniła się jak róża — matka przypadkowo dostrzegła ten rumieniec.

— Dobrze zrobiłeś, staremu Żurkowskiemu należy się od nas pociecha w nieszczęściu i ukojenie po onegdajszej scenie.

W bramie zaturkotał wózek, marszałek wyjrzał przez okno i zmarszczył się okrutnie.

— Pan Moczarski ze Słomkowiec — rzekł, wydymając usta.

Obie panie powstały z miejsc i pospiesznym krokiem wyszły.

Pan Antoni przyjeżdżał dziś z oświadczynami, gdyż jutro miał rejent Gębarzewski przybyć do Stokłosina w misyi urzędowej, przy której musi wyjść na jaw sprzedaż praw spadkowych panu Teodorowi.

— Dopóki marszałek nie wie o zmianie sytuacyi — myślał przezorny pan Antoni — trzeba zapewnić sobie Pustopole.

I przyjechał wyświeżony, wyczesany, wyperfumowany — jak na dostatniego kawalera przystało.

Marszałek przyjął wesołego spadkobiercę nadzwyczaj chłodno i sztywnie. — Ten chłód odebrał panu Moczarskiemu pewność siebie, stracił wątek myśli, nie wiedział od czego zacząć.

Pan Aleksander uparcie milczał, czekając co mu gość powie.

— Jak panu marszałkowi dobrodziejowi wiadomo — rzekł po chwili pan Antoni — mój kuzyn śp. Borejko...

— Którego pamięć będziesz pan nieza-

wodnie do końca życia we wdzięczności zachowywał...

— Oczywiście, niewątpliwie. Otóż, jak wiadomo panu marszałkowi dobrodziejowi, śp. wuj przy swoim majątku — ciągnął pan Antoni, starając się ominąć dyplomatycznie sprzedaż praw spadkowych — umożliwił mi uregulowanie moich interesów...

— To bardzo wzniośle z jego strony — przerwał z naciskiem pan marszałek.

— Tak, bezsprzecznie bardzo wzniośle — tem wznioślej, że teraz mogę pomyśleć o sobie — i... i stojąc już na pewnych nogach — tego...

— Hm?...

Pan Antoni chlipnął trochę powietrza.

— I — pomyśleć o tem — jakże się nazywa — o własnem gnieździe rodzinnem.

Marszałek wydął usta — spojrzał z góry na pana Moczarskiego i rzekł tonem ostrym i suchym.

— Nie rozumiem, do czego szanowny pan zmierza?

— To jest panie marszałku dobrodzieju, w pewnym wieku człowiek, dobrze mówię — człowiek — uczuwa potrzebę ustalenia sobie własnego gniazda — a że los i ostatnia wola

mojego wuja — niby tego — to jest jak powiedziałem — zaczął się mieszać pan Antoni coraz bardziej pod wpływem nieruchomo utkwionych w niego czarnych oczu marszałka.

— Pan się krztusi — zauważył marszałek.

— Bo to — panie marszałku dobrodzieju pierwszy raz — bo to niby jak powiedziałem — stękał pan Antoni — mam zamiar wyznać, że szczerze, bardzo szczerze, — nadzwyczajnie pannę Stefanię niby kocham i radbym pozyskać względy zarówno jej, jak i państwa obojga.

— Szanowny panie — rzekł szorstko marszałek — liczysz na dziedzictwo fortuny Borejki. Jam ubogi, Pustopole niewiele warte — ot z biedą kołatać można — ale nie upadłem tak nisko, aby...

I urwał, wydymając usta.

— Panie marszałku dobrodzieju — ja bo nie taki znowu będę bogaty — zawołał nieco swobodniej aspirant do ręki panny Stefanii — nie taki bogaty, aby różnica majątkowa...

— Dajno pan pokój — przerwał marszałek — nie o tej różnicy mowa; pozwoli pan, że mu się nie będę tłumaczył i poprzestanę na krótkiem oświadczeniu, że z pańskiej —

dodał z naciskiem — oferty nie skorzystam ani ja, ani moja córka

— To dziwne — jęknął uniwersalny spadkobierca, obliczając w myśli przeciętną wartość Pustopola, które mu się w tej chwili z rąk wymykało.

— To dziwne — powtórzył — czyżby panu marszałkowi co kto powiedział?!

Pan Aleksander znowu obrzucił go lodowatem spojrzeniem.

— Bo mi się zawsze zdawało panie marszałku dobrodzieju, że mam szczęście mieć sympatyę panny Stefanii za sobą.

Marszałek spojrzał gniewnie na wesołego spadkobiercę, który w tej chwili wyglądał bardzo niewesoło.

-- Zdawało mi się...

— Nie wiem — przerwał marszałek, — co pana uprawniało do takich przypuszczeń; moja córka zaledwie kilka razy pana widziała i nie mogła go inaczej traktować, jak tylko zupełnie obojętnego jej gościa w rodzicielskim domu.

— Może, ale rekuza pod wpływem może chwilowego rozdrażnienia mi dana — jeszcze się jakoś tego...

— Nie panie, zechciej ją przyjąć jako bardzo stanowczą, — i niezawodnie niezmienną

— Jestem przekonany— rzekł prawie bezmyślnie wesoły spadkobierca, że panna Stefania, gdyby miała możność decyzyi...

— W tej mierze władza rodzicielska ustaje — zawołał marszałek — nigdy nie ośmieliłbym się krępować wolnej woli mego dziecka bez względu na to, na kogo padłby jej wybór. Aby jednak pana przekonać o całej niestosowności jego kroku — postaram się, aby ci moja córka sama powtórzyła to, co panu powiedziałem.

To mówiąc, uchylił drzwi od drugiego pokoju i zaprosił żonę i córkę.

— Pan Moczarski — rzekł, wskazując wesołego spadkobiercę — oświadczył się o twoją rękę.

Brwi panny Stefanii zbiegły się nad oczyma.

— Nie wiem — rzekła — czem sobie na to zasłużyłam.

Pan Antoni stał jak na żarzących węglach — zrozumiał, że teraz jego rola staje się bardzo niepoczesną i że on jako konkurent do ręki panny może być tylko humorystycznie traktowany.

— Bo to tego, kiedy miłość — począł się jąkać — lecz nie dokończył, gdyż panna Stefania zaśmiała się takim jakimś dziwnym śmiechem, który na nim uczynił wrażenie stali przeciągniętej po szkle.

— Żałuję bardzo — rzekł, kłaniając się marszałkostwu — mam nadzieję, że państwo za złe mi tego, nie tego...

Szurgnąwszy parę razy nogami po posadzce — wyszedł w pąsach, zły, zmieszany — i zawiedziony.

— Goń do domu — zawołał na stangreta, wskakując do wózka — kiż tam djabli, mruknął po cichu — nic mi się jakoś nie klei — i Pustopole już djabli wzięli.

Panna Stefania była niezmiernie wzburzona.

— Skąd mu to się wzięło — co mu się przyśniło — powtarzała — choćby królestwo odziedziczył — nie wyszłabym za niego. — Wogóle za najprzyzwoitszego mężczyznę nie wyszłabym bez miłości.

— A gdybyś kochała? zapytała matka!

— A — gdybym kochała... i opuściła powieki — a na lica wystąpiły jej żywe rumieńce.

Pani Jadwiga spojrzała badawczo na córkę i zatrzymała na niej swe oczy.

Pan marszałek przechadzał się po pokoju, wydymając usta od czasu do czasu.

— Czemu mamusia tak badawczo na mnie patrzy? — zapytała młoda dziewczyna.

— Stefciu — ty masz jakąś tajemnicę.

— Mój Boże — rzekła Stefania — tak mi ta tajemnica leży na sercu, a wyznać nie mogę — nie mogę — dodała ciszej.

— Moje dziecię drogie — córka przed matką niczego ukrywać nie powinna.

Stefania zawahała się przez chwilę — spojrzała na ojca przechadzającego się w zamyśleniu po pokoju, potem na matkę — wreszcie padła matce w objęcia.

— Mamusiu — szepnęła — ja kocham, bardzo kocham.

— Kogóż dziecię moje — zapytała matka, tuląc ją w objęciach.

— Prócz ojca i ciebie najdroższa moja — odpowiedziała, ukrywając twarz zapłonioną w objęciach matki — kocham pana Mieczysława.

— A on?

— On — także.

— Czy mówił ci o tem?

— Tak — odpowiedziała ledwie dosłyszalnym głosem.

Marszałek, który obudził się z zadumy, usłyszał wyznanie córki — wziął ją z objęć matki w swoje objęcia i czule ucałował w czoło, gładząc dłonią złote jedwabiste jej włosy.

— Kochasz dziecię — i on cię kocha — to będziecie należeli do siebie, tylko żałoba minie po dziadusiu, którą sobie naznaczyliśmy. Mieczysław zacny i obiecujący chłopak — a że biedak, cóż robić — nie złoto bogactwem człowieka, ale serce poczciwe i charakter pewny.

Stefania z wdzięcznością spojrzała na ojca i gorącymi pocałunkami okrywała jego ręce, pani Jadwiga z uczuciem patrzyła dobrotliwie uśmiechnięta na swoją jedynaczkę.

— Zawsze mi się zdawało — rzekła po chwili do męża — że pomiędzy nimi jest coś więcej aniżeli sympatya i przyjaźń. Kiedyż on ci się oświadczył?

— Przed dwoma tygodniami — odpowiedziała Stefania, spuszczając oczy; — wtedy, gdy panu Chotymirskiemu dałam stanowczą i odmowną odpowiedź. — Mówiliśmy o tem ze sobą — widziałam, że panu Mieczysła-

wowi oświadczyny hrabiego sprawiły ogromną przykrość, chociaż Chotymirskiego bardzo wysoko ceni. Posmutniał wówczas, a ja nalegałam, żeby mi powiedział, co mu się stało. — Powiedział, że... że ja jestem jego szczęściem, że się lęka, aby go nie utracił na wieki, że — no mamusia wie, co się w takich razach mówi.

— U — hm! — mruknął żartobliwie marszałek, spoglądając na żonę — wie, jeśli nie zapomniała.

Pani Jadwiga uśmiechnęła się.

— Ale dziwię się — rzekła po chwili, — że pan Mieczysław nam się nie oświadczył o twoją rękę.

— Mamusiu! — zawołała Stefania — oświadczy się dziś jutro, jak mamusię kocham, tylko z nakładcą ostatecznie się ułoży o to wydanie swoich prac — wtenczas już będzie mógł oprzeć się na własnych siłach.

— A ty przyrzekłaś zaczekać na to — dodał pan marszałek.

— Przyrzekłam — wiedziałam najdrożsi moi — rzekła ujmując jedną ręką dłoń ojca a drugą rękę matki, — że wy mi szczęścia nie odmówicie, chociaż pan Mieczysław jest

bardzo ubogi; — a ja z nim tylko mogłabym być szczęśliwą, — bardzo szczęśliwą!

Stali tak we troje na środku salonu, gdy do Pustopola przyjechali obaj Żurkowscy i ksiądz Sawicki.

Państwo Duninowie szczerze i serdecznie podejmowali przybyłych; marszałek z księdzem Sawickim i starym Żurkowskim rozgadali się o ostatnich wypadkach, pani Jadwiga zajęła się przygotowaniem herbaty, a Mieczysław ze Stefanią prowadził ożywioną rozmowę, podczas której dowiedział się, że wesoły spadkobierca śp. Stefana Borejki oświadczył się o rękę marszałkówny, i odszedł z rekuzą.

— Z tej okazyi — mówiła panna Stefania — jakoś wie pan tak się rozmowa złożyła, że w końcu powiedziałam wszystko rodzicom.

Mieczysław spojrzał mimowoli w stronę marszałka.

— Rodzice — nic przeciw temu nie mają — dodała spuszczając oczy.

— O! panno Stefanio! — zawołał Mieczysław — dzień dzisiejszy zaliczę do najszczęśliwszych w mojem życiu. Tak się obawiałem, tak się lękałem, czy moje położenie nie

zamknie mi drogi do urzeczywistnienia najgorętszych moich pragnień.

Ujął jej rękę i złożył na niej długi, gorący pocałunek.

— Jakże bardzo wdzięczny jestem rodzicom pani za tę chwilę niczem niezmąconego szczęścia

— Pójdziemy zatem razem przez życie...

— Razem, — szepnęła Stefania.

Promienne ich spojrzenia spotkały się ze sobą, szczęście zajaśniało pełnym blaskiem na młodych ich twarzach.

Do salonu powróciła pani Jadwiga właśnie w chwili, w której Mieczysław zbliżył się do marszałka.

— Panie marszałku — rzekł z uczuciem — jakże ci mam podziękować za życzliwość dla mnie, za to, że pozwolisz, gdy przyjdzie pora, bym cię ojcem, a ciebie pani — rzekł zwracając się do marszałkowej — matką moją ukochaną nazywał.

Stary Żurkowski wypatrzył się na syna, ksiądz Sawicki zdjął okulary z garbatego nosa i spoglądał po obecnych ze zdziwieniem.

— Cenię cię młodzieńcze i szanuję, znam twoją wartość i nie waham się jedyny skarb

nasz, dziecko nasze, powierzyć twojej opiece; wiem, że zapewnisz jej szczęście i to nam wystarcza.

Mieczysław ucałował rękę pana marszałka i jego małżonki ogromnie wzruszony — marszałek i marszałkowa ucałowali go w czoło, — a panna Stefania, zbliżywszy się do starego Żurkowskiego i złożywszy gorący pocałunek na spracowanej jego dłoni, rzekła tkliwie:

— Ty ojcze nie odmówisz nam także zezwolenia twego i błogosławieństwa.

— Gołąbkoż ty moja — rzekł starowina — ot Bogu na klęczkach będę dziękował za taką córkę kochaną, a dopraszał się będę błogosławieństwa Bożego dla ciebie i dla was obojga.

Z kolei zabrał głos ksiądz Sawicki, stary przyjaciel domu marszałkostwa i przyjaciel Żurkowskich; mówił do narzeczonych i ich rodziców niedługo, ale tak jakoś do serca, że ich swem słowem poruszył i rozrzewnił. Wziął następnie od Mieczysława mały cieniutki pierścioneczek z turkusem, pamiątkę po jego matce i pierścionek przez panią Jadwigę dany Stefanii, i zamieniwszy je, błogosławił dwojgu narzeczonym, których serca kochające uczuwały niewysłowione szczęście.

. . . .

Po herbacie ks. Sawicki zasiadł z marszałkiem do maryasza. Stefania przyniosła na spodeczkach laskowych orzechów — stary Żurkowski rozmawiał z panią marszałkową, a narzeczeni byli sobą zajęci tak, że świata Bożego nie widzieli.

— Ze dwudziestu — rzekł marszałek, kładąc damę pikową przed proboszczem.

— Z jakich dwudziestu? — zawołał ks. Sawicki.

— Przecież zapowiedziałem — odparł marszałek — i pokazywałem księdzu króla.

— Ależ nigdy w życiu — zaprzeczył proboszcz.

— Ależ mój księże.

— Mój marszałku kochany.

— Przecież wiem dobrze co miałem.

— Nie miałeś i koniec — utrzymywał proboszcz.

— Oho — z rożkami, wmieszał się między nich — rzekł stary Żurkowski, strzygąc palcami nad głową.

— A — oni tak zawsze — odpowiedziała marszałkowa.

Sprzeczka przy zielonym stoliku stawała się coraz żwawszą. Proboszcz wstał, zdjął okulary z garbatego nosa, wstał i marszałek

odłożywszy karty — i podniesionymi głosami przekonywali się wzajemnie. — Jeden dowodził, że było dwadzieścia — drugi, że ich nie było.

— A to okropne! — zawołał marszałek — ksiądz zawsze mnie podejrzywasz.

— Nie podejrzywam marszałku, nie podejrzywam; ale kto to widział, mając w rękach samą damę, utrzymywać z takim uporem... Ale przepraszam.

— Za pozwoleniem.

— Na upór niema lekarstwa.

— Mój księże!

— Mój marszałku!

Marszałek umilkł, gniewał się, zamilkł i ksiądz proboszcz. Pan Aleksander począł szerokimi krokami chodzić wzdłuż salonu, ksiądz Sawicki na poprzek. Chodzili tak długo, dopóki się przypadkiem w tej wędrówce nie spotkali na środku.

Spojrzeli sobie w oczy — i parsknęli śmiechem.

— Ha? — odezwał się pierwszy ksiądz proboszcz, zdejmując okulary z garbatego nosa.

— Co? — rzekł marszałek.

— O co my się właściwie kłócimy? —

zauważył proboszcz — o ten orzeszek marszałku — ha? Ii, marność nad marnościami zawołał, padając w objęcia śmiejącego się marszałka!

— *Pax Domini vobiscum* — odezwał się stary Żurkowski.

Po dziesiątej Żurkowscy i ksiądz Sawicki pożegnani przez marszałka aż przed gankiem — odjechali do Stokłosina.

Mieczysław wracał szczęśliwy, niebo miał w młodej duszy i tylko tęsknota do ukochanej psuła mu nieco uczucie szczęścia.

W Pustopolu zostało jego marzenie i kochanie serdeczne — o takich czarnych cudnych oczach, o ustach barwy koralu i warkoczach jakby ze złotych promieni słonecznych splecionych.

A gdy Mieczysław tęskno myśli zwracał do dworu marszałka — te jasne warkocze staczały się złotemi falami na podłogę — Stefania czołem ziemi dotykając, przed obrazem Najświętszej Panny, dziękowała Bogu za największy dar w życiu człowieczem, bo za szczęście prawdziwe i zupełne.

IX.

Nazajutrz rano pan Antoni przyjechał na termin do Stokłosina i wyczekiwał notaryusza, który miał przybyć celem spisania aktu zejścia.

Był niesłychanie zgryziony zarówno sprzedażą praw spadkowych, czego sobie nie mógł darować, jak i Pustopolem, które mu się wymknęło.

Przebiegał myślą całą okolicę, wszystkie dwory i dworki, szukając odpowiedniego miejsca na ulokowanie swego serca — ale wszędzie występywały i mnożyły się poważne wątpliwości. Tu zamało, tam posag zgoła niepewny — tam pewnie nic nie dadzą — tam trzebaby dołożyć.

— Jeszcze u Żubrów w Studniczynie — panna wprawdzie jak drabina — myślał pan Antoni — ale pal djabli, z dziesięć tysięcy możeby się od starego Żubra jeszcze wydusiło; — przynajmniej Słomkowce zostałyby na czysto.

Zajęty temi myślami, przechadzał się po sali, gdy przyjechał Libiszewski z Lichocina. Pan Antoni nie spodziewając się jego przybycia, spojrzał na niego pytającym wzrokiem.

— Jako detaksator panie sąsiedzie dobrodzieju — jako detaksator — zawołał patetycznie.

— A tak — bardzo się cieszę — rzekł Antoni — i gościł właściciela Lichocina, jak mógł najlepiej.

Rozmawiali o tem i o owem, wreszcie pan Antoni napomknął, że radby wstąpić w związki małżeńskie.

Stary wyga uszu nadstawił i wstrzymał oddech.

— Czy ma pan sąsiad co upatrzonego? — zapytał, pokrywając niepokój.

— Jak dotychczas nic.

— A — panie sąsiedzie dobrodzieju — dla Boga nie spieszyć się, nie spieszyć; ja stary przestrzegam, starych słuchać należy. Teraz sytuacya u sąsiada zmieniona na lepsze — czekać, tylko czekać.

— Ba i czemu czekać.

— Ależ sąsiedzie dobrodzieju! — wołał patetycznie Libiszewski — krociowa for-

tuna — krociowy posag pan sąsiad wiąć powinien.

Antoni machnął ręką.

— Tylko cierpliwości — ale wy młodzi to tak jak w ogień. Czekać dla Boga, czekać sąsiedzie dobrodzieju.

— A nie wie przypadkiem pan sąsiad — zagadnął Antoni — jak tam w Studniczynie u Żubrów? Dałby stary jaki posag?!

— Dla Boga sąsiedzie dobrodzieju — krzyknął przerażony Libiszewski, — przecież Studniczynę w przeszłym tygodniu szacowałem, za miesiąc subhastya sąsiedzie dobrodzieju — łgał stary wyga bez zająknienia.

— Takie buty?! — rzekł Antoni mocno zdziwiony.

— A takie, takie — potwierdził właściciel Lichocina — czekać sąsiedzie dobrodzieju — tylko czekać, może coś się trafi dobrego.

Tego czekania dotąd bał się pan Antoni Teraz gdy marszałkostwo i panna Stefania odebrała mu nadzieję nabycia tanim kosztem Pustopola — było mu w zasadzie wszystko jedno i tak dziś rzecz się wyjaśni — i ustępstwo praw spadkowych wyjdzie na jaw.

W bramie ukazał się powóz notaryusza, a w ślad za nim wózek z Zawadowa, którym

przybył pan Teodor w towarzystwie mecenasa Kręcickiego.

Do dworu przyszedł stary Żurkowski, i komisya rozpoczęła swoje urzędowanie.

— Nieboszczyk Borejko — rzekł notaryusz — pozostawił testament z 15go listopada — tu pokazał kopertę opatrzoną pieczęciami nieboszczyka.

Osobno — mówił dalej — wydobywając z torby inny dokument, złożył dodatkowe ostatniej woli rozporządzenie, które państwu odczytam.

Testamentem z wczorajszej daty — czytał notaryusz — rozporządziłem już całym moim majątkiem, mianując uniwersalnym moim spadkobiercą pana Antoniego Moczarskiego, właściciela dóbr Słomkowce.

Ponieważ postanowienia testamentu dotyczą także kapitałów, jakie w chwili śmierci pozostaną...

Pan Antoni ciężko i boleśnie westchnął, pan Teodor się rozpromienił, a mecenas począł gwałtownie gładzić łysinę. Właściciel Lichocina cały był w słuchu, ale mu jeszcze było mało i przysunął się bliżej do notaryusza.

— Przeto chcąc ich fruktyfikacyą kapi-

tały te uzupełnić — postanawiam, aby testament mój otwarty i opublikowany został w sześć miesięcy od dnia śmierci mojej licząc.

— Ponieważ — rzekł notaryusz, przerywając odczytywanie — nieboszczyk zmarł 18go listopada, przeto publikacya testamentu nastąpi 18go maja przyszłego roku.

— Do czasu ogłoszenia i wejścia w życie postanowień testamentarnych — czytał dalej notaryusz — całym moim majątkiem to jest Stokłosinem i Rychłowicami ma zarządzać mój przyjaciel pan Jan Żurkowski. Taka jest moja ostatnia wola. — Pisałem w Stokłosinie 16go listopada -- a tu jest podpis nieboszczyka, dodał notaryusz — wskazując palcem odpowiednie miejsce na dokumencie.

— To zatem panie rejencie dobrodzieju — rzekł Libiszewski — cała sprawa do maja odroczona.

— O tyle, o ile — odpowiedział notaryusz -- dziś zinwentujemy majątek, spiszemy akt zejścia i na tem czynność zawiesimy.

— Ba, dziś — panie dzieo — nie damy rady — rzekł mecenas.

— A to bezwątpienia — potwierdził notaryusz — ale dziś zaczniemy.

Pan Antoni pociągnął za rękaw pana Teodora i Kręcickiego — i wyszli do drugiego pokoju.

— Ładnie ubraliście mnie przy tem kupnie — słyszeliście, kapitały zostały.

— To szczęście Teodora, panie dzieo — mruknął mecenas.

— Ale moje nieszczęście — zauważył pan Antoni.

— Ba — było nie sprzedawać — odparł Teodor.

— To było nie kupować — zasyczał pan Antoni.

— Cicho panowie, panie dzieo — interes interesem — zakonkludował jurysta — to dlatego jeden robi zły interes, ale drugi robi dobry i *vice versa*.

— Musicie dopłacić — szepnął po chwili uniwersalny spadkobierca.

Mecenas i Teodor parsknęli śmiechem — pan Antoni obrzucił ich wzrokiem pełnym nienawiści.

— Albo masz mnie za waryata — rzekł śmiejąc się pan Teodor — albo sam rozum z kretesem straciłeś.

Antoni milczał, — wiedział, że nic nie wskóra, wściekłość go brała na siebie samego, gdyby był mógł, byłby się katował, byłby pasy ze siebie darł za to wyzbycie się praw spadkowych po Borejce.

Mecenas tymczasem z głębokiej kieszeni surduta wydobył w starej gazecie zawinięty plik banknotów.

— Reszta panie dzieo — rzekł podając Antoniemu. Dwanaście tysięcy pięćset, bo zadatku dał Teodor trzy tysiące — dziesięć panu posłałem — zatem w ten sposób rzecz skończona.

Pan Antoni machinalnie wziął pieniądze z rąk prawnika, zaczął liczyć, a mecenas i właściciel Zawadowa ustawiwszy się przy nim, patrzyli mu na palce płonącemi oczyma i szepcząc powtarzali szeptane przez niego liczby.

Skończył rachowanie — schował banknoty i rzekł po chwili:

— Skrzywdziliście mnie — niema co — zróbcież mi przynajmniej to jedno, kiedy właściwy testament dopiero w maju ma być opublikowany — nie ogłaszajcie do tej pory i tego ustępstwa.

— A to z miłą chęcią panie dzieo, to nam nic nie szkodzi.

— Chcesz się żenić?— zapytał pan Teodor.

— Naturalnie.

— A Wanda?...

— Wiesz, że potrzebuję pieniędzy, a twój teść wiesz jak zrobił tobie i mecenasowi.

— Radca frant — panie dzieo — rzekł mecenas.

— Chciałem w Pustopolu...

— No i co?...

— I nic — marszałek nadęty, nie wiem co mu na nos siadło — panna zła jak djablica i koniec.

— W okolicy trudno będzie — zauważył Teodor.

— Nic niema godnego i posażnego — dodał pan Antoni — ale w każdym razie ustępstwo do maja zachowajcie w tajemnicy.

To powiedziawszy wyszedł do sali, w której notaryusz spisywał akt zejścia, a Libiszewski mając wyciągi tabularne przed sobą, liczył wartość ziemi, aby ją podać do inwentarza.

— Teodorze panie dzieo — odezwał się Kręcicki po wyjściu Antoniego.

— Co — ha?

— Kapitały zostały panie dzieo.

— Zostały, moje szczęście.

— Może co dołożysz — hm — jakoś panie dzieo wypadałoby...

Pan Teodor parsknął znowu śmiechem.

— Ii — czegoż się śmiejesz panie dzieo, przecież widzisz, zaliczam tymczasem własne pieniądze.

— Na dwanaście procent — dodał Teodor.

— Nikt inny nawet na dwadzieścia cztery nie pożyczyłby panie dzieo.

— Żydzi daliby i sto tysięcy, gdyby wiedzieli, że nabyłem prawa do spadku.

— Żart na bok panie dzieo — nie dużo, dołóż pięć tysięcy.

— Jasiu! — zawołał Teodor — sam powiedziałbyś, że oszalałem.

— Takbym powiedział panie dzieo? — zapytał mecenas. — Ah nie! nie, nie powiem — rzekł uspokajająco.

— A ja nie dołożę!

— Chcesz mojej krzywdy?

— Ładna krzywda, dwadzieścia tysięcy za nic.

— Jak to panie dzieo za nic, za interes, — honoraryum i basta.

— Złamanego szeląga nie dołożę.

— Teodorze, gdzie serce panie dzieo — gdzie, jakże się nazywa — sumienie.

— Ii — romanse szwagierku, romanse. — Z tobą naprawdę czasem rozumnie mówić nie można.

Drzwi do przyległego pokoju otwarły się; wszedł Żurkowski, prowadząc za sobą notaryusza i Libiszewskiego, za którymi podążał pan Antoni.

— Tam panie rejencie biblioteka i zbiory nieboszczyka — rzekł stary Żurkowski.

— Może od tego zaczniemy.

— A dobrze panie rejencie dobrodzieju — zawołał pan Libiszewski, który w powiecie taksował zarówno słomę i ziarno, drzewo i piasek, ziemię i bydło — i gdy było potrzeba biblioteki i dzieła sztuki, meble i starożytności, jednem słowem wszystko, byle handel szedł.

Rejent zdjął pieczęcie ze drzwi.

Gdy stanęli w dużej komnacie, oczom ich przedstawił się wspaniały widok. Szafy nabite księgami i książkami, ściany pełne obrazów i sztychów — nad szafami portrety stare i zczerniałe, potem świeższe i na jednym uśmiechnięta twarz Stefana Borejki z tym

miłym, jemu właściwym wyrazem, pełna słodyczy i dobroci.

Żurkowski spojrzawszy na portret. westchnął boleśnie.

— Co to jest — zapytał znawca Libiszewski, wskazując na ukośną szybę oszklonego kantorka.

— Zbiory numizmatyczne — objaśnił Żurkowski, a widząc, że znawca nie bardzo wie, co będzie szacował — rzekł mu wyraźniej: stare pieniądze.

— Panie rejencie panie dzieo — szepnął mecenas — nie możnaby tak przed tem ogłoszeniem coś bliższego wiedzieć o tym testamencie.

— Nie, panie mecenasie, dałem słowo nieboszczykowi — czuję się obowiązanym do dotrzymania tego słowa ze względu na mnie samego i na pamięć jednego z najszlachetniejszych ludzi.

Mecenas pokręcił głową i potarł łysinę — Żurkowski podał katalog Libiszewskiemu, otworzył kantorek i wyjmował szufladki wyłożone pąsowym aksamitem, na którym ogromnie cenne znajdowały się okazy.

— Numer pierwszy — odczytał z kata-

logu znawca Libiszewski — Didrachmon Laryssy, — Tessalia.

Notaryusz zanotował.

— Wartość?

— Dwa grejcary — odpowiedział stary wyga, i znowu przeczytał z katalogu: numer drugi pieniądz Romulusa Augustulusa — i rzekł zaglądając do szkatułki — maleństwo, to nic nie warte.

— Lotaryusza drugiego numer trzeci — hm, to ma być złoto — ta blaszka — no — niechby było — korona.

I tak oceniając przedmiot po przedmiocie, pracowali do wieczora.

Nazajutrz znowu mieli się zjechać w Stokłosinie, ale Libiszewski wymówił się innem zajęciem i obiecał przybyć dopiero we czwartek, wobec czego dalsza czynność została do czwartku odroczona.

— A wy już panie dzieo — rzekł mecenas do panów Moczarskich — wobec tego, że majątkiem będzie do maja zarządzał pan Żurkowski, to nawet do tej inwentacyi nie przyjeżdżajcie i ja także nie przyjadę, — szkoda czasu.

Przed ganek zatoczyły się ekwiparze przybyłych — rozjeżdżali się ze Stokłosina. Stary

wyga nadskakiwał Antoniemu i czule się z nim pożegnał.

— Panie sąsiedzie dobrodzieju! — zawołał patetycznie — niech się sąsiad nie trudzi, ja tu dopilnuję inwentacyi tak jakby dla siebie! — A z tem cośmy rano mówili — rzekł siadając na wózek — czekać sąsiedzie dobrodzieju! — dla Boga, tylko czekać!

— Chude jak haki kulejące szkapięta pociągnęły wózek Libiszewskiego. — I w tej chwili powstała cała muzyka: koła skrzypiały na osiach, rysory grały jak dwie olbrzymie drumle, wszystkie mutry dzwoniły niby czinele, skrzydła warczały jak bębny, a konie kawałkami źle umocowanych podków kłapały tak samo, jak Mosiek i Moszkowa z Lichocina, kiedy na sądny dzień dreptali pieszkiem w patynkach do Dobrosławia.

X.

— Staszek! — zawołał pan Libiszewski na parobka — kara i siwa i czarne woły do kieratu, Magda i Kaśka do maszyny — Jasiek niech młynkuje, a ty gniade zaprzęgnij do wózka.

— A kto bedzie w kieracie poganioł? — zapytał Staszek.

— Któżby — ty!

— Dyć pon kazą zapsągać.

— Bo pojadę — odparł właściciel Lichocina — sam sobie będę furmanił, a ty do kieratu. — Cóżbyś chciał, abym najmował, mało to zjadasz?

— Ii, zjadom — kiedy niebądź pon skąd wróci, z plebanii abo kościoła, to furt co nowego pon przywozą. Pust i pust, ale — i to taki, co się susy.

— Nie pleć! — krzyknął pan Libiszewski — cóż ja winien, że ksiądz zapowiada.

— A juści zapowiado, opytałem się lu-

dzi — to pedali, co nijakiego postu wcora nie było.

— Był, nie pleć!

— No juści u pana to był, bo mi jaze bebechy do plic przywarło. — Jesce nikaj taki pust nie był, tak raz wraz jak w ten rok, com sie do pana na fornala zgodził.

— Cicho bądź, nie pleć! — powtórzył stary wyga — zaprzęgaj, a potem do kieratu i basta.

— No dzięka Bogu do gód niedaleko — mruknął Staszek — na drugi rok figa ostanę.

I poszedł niechętnie ku stajni, a pan Libiszewski wszedł do domu.

W pół godziny potem właściciel Lichocina wyjeżdżał na swoim samogrającym wózku za bramę.

Kulejące szkapięta, kłapiąc resztkami podków i sapiąc resztkami tchu — biegły truchtem po gościńcu dobrosławskim. Libiszewski jechał po syna, który z podróży dziś miał powrócić.

Kiwał się na wózku samogrającym na prawo i na lewo, ziewał, drzemał, układał plany na przyszłość — i w myśli zagarniał Stokłosin, Rychłowice, las na Wiechowem i kapitały Borejki w swoje posiadanie.

Dwie opętane mile drogi miał przed sobą, kulejącym szkapiętom niewiele ubywało przestrzeni — Libiszewski miał czas słodkim oddawać się marzeniom.

Jego konie snać także marzyły o ciepłej stajni, o dobrym sianie i choć kilku ziarnkach owsa, bo gdy Libiszewski w głębszą popadał zadumę — gniade zwalniały kroku, a widząc, że ich właściciel do biegu nie nagli — przystawały na gościńcu.

Cisza wówczas nastawała — wózek grać przestawał, skrzydła nie warczały, mutry nie dzwoniły i resory nie grały jak dwie drumle olbrzymich rozmiarów. Cisza budziła z zadumy starego wygę.

— Wio! — krzyczał wtedy i śmigał batem po końskich kościach, przezierających przez zmurszałą gniadą sierść, a konie sztykul, sztykul — biegły dalej, przebudzone z przyjemnej zadumy.

Dzwoniono w dobrosławskich kościołach na południe, gdy pan Libiszewski zajechał przed dworzec kolejowy.

Oddał swoje rumaki ekspresowi, któremu wręczył za fatygę niepewną dwudziesto-halerzówkę, a sam wyszedł na peron.

— Sługa pana radcy dobrodzieja — za-

wołał do jegomościa przechodzącego przez peron na zgiętych w kolanach nogach.

— A... a!.. — zawołał zagadnięty — i wydobył z pod pledu, futra, palta i surduta skrzywione binokle, wieszając je na okazałym nosie, mającym kształty nasiennego ogórka.

— Pan radca dobrodziej nie poznaje starego szlachcica.

— A!.. — pan Libiszewski! — zawołał pan radca Adam Bzikowski — witam — padam do nóg, padam do nóg!

— Pan radca dobrodziej jedzie!

— Niedaleko panie ziu — do Zawadowa, martwiąca wiadomość — Antosia zachorowała.

— Pani Moczarska!

— Uhm — pań ziu — przeziębiła się, ma chrypkę.

— Jakże się miewa pani dobrodziejka, — zdrowa?

— Dziękuję pań ziu, uprzejmie dziękuję; żona wcale, wcale.

— A pan radca dobrodziej? — pytał Libiszewski — pięknie pan radca wygląda.

— I — cóż z tego pań ziu, reumatyzm w kolanach dokucza; — a po chwili przy-

kładając skrzywione binokle do oczu, spojrzał na właściciela Lichocina.

— A i pan pań ziu doskonale wygląda.

— Ii, panie radco dobrodzieju — gdzie dziś człowiek wygląda; siedmdziesiąt z okładem, a czasy coraz gorsze.

— Pan jedzie także pań ziu? — zapytał radca.

— Nie panie radco — czekam na syna, pojechał onegdaj do ciotki, do mojej siostry, do pani Rzepielińskiej — zełgał stary wyga — i tym pociągiem powraca.

— Spóźniony pociąg pań ziu — zauważył radca.

— Przepraszam panów — rzekł jakiś opasły jegomość o mocno czerwonej twarzy — czy to pociąg ze Lwowa?

— Ze Lwowa pań ziu — odpowiedział radca.

— Michaś! — zawołał obcy do drugiego dobrze odżywionego towarzysza — ze Lwowa!

— Teraz to już pewnie przyjedzie — zauważył tamten.

Przed peronem ukazała się lokomotywa w kłębach dymu i syczącej pary.

— Sługa pań ziu! — rzekł radca, podając rękę Libiszewskiemu — padam do nóg pań ziu!

— Moje uprzejmości, — padam do nóg panu radcy — ukłony państwu Moczarskim.

— Dziękuję pań ziu, uszanowanie, padam do nóg.

Pociąg ze zgrzytem i piskiem wtoczył się przed peron.

— Dobrosław — pięć minut! — pięć minut.

— Proszę siadać!

— Tędy, tędy.

— Dokąd pan jedzie!

— Tu jest wolne miejsce — druga klasa? — wołał konduktor.

— Trzecia pań ziu — rzekł radca ukazując bilet.

— A to tam na przedzie — prędzej, prędzej!

Radca Bzikowski biegł wzdłuż pociągu, kolana uginały się pod nim jak rysory.

Libiszewski rozglądał się po peronie na prawo i lewo, wreszcie spostrzegł idącego swego dryblasa.

— Ojciec! — zawołał Józef — jak Boga kocham.

— Przywiozłeś? — zapytał stary.

— Przywiozłem — sześć — ale opłacić trzeba transport.

— Przecież ci dałem cymbale pieniądze!

— Jak Boga kocham — droga kosztowała, a przecie za darmo nie dali — tylko kazali sobie zapłacić.

Józef wyjął papierosa.

— Okradasz szelmo starego ojca na każdym kroku!

— Jak Boga kocham!...

— Nie pleć! — krzyknął pan Libiszewski, wyjmując synowi z palców papierosa i zapalając.

— Ostatniego, jak Boga kocham — zawołał Józef — ojciec musi kupić zaraz tytoniu.

— Pewnie, będę kupował — mruczał stary wyga — co to pójdę kraść, czy rozbijać na gościńce, abyś ty miał co kurzyć.

— Jak Boga kocham..

— Nie pleć, — gdzież to jest.

— A tam trzeba pójść — rzekł Józef, wskazując wóz pakunkowy, z którego służba kolejowa wydobywała bagaże.

Pan Libiszewski poszedł we wskazanym kierunku, a Józef podążył za nim.

— Przepraszam panów — rzekł opasły jegomość o mocno czerwonej twarzy.— Czy to pan jest — bo pan tym pociągiem przyjechał, co?

— Tym — odpowiedział Józef.

— Zatem to pan jest pan Ogonek z Radymna.

— Jak Boga kocham — zawołał Józef.

— Nie, nie — przerwał Libiszewski senior — mój syn nie jest Ogonek.

— Ale pan handluje wieprzkami — prawda? — pytał obcy — pan posyła wieprzki do Wiednia.

— Żadnych wieprzków nie posyła i nie handluje — odparł stary Libiszewski — i poszedł naprzód ze synem.

— Jak Boga kocham — widzi ojciec, już trzeci wziął mnie dzisiaj za świniarza. — To ojciec temu winien — utyskiwał Józef — gdzież w takim kożuszku z wyłysiałym kołnierzem, w jałowiczych butach...

— Nie pleć! — przerwał niecierpliwie Libiszewski, co sobie myślisz, pójdę dla ciebie kraść czy rozbijać po gościńcach.

— Jak Boga kocham...

Zbliżyli się do wagonu pakunkowego — Józef oddał ojcu list przesyłkowy — posługacze wynieśli pakunki, — Libiszewscy ułożyli je we wózku, Józef dał w opałce koniom sieczki jęczmiennej i po godzinie ruszył w drogę z powrotem do domu, wiozący ojca, który od czasu do czasu dopytywał się go

o szczegóły podróży — i gderał za to, że wydał dużo pieniędzy.

Rozmowę ich przygłuszał wózek samogrający, z trudnością tylko mogli się porozumieć, co im wreszcie odebrało ochotę do dalszej rozmowy.

Późnym wieczorem dobili do Lichocna.— Libiszewski ze synem i z córką, nie wołając służby, przywieziony ładunek znieśli do piwnicy — a gdy Józef, zawiódłszy konie do stajni, powrócił na wieczerzę do domu — stary wyga zatarł ręce z zadowoleniem.

— No — rzekł — co, ha? Teraz Moczarski nasz, i Stokłosin nasz i Rychłowice nasze i las na Wiechowem — i kapitały po Borejce nasze.

— Jak Boga kocham — rzekł Józef z przekonaniem, — z ojca to adwokat.

— Może nie? — co? — zawołał właściciel Lichocina — mógłbyś zaprzeczyć cymbale?!

. . . .

Nazajutrz rano posłał pan Libiszewski po Walka Białkę, który był chłop sprytny i każdej roboty się imał.

— Możebyś mi Walku za stodołą studnię wybrał? — zapytał przybyłego.

— Ha, dobze.

— Kiepska woda w tym potoku — bydło mi choruje, — mówił Libiszewski — trzeba raz odżałować i zrobić studnię.

— Za stodołą, dziadzi wiedzą, jak ta daleko do wody — rzekł Walek.

— Ii — daleko nie będzie — a cobyś chciał od kubika?

— Bo ja wiem — rzekł Walek — a co pon by dali?

— Mów, mów, co żądasz.

— Ta — po dwanaście szóstek.

— Walek, ty zwarjował — na zimę, co niema roboty.

— A to niech se pon zrobią studnię na zwiesnę.

— Miejże Boga w sercu — po dwanaście szóstek, grzech — pomsta Boża.

— Jak Boga kocham — zawołał Józef.

— Kiej prosę pana kubik ziemi wygarnąć — upierał się Walek — to tyz jest kawał roboty.

— Co za kawał roboty — nie stać cię na to, czy co — śmigniesz raz dwa łopatą i już.

Libiszewski targował się zajadle — syn mu pomagał — i panna Mania w sukurs im przybyła. — Po godzinie targów zgodził się

Walek na ośm szóstek od kubika — a Libiszewski kazał mu zaraz zabrać się do wybierania studni, zanim przyjdą mrozy.

Za stodołą we wskazanem miejscu Walek zaczął kopać, kopał i kopał, zapadając z rydlem coraz głębiej i głębiej, aż wreszcie zniknął w czarnym dole, z którego jak kret wysypywał tylko nad jego brzegi iłowatą ziemię.

Stary wyga ręce zacierał i liczył na palcach — Stokłosin, Lichocin, Słomkowce, Rychłowice, las na Wiechowem — i kapitały po Borejce!

— Z ojca adwokat — jak Boga kocham — powtórzył Józef, dziwiąc się przebiegłości rodzica.

XI.

Pan Antoni oganiał się jak mógł starozakonnym wierzycielom, którzy bezustannie nawiedzali go w Słomkowcach.

Wprawdzie po wyrównaniu zaległych rat bankowych — z otrzymanego ekwiwalentu pozostało mu jeszcze okrągło dwadzieścia tysięcy — ale tych nie chciał oddać braci mojżeszowego wyznania, — przypuszczając, że wyszpera przecie gdzie w kraju posażną jedynaczkę, która odda mu trzos pełen i rękę za tytuł uniwersalnego spadkobiercy śp. Stefana Borejki.

Liczył się z tem, że starając się o rękę bogatej panny, będzie musiał odpowiednio wystąpić, a te wystąpienia są zawsze djablo kosztowne.

Dusił więc w kieszeni banknoty przysłane mu i wręczone przez brata i Kręcickiego, garbonosym żydowinom tłumaczył, że muszą czekać na pieniądze do maja, a sam przez faktorów, tak zwanych „szatche-

nów“ w żargonowej gwarze, wywiadywał się o stosunkach majątkowych rozmaitych obywateli, którym Bozia dała córki i majątki.

Wywiady w okolicy przyniosły jak najgorsze wyniki — panien było dosyć, i starych i młodych, i brzydkich i ładnych, i tłustych i chudych, ale posagu, — takiego pewnego posagu, któryby niezawodnie płatny był po powrocie z kościoła — ani jednego.

— Trzeba zatem szukać dalej — pomyślał sobie wesoły spadkobierca.

Ale znowu opadła go ciężka troska. — Wprawdzie Borejkę znano w całym kraju, o jego śmierci dzienniki szeroko pisały — mimo tego mogli ludzie nie znać jego stosunków majątkowych i nie wiedzieć, że nieboszczyk był Krezusem — a jego spadkobiercą... pan Teodor.

— Ten mnie orżnął, niech go piorun trzaśnie! — zaklął pan Antoni.

Przyniesiono mu poranną kawę i oznajmiono, że karbowy Wojciech ze Stokłosina przyszedł.

Za chwilę wtoczył się do pokoju przybyły.

— A co tam Wojciechu?

— Ta nic prose pana, ino co mnie ekomon wygnoł.

— Hm, wygnał? — zapytał pan Antoni — a za co?

— Pedzioł, com ukrod półtora korca owsa, rewizyją zrobił u mnie, zabrał ten owies i wygnał.

— Zabrał owies, więc go miałeś?

— A to niby prose pana, mnie ten owies darował Jasiek.

— To cóż ci poradzę — rzekł Antoni — Żurkowski ma rządzić do maja — przepadło! — Co jeszcze słychać — oszacowanie skończyli, czy jeszcze nie?

— A juz, a jakze, wcora skończyli — a bardzok się pospisali, bo dziedzic z Lichocina miał konwisyją u siebie.

— Cóż — przyszła kreska na Matyska — teraz jego pewnie szacowali, — rzekł z uśmiechem Antoni.

— E nie prose łaski pana — odparł karbowy — ponoć kopał studnię i zamiast wody zacęna cic nachta.

— Nafta?! — zakrzyknął zdziwiony pan Antoni.

— A juścić nachta W Lichocinie radość jaze okropa — chłopy sie ciesom, pedajom co

tysiomce bedom brali za gront na kopanie. Musi i prawdo, ze tak bedzie.

Antoni oniemiał z podziwu.

— To juze pon na tego ekomona nie poredzą?

— A nie poradzę — testament jest, do maja rządzi, ale ty Wojciechu od czasu do czasu podglądaj tam, abyś wiedział co się dzieje i donoś mi, jakby było co ważnego — uważaj, czy ekonom czego nie sprzedaje, albo nie zamienia — to ja ci wynagrodzę.

Wojciech poskrobał się w głowę.

— Pseprosom łaski pana — a mozeby pon co teraz wyzucili.

— Przecież ci dałem niedawno.

— No to je tak — tylko z tej okazyi, co mnie ekomon wygnał.

Pan Antoni rzucił na stół czterdzieści halerzy.

— Dziękujem piknie — rzekł Wojciech — niech bedzie pochwalany — i wyszedł, pozostawiając pana Antoniego w zamyśleniu.

— Nafta — rzekł sam do siebie — nafta w Lichocinie! No proszę, ktoby był przypuścił — Libiszewski hm... w czepku się urodził...

— A to się teraz psiakrew obłowi, krzyknął po chwili.

— Ten mnie urządził, — jęknął znowu, przypominając sobie interes z panem Teodorem. — Skoro znalazła się nafta w Lichocinie, to musi być także i w Stokłosinie. — Niechże mnie wszyscy djabli wezmą!

To mówiąc, wziął machinalnie ze stołu gazetę przed chwilą z poczty przyniesioną, przejrzał swoim zwyczajem najpierw anonse i potem zajrzał do kroniki.

— Odkryte skarby — przeczytał. — Skarby! mruknął — hm, to będzie coś interesującego i przebiegł oczyma notatkę kronikarską, która okrutnie na niego podziałała.

— W powiecie dobrosławskim, w Lichocinie górnym — pisał autor notatki — w majątku stanowiącym własność powszechnie szanowanego obywatela pana Stanisława Libiszewskiego — przypadkowo przy kopaniu studni odkryto już pod pierwszym pokładem iłu ziemnego — niezwykle obfite źródła naftowe. Zdaje się, że Lichocin będzie w krótkim czasie najwydatniejszą kopalnią w naszym kraju, która przyczyni się do podniesienia bogactwa krajowego. Przypuszczenie to uzasadnia fakt, że kompania anglo-belgij-

ska ofiarowała już panu Libiszewskiemu pół miliona franków za teren naftowy; właściciel jednak Lichocina odrzucił tę ofertę, kierując się wyższymi względami na dobro kraju.

Pan Antoni rzucił na stół gazetę.

— Pół milijona! — zawołał — nie, nie można się namyślać!

Wypadł z pokoju na ganek i krzyknął na służbę.

— Jasiek! zaprzęgaj — do powozu, słyszysz — nowe chomąta ubierz, a sam weź płaszcz na siebie — ten z guzikami i czapkę z koroną.

Gdy powóz pana Antoniego zataczał się przed lichociński dwór — pan Libiszewski zjawił się na ganku.

— Co za szczęście — sąsiedzie dobrodzieju — wołał z patosem — co za szczęście dla starego szlachcica.

— Byłem w obowiązku wobec pana sąsiada dobrodzieja — odrzekł pan Antoni — bo raz powinien byłem podziękować za zaszczyt niepogardzenia moim domem — a powtóre za trudy, poniesione przy oszacowaniu.

— Ależ kochany sąsiedzie dobrodzieju — protestował stary wyga — proszę, bardzo proszę w te ubogie progi szlacheckie.

Pan Antoni wprowadzony do salonu — spotkał tam tłustą pannę Manię!

Z całą galanteryą, na jaką go stać było — skłonił się córce nafciarza — uśmiechnął się niezmiernie słodko, spojrzał w oczy jak mógł najgoręcej i zaczął — jak zwykle w takich razach mówić — o pogodzie.

Po wymianie kilku meteorologicznych spostrzeżeń i prognostyków na dnie najbliższe, zwrócił się do pana Libiszewskiego z zapytaniem, gdzie jest pan Józef.

— A on przy kopalni — odpowiedział Libiszewski.

— Przy kopalni? Przy jakiej kopalni? — zapytał uniwersalny spadkobierca, — udając, że o niczem jeszcze nic wie.

— Jakto sąsiedzie dobrodzieju? — zawołał stary nafciarz — to nie słyszałeś, że Lichocin nie będzie bez światła! Nafta sąsiedzie dobrodzieju — nafta!

Pan Antoni udał niesłychanie zdumionego, czoło podniósł, jak mógł najwyżej, oczy otworzył szeroko i patrzył na Libiszewskiego w milczeniu.

— Jakże się cieszę — zawołał po chwili — ochłonąwszy niby z pierwszego wrażenia. — Jakże się cieszę sąsiedzie dobrodzieju.

I rzucili się sobie w objęcia. Jeden cisnął, jak mógł najmocniej, Stokłosin, Rychłowice i las na Wiechowem — drugi przyszłe tereny naftowe — oddawali sobie wzajemnie gorące uczucia, szukając w spadku Borejki i w odkrytych w ziemi skarbach — ratunku dla zagrożonej egzystencyi.

— O, pokażę sąsiadowi — rzekł Libiszewski, uwolniwszy się z objęć uniwersalnego spadkobiercy — pokażę naftę — widział sąsiad dobrodziej kiedy naftę? Oto jest — mówił,— podając panu Antoniemu mały flakonik napełniony ciemnym płynem.

Pan Antoni powąchał.

— Czuć co — prawda? — dopytywał się Libiszewski.

— O czuć — potwierdził Antoni.

— Maniu — zwrócił się stary wyga do córki — przygotuj śniadanie, a my tymczasem pójdziemy na chwilę do kopalni.

Antoni tylko na to czekał — chciał własnemi oczyma oglądać ten cud.

— Proszę, proszę sąsiedzie dobrodzieju! — zawołał gospodarz — Pan Bóg łaskaw na starego szlachcica — prawda?

To mówiąc, wziął nafciarz uniwersalnego spadkobiercę pod ramię — wyprowadził go

z domu, przez dziedziniec koło stajni, i za stodołą ukazał rusztowanie, które cieśle właśnie stawiali.

— Co to jest? — zapytał Antoni, który jeszcze w życiu żadnej kopalni nie widział.

— To sąsiedzie dobrodzieju dopiero szkielet rusztowania — objaśnił Libiszewski — tam będzie świder do wiercenia.

Zbliżyli się do rusztowania, przy którem pilnując robotników stał młody Libiszewski.

— Miłe ma pan teraz zajęcie — rzekł Antoni, podając mu rękę.

— Jak Boga kocham — odpowiedział dryblas swoim zwyczajem.

— Bardzo wierzę.

— Otóż i owa studnia sąsiedzie dobrodzieju — rzekł Libiszewski, wskazując na otwór deskami założony. — Odsuńcie deskę — rozkazał robotnikom — tylko przepraszam, ale bez papierosa — to niebezpieczna sprawa sąsiedzie dobrodzieju. — W Baku sześć tygodni płonęły szyby naftowe.

Antoni przydeptał prawie całe cygaro.

— O jak Boga kocham — zawołał Józef, spoglądając pożądliwem okiem na przydeptany papieros.

Robotnicy deskę odsunęli — pan Antoni się nachylił i patrzył w otwór.

— Niechno sąsiad dobrodziej uklęknie tu — tu, tu na tej desce — tak, proszę powąchać i posłuchać.

Uniwersalny spadkobierca wąchał — a odór nafty go dławił — słuchał, a z dna studni dolatywały go szmery: plim, plum, plim, plum.

— Słyszy pan sąsiad — dopytywał nafciarz — jak tam robi ciap, ciap, ciap, ciap?

— A — ha, ha — słyszę — odpowiedział uniwersalny spadkobierca.

— A wiesz sąsiedzie dobrodzieju, co to tak robi ciap, ciap, ciap, ciap? — Nafta, nafta, która tyle warta co złoto!

— Walek — zawołał — dejno tu wiaderko.

Walek podał blaszane wiaderko na linewce — Libiszewski spuścił go na dno — wyciągnął i z zawartością podsunął pod nos uniwersalnego sukcesora.

Silny odór nafty rozszedł się do koła.

— Ha, co? prawda — mówił Libiszewski — i wlawszy napowrót zawartość do studni — sam się pochylił.

— Walek, ale ty cymbał jesteś! — zawołał po chwili — teraz nas gotowa nafta zalać,

zanim się wszystko przygotuje — o patrz, jak bucha — rzekł, wskazując palcem w czarną otchłań studni, w której nie było nic widać.

— No widzisz, widzisz jak bucha — wmawiał w chłopa stary wyga.

— Ha, ta widzę prosę pana — odrzekł Walek, zasugestyonowany przez Libiszewskiego.

— A mówiłem, przestań kopać, gdy się tylko pierwsze krople ropy zaczęły wydobywać. — Bo to trzeba wiedzieć panie sąsiedzie dobrodzieju -- rzekł zwracając się do Antoniego — że to przecież niedaleko pod powierzchnią — a tam w głębi skarby panie, wulkan naftowy. Jakby ropa parta przez nagromadzone gazy wyrzuciła nie daj Boże tę warstwę iłu, co ją jeszcze w ryzach trzyma — to strach, potonęlibyśmy w nafcie. A tu jeszcze nic niema, ani naczyń, ani cystern — trzeba dopiero o tem pomyśleć, posprowadzać, urządzić.

Jutro jadę po inżynierów górniczych do Lwowa.

No załóżcie deskami tę dziurę — rzekł do robotników — a gdyby z niej zaczęły się jakie szmery wydobywać głośniejsze, to duchem dawajcie znać.

I stary wyga ze synem i gościem powracał raźnym krokiem do domu.

— Ale to szczęście nielada — panie sąsiedzie dobrodzieju — odezwał się pan Antoni.

— A no prawda, że szczęście — ale i kłopotów wiele — a wydatków ho, ho!...

— Jak Boga kocham — dorzucił pan Józef.

Pan Antoni gościnnością gospodarza i słodkiemi wejrzeniami panny Mani zniewolony, był także w Lichocinie na obiedzie i dopiero po południu rodzina Libiszewskich, nie wyłączając panny Mani, wyprowadziła go na ganek.

— Ja wyjeżdżam na kilka dni do Lwowa po inżynierów — rzekł Libiszewski — ale gdybym mógł pana sąsiada dobrodzieja uprosić, byłbym wdzięczny, gdyby pan sąsiad dobrodziej raczył tu zajrzeć w mojej nieobecności, bo może tym biednym dzieciom przy tej nafcie trzeba będzie dać jaką radę — albo wskazówkę.

— Jak Boga kocham — potwierdził Józef.

— Bardzo prosim, a jakże — zaśpiewała panna Mania.

— Ależ z przyjemnością sąsiedzie dobrodzieju, z przyjemnością — zapewniał pan Antoni.

Nafciarz szeroko otworzył ramiona — uniwersalny spadkobierca padł w nie rozczulony.

Pożegnawszy gościnny dom, wskoczył do powozu i kazał się wieść — do Zawadowa.

XII.

— Wracam prosto z Lichocina — rzekł pan Antoni po przywitaniu się z bratem, panią Antoniną, panną Wandą i z panem radcą.

— A ha, ha — pań ziu! — zawołał radca, przytykając do oczu skrzywione binokle — podobno nafta?

— Fi! jeszcze ile — potwierdził pan Antoni — zachodzi obawa wybuchu ropy.

— Doprawdy pań ziu.

— Ba, zacóżby mu pół miliona franków dawało to towarzystwo angielsko-belgijskie.

— At — westchnęła pani Antonina z Bzikowskich, gdzieś każdy ma szczęście — tylko my nie mamy.

— Ii, — odburknął pan Teodor.

— Nie „ii" Dorku, ale tak — no popatrz, taki Libiszewski.

— Co jemu, to i wam — wy także macie szczęście.

— A to w jaki sposób? — zapytała pani Teodorowa.

— A no kupiliście spadek — zaczekacie do maja, weźmiecie Stokłosin i będziecie mieli naftę.

— My?!

— Doprawdy?! — zawołała panna Wanda.

— A to — to pań ziu byłoby niczego.

— To dla mnie żadnej prawie wątpliwości nie ulega — rzekł Antoni.

Radca oparł na nosie kształtu nasiennego ogórka swoje skrzywione binokle.

— Stokłosin i Lichocin w jednym pasie — mówił Antoni — skoro zatem w Lichocinie jest nafta, to i w dobrach Borejki być musi, to jest tak pewne, jak dwa a dwa cztery.

— Dorku! rany Boskie — zawołała pani Antonina.

— Racya pań ziu — racya — niema co gadać.

Pan radca wstał z fotelu i uginając kolana jak rysory, począł łazić po pokoju.

— Pocóż jeździłeś do Lichocina? — zapytał pan Teodor.

— Ba jakże, przecież wiesz, że Libiszewski był u mnie na stypie i zaprosił mnie — a powtóre, że tą detaksacyą się zajmował.

— Dorku, rany Boskie — zawołała pani Antonina — co ten stary frant za to zażąda?

— Zobaczymy.

— Teraz chyba pań ziu — dorzucił radca — kiedy stał się milionerem, to może tak bezinteresownie...

— No, no — przerwał pan Teodor — tak ci spiesznie było go rewizytować.

— Dowiedziałem się o nafcie — i pojechałem; chciałem własnemi oczyma widzieć, widziałem, wiem i teraz myślę...

Tu spojrzał na Wandę i nie dokończył zdania.

— Ożenić się z Libiszewską — dopowiedział pan Teodor — dokończ, poco obwijać w bawełnę; może się już nawet oświadczyłeś?

— Tak z miejsca? — nie wypadało — odrzekł nieco zażenowany.

Panna Wanda obrzuciła go spojrzeniem, w którem jak błyskawica — mignęła jakaś gorycz i żal; pan Antoni jednak czy tego nie spostrzegł, czy spostrzedz nie chciał — dosyć, że na temat postanowionego już małżeństwa z panną Libiszewską mówił wiele z bratem, bratową i panem radcą.

— A czy pan kocha pannę Libiszewską?—

zapytała nagle panna Wanda, podnosząc na niego piwne oczy.

— Nie pani, — odpowiedział swobodnie. W dzisiejszych czasach niema chyba małżeństw wiążących się z miłości. Małżeństwo jest interesem, tak jak każdy inny.

— Słusznie pań ziu — słusznie i rozumnie — zawyrokował radca, uginając nogi w kolanach — rozumny mężczyzna powinien się żenić wtedy, kiedy posag widzi.

— I ja widziałem — odezwał się Teodor — pokazywał mi go ojciec, a potem po ślubie, czy dostałem choć jednego halerza prócz marnej wyprawy.

— Martwiące słowo — westchnął płaczliwie pan radca.

— Widzi pani — rzekł Antoni, zwracając się do Wandy — pan radca twierdzi, że mężczyzna powinien się żenić, gdy posag widzi — a ja idę nieco dalej i powiadam, że wówczas powinien się żenić, gdy posag czuje we własnej kieszeni.

Wanda spuściła oczy — pan radca westchnął i opadł jeszcze niżej na gnących się kolanach.

— Co do panny Libiszewskiej — ciągnął Antoni — to z nią, a raczej z jej ojcem in-

teres łatwy i prosty, żenię się, biorę kopalnię i basta.

— A brat pan Józef? — wtrącił pytająco Teodor.

— A choćby i po połowie — cóż to, ich dwoje i milionowa fortuna, starego nie biorę w rachubę, siedmdziesiątka z okładem — to tak, jakby jedną nogą był już na tamtym świecie.

— Oj! stęknął radca — martwiące słowo.

— Ze synem Libiszewskiego zresztą można się zgodzić już naprzód...

— Dorku rany Boskie — krzyknęła pani Antonina — a gdyby się ożenił młody Libiszewski z Wandzią? — ha?!

— Pysznie pań ziu, pysznie! — zawoła radca — milionowa fortuna.

— Tylko rany Boskie — jakby to zrobić?

— E pań ziu — zawołał radca — całkiem po prostu, pojedziemy do Lichocina niby to powinszować staremu, ja pań ziu dam mu — tylko ostrożnie — do zrozumienia, że niby posag — a ty Wandeczko zrobisz już resztę.

— Nie wiem, który to jest ten Libiszewski? — zapytała panna Wanda.

— Ten, nie wiesz, rany Boskie — objaśniła pani Teodorowa — ten drągal, taki ru-

miany na twarzy, z czupryną taką szczecinowatą...

— A ha — ten pochyły, co to w kościele w Stokłosinie stał przed naszą ławką.

— Ten, ten.

Panna Wanda zaczęła się ogromnie śmiać.

— Ależ papo — to wół!

— Wół, pań ziu — potwierdził pan radca — ale co ci o to Wandeczko — milionowa fortuna, nafciarz! Trzeba się nawet spieszyć, aby go inna nie złapała.

Panna Wanda ze śmiechu przeszła do poważnego nastroju, — zamyśliła się głęboko — smutek wypisał się na jej twarzy, podniosła oczy i znowu z żalem spojrzała na pana Antoniego.

— Ha, zresztą — rzekła po chwili z rezygnacyą — niech i tak będzie, — przyznaję słuszność panu Antoniemu, że małżeństwo jest interesem i że w danym razie może być interesem doskonałym!

— Moje dziecko pań ziu! — zawołał radca rozrzewniony — i posunął się ku Wandzie, wziął jej głowę w obie dłonie, składając na jej czole ojcowski pocałunek.

Państwo Teodorowie i panna Wanda przy pomocy radcy i pana Antoniego układali plan

kampanii małżeńskiej do późnej nocy i postanowili całym domem pojechać do Lichocina, skoro tylko Libiszewski ze Lwowa powróci.

Pan Antoni nazajutrz zaraz rano pojechał do Lichocina, bawił prawie cały dzień, i pojutrze odwiedziny swe ponowił, i korzystając rzetelnie z zaprosin tłustej i piegowatej panny, zakwaterował się na dobre w lichocińskim dworze, z którego tylko na noc powracał do Słomkowic.

Pan Józef opowiadał mu ciągle o przybywaniu ropy, potwierdzając jej przyrost swojem przysłowiowem „jak Boga kocham“ — zresztą mało siedział w domu, gdyż musiał — jak powiadał — pilnować kopalni.

Pan Antoni przy pannie Mani nie próżnował, był dla niej nadskakujący i czuły, rozmowę przerywał często to westchnieniami to spojrzeniami tak bardzo wymownemi, że na pucołowatą twarz panny Mani i tak z natury czerwoną występowały rumieńce jak łuna

— Ba, a jakże! — mówiła swoim śpiewnym akcentem — ot, że to pan Antoni tak do oczów zazira — fe — a jakże.

Pan Antoni przysuwał się jednak coraz

bliżej i bliżej, wreszcie objął pulchną i obszernych rozmiarów kibić panny Mani i przytknął swoje zimne usta do rozpalonych ust dziewczyny.

— Fe — naprawdę, a jakże, będę się gniewać — zaprotestowała śpiewająca Mania.

Uniwersalny spadkobierca nie zważał jednak na te protesty — cisnął do piersi i całował — a jakże — tak długo, dopóki w progu nie huknął pan Józef z całej siły:

— O, jak Boga kocham!..

Panna Mania wyrwała się z objęć kawalera, i ukryła rozpaloną pucołowatą twarz w łokciu lewej ręki.

— Mańka! — jak Boga kocham — krzyknął pan Józef...

— Kiedy się wstydam — a jakże — zaśpiewała milionerka.

— Józiu! — zawołał uniwersalny spadkobierca — nie miej nam za złe, kochamy się — cóż robić, taka wola nieba!

— Ba, a jakże — cóż robić — dośpiewała panna Mania z poza łokcia lewej ręki.

— A jak Boga kocham — dokończył syn nafciarza!

XIII.

Po tygodniu nieobecności wrócił wreszcie pan Libiszewski do Lichocina i przywiózł ze sobą dwóch inżynierów z pod ciemnej gwiazdy.

Starszy z nich wiekiem, wysoki, chudy, łysy i wygolony — wyglądał jak aktor prowincyonalny, zbiedzony w czasie dymisyi; drugi młodszy malutki z artystycznie rozstrzępioną fryzurą, miał maniery subjekta sklepowego lub fryzyerskiego.

Młodszy miał ze sobą bluzkę górniczą z aksamitnemi bufami i przedstawiał się jako Górka, elew górniczy, a starszy jako radca górniczy i mianował się z niemiecka Stapelbergiem.

W butonierce czarnego i trochę przetartego surduta pana radcy, tkwiła wpleciona czerwona stążeczka.

Za przybyciem do Lichocina pana radcy i elewa — kopalnia nabrała innego wyglądu.

Na polach i łąkach, należących do obszaru dworskiego, przy pomocy najętych chłopów, wbijano paliki małe, większe i jeszcze większe — w pewnych odstępach zaś czerwone chorągiewki.

Chłopi z ogromnym szacunkiem patrzyli na inżynierów, na ich taśmy miernicze i łańcuchy, z nabożeństwem wbijali paliki i chorągiewki; a dwaj panowie mierząc, licząc, zapisując, palikowali grunta wzdłuż, pod górę, aż ostatnią chorągiewkę umieścili pod lasem.

Na drugi dzień po nabiciu palików umieszczano przy rusztowaniu na blokach korbę z dużem wiadrem, w którem górnicy mieli zjeżdżać do studni dla badań naukowych.

Cieśle pracowali zawzięcie — pan Józef, który był zdał ojcu dokładne sprawozdanie z obrotu interesów w czasie jego nieobecności, pomagał mu zajadle — inżynierowie nadzorowali roboty, wydając rozporządzenia — gdy do Lichocina dwoma zaprzęgami zjechali państwo Moczarscy z Zawadowa z panną Wandą i panem radcą Bzikowskim — a w kilka chwil po nich przybył pan Antoni z zamiarem oświadczenia się Libiszewskiemu o rękę panny Mani.

Stary wyga witał przybyłych, ściskał, całował i prawił grzeczności.

— Pan sąsiad dobrodziej wybaczy—rzekł Antoni zaraz po przywitaniu — że nachodziłem ten dom w czasie jego nieobecności. — Serce mnie ciągnęło panie sąsiedzie, pokochałem pannę Manię i mając jej wzajemność proszę o jej rękę.

— Maniu! co słyszę? — zapytał Libiszewski niby to zdziwiony.

— A no, ba—a jakże — zaśpiewała pucołowata panna.

— Panie sąsiedzie dobrodzieju! — zawołał patetycznie właściciel Lichocina — niezbadane są wyroki Boże — kochacie się — ty jesteś uczciwym człowiekiem — a uczciwość u mnie to grunt, niechże wam Pan Bóg błogosławi tak, jak wam ojciec i stary szlachcic błogosławi.

Państwo Teodorowie, panna Wanda i pan radca Bzikowski winszowali narzeczonym — a nafciarz dusił w uścisku uniwersalnego spadkobiercę — wołając drżącym z rozrzewnienia głosem: kochany sąsiedzie dobrodzieju!

Pan radca na zgiętych kolanach, którego ciekawość paliła na tę kopalnię, ledwie do-

czekał końca czułej sceny — a gdy Libiszewski wypuścił z objęć przyszłego zięcia — rzekł ze słodkim uśmiechem:

— Ogromnie radbym widzieć tę kopalnię pań ziu.

— A proszę państwa, bardzo proszę — mówił Libiszewski — i wyprowadził gości za stodołę, gdzie stuk młotów i siekier znamionował roboty w pełnym ruchu.

— Fi, fi — pań ziu — to już widzę wszystko w ruchu.

— O nie jeszcze panie radco dobrodzieju — zawołał Libiszewski — jeszcze dużo wody upłynie, nim tu będzie nafta. Takie urządzenie co to kosztuje — ho ho! — tysiące panie radco dobrodzieju — tysiące!

— Rany Boskie — a tu co będzie? — zapytała pani Antonina wskazując rusztowanie.

— Tu — odrzekł Libiszewski — tu będą wieże wiertnicze i świdry, tam rafinerya — mówił, wskazując ręką, — a tam, widzicie państwo, jak te paliki, hen hen pod lasem, gdzie ta czerwona chorągiewka...

— A ha, ha...

— Tam będzie droga żelazna.

— Droga żelazna?!

— A tak, tak — droga żelazna; — trudnoby

było bowiem — tłumaczył wyga — wozić ropę stąd do rafineryi, a stamtąd naftę do przystanku w Zawadowie furmankami — coby to kosztowało?! A tak co, — kolej wąsko-torowa — dwie albo trzy lokomotywy, kilkanaście wagonów cysternowych, ze dwa osobowe dla wygody własnego domu i basta!

Całe towarzystwo zwróciło oczy w kierunku wytyczonej trasy kolejowej.

Do idących zbliżył się starszy inżynier.

— Pan radca górniczy Stapelberg — przedstawił go Libiszewski.

— Bzikowski emerytowany radca sądowy.

— Sługa pana radcy — bardzo mi miło.

— Nadzwyczaj pań ziu mi przyjemnie pana radcę...

Tu zauważył radca na zgiętych kolanach w butonierce surduta wygolonego radcy czerwoną wstążeczkę orderową — i wydał ze siebie westchnienie, w którem było echo dawnych marzeń, snutych w czynnej służbie jeszcze — i zawiedzionych nadziei.

Udekorowany radca górniczy z galanteryą pierwszego amanta poznawał się z paniami, po czem zaraz swobodnie, jak na światowca przystało, wdał się z niemi w rozmowę, w czasie której panna Wanda konie-

cznością zmuszona, musiała objąć rolę pierwszej naiwnej.

— Jakże dziś ropa panie radco dobrodzieju? — zapytał Libiszewski inżyniera.

— Ogromnie przybywa — odpowiedział zagadnięty — ale do wybuchu nie przyjdzie — upusty już prawie gotowe. Za głęboko kopane — w takim terenie, gdy się pokazują tak obfite źródła, należało być bardzo ostrożnym z pogłębianiem ziemi.

— Radca Bzikowski łowił każde słowo udekorowanego inżyniera.

— Obfite źródła pań ziu? obfite? — zapytał, spoglądając na radcę.

— Niezwykle — odrzekł tenże — dziś już stanowczo mogę powiedzieć panie radco, że ze wszystkich kopalni we wszystkich pięciu częściach świata Lichocin zajmie pierwsze miejsce. — Miliony — zawołał patetycznie — miliony z tej ziemi już płyną.

— Proszę — pań ziu, ktoby to był przypuszczał.

— Pan Bóg łaskaw na starego szlachcica — dodał Libiszewski.

Zbliżyli się do studni.

— Otóż tu — ta pierwsza studnia.

Pan Teodor zaglądał pierwszy, potem ko-

lejno panie, to jedna, to druga, wreszcie pan radca na zgiętych kolanach.

Włożył nos kształtu nasiennego ogórka do dziury, silny odór naftowy zakręcił mu w nosie, kichnął raz i drugi, pochylił się jeszcze bardziej, aby coś zobaczyć i tak był tem zainteresowany, iż nie zauważył, że bloki ponad nim zaskrzypiały, a lina przed jego głową zaczęła się przesuwać.

Nareszcie tuż przed nosem pana radcy ukazało się podłużne denko małej czarnej czapeczki i pod nią rozstrzępiona hyra.

— Ou pań ziu — krzyknął radca — tu coś jest, coś wyłazi z tej dziury.

— Pan Górka — objaśnił udekorowany inżynier — mój elew.

Jakoż nad powierzchnią ziemi ukazała się cała czapeczka — za nią głowa ozdobiona artystycznie rozstrzępioną fryzurą i młodocianą twarzą o wesołem wejrzeniu, za nią bluzka z aksamitnemi bufami, na których były złotem haftowane kilofy — a za bluzką nogi w zabłoconych trzewikach.

Elew po poznaniu się z całem towarzystwem zdawał głośno sprawę ze swojej czynności w studni udekorowanemu inżynierowi, który tu i owdzie dorzucał swoje uwagi.

— No, dobrze się stało, że zapobiegliśmy wybuchowi ropy — rzekł na ostatku — zanim wszystko będzie gotowe, świdry i cysterny — zanim stanie rafinerya, niech ropa czeka — do maja!

Całe towarzystwo z inżynierami wracało do dworu na obiad; na ostatku szedł obok gospodarza pan radca Bzikowski, który dla nabrania jak najlepszej pewności o nafcie — obwąchał był swoim ogórkowatym nosem młodego elewa.

— To pan dobrodziej pań ziu — rzekł do Libiszewskiego, przystając na chwilę — to pan pań ziu będzie miał kolosalne wydatki.

— A ba — panie radco dobrodzieju — odpowiedział stary wyga — krocie — a tu gotówki... i urwał, rozstawiając ręce i wsuwając głowę w ramiona.

Radca przytknął do oczu skrzywione binokle.

— Bo widzi pan dobrodziej — rzekł po chwili — ja mam coś trochę, dwnanaście tysięcy, — posażek jednej córki — zięcia jeszcze niema, tamci zięciowie już swoje posagi widzieli — no niby tymczasem pań ziu, nim dziewczyna zamążby nie poszła, mógłbym pożyczyć.

— Ach panie radco dobrodzieju — zawołał nafciarz — tyle łaski!

— No ta cóż pań ziu w potrzebie — pan dobrodziej dałby skrypt z hipoteką na kopalni naftowej.

— Stokrotnie dziękuję — Bóg zapłać — ale ja sobie jakoś inaczej poradzę.

Libiszewski byłby może skorzystał z łatwości kredytu, tylko żądanie hipoteki na kopalni odbierało mu tę możność — radca Bzikowski w gruncie rzeczy nie miał zamiaru zrobić mu przysługi, a chciał tylko, aby nafciarz dowiedział się o tem, że jego córka ma posag.

— Bo widzi pan pań ziu — ciągnął dalej — okazując Libiszewskiemu trzy książeczki dobrosławskiej kasy oszczędności — to posag jednej córki — no niby pań ziu, jak długo nie idzie zamąż — a zresztą może i na dłużej, bo babka pań ziu, pani Pierzchalska, bardzo ale to bardzo ją kocha i cały majątek pań ziu — siedmdziesiąt tysięcy już jej zapisała.

— A to bardzo szczęśliwie — zawołał pan Libiszewski. — Przepraszam pana radcę — muszę synowi dać dyspozycye co do tych robót kopalnianych.

— Józek!

— Hę?

— Chodźno tu.

Wchodzili na ganek.

— Wandziu — szepnął radca córce do ucha — już pań ziu wygładziłem ci drogę, bierz się tylko ostro do tego woła.

— Józek — szeptał stary wyga swojemu dryblasowi do ucha — ośmdziesiąt dwa tysiące posagu — otwarta droga, zabieraj się ale raźnie do tej kozy.

XIV.

W tydzień później dwaj inżynierowie opuścili Lichocin.

Spóźniona zima nadeszła, zamiast św. Marcina św. Mikołaj przyjechał na białym koniu, mróz osuszył błota, a obfity śnieg pokrył pola i łąki, przysypał kopalnię, zabezpieczoną przed wybuchem ropy i grubą warstwą legł na drogach, które pod płozami sanek wygładziły się i utarły.

W dzień św. Mikołaja odbyła się w Zawadowie, w domu państwa Moczarskich, uroczystość familijna — formalne zaręczyny pana Antoniego z panną Manią i panny Wandy z panem Józefem, który z tej okazyi doczekał się nareszcie nowego ubrania.

Na tę uroczystość zjechała do córki pani Bzikowska, małżonka pana radcy, którą on przez czterdzieści lat pożycia małżeńskiego Andziuńdzią zawsze nazywał — przyjechali państwo Kręciccy z dziećmi — i zaproszeni sąsiedzi.

Zabawa była bardzo ożywiona — tańczono przy fortepianie, na którym skoczne mazurki i polki wygrywała pani radczyni lub pani Antonina.

Tańce na chwilę przerwano, do fortepianu zasiadła panna Wanda — uderzyła palcami po klawiszach, zmięszane tony oddawały jakby odgłos burzy zdala nadciągającej, w której od czasu do czasu grały echa piorunowych grzmotów; wreszcie burza umilkła, z pod palców panny Wandy popłynęły miękkie tony tęsknej i smętnej dumki.

— Jak Boga kocham — szepnął pan Józef do ojca i do siostry — jaka ona edukowana — po francusku mówi tak, że nic a nic nie można zrozumieć, na fortepianie gra jak stara...

— A jakże — zaśpiewała półgłosem panna Mania — a nas to ojciec niczego nie dał uczyć. Józek ledwie czytać umie i trochę pisać — a ja to ot tylko drukowane — taj już.

— Nie pleć — szepnął Libiszewski.

— Jak Boga kocham — dodał Józef.

— I tak będziesz panią — mówił stary wyga — Stokłosin, Rychłowice, las na Wiechowem...

— Wo — cuda — zaśpiewała znowu Ma-

nia — a i tak mógł ojciec kazać mnie uczyć po francusku i na fortepianie.

— Nie pleć — oburknął nafciarz — cóż miałem dla was kraść, czy rozbijać po gościńcach.

— Zaraz, — pewnie, a jakże.

— Jak Boga kocham...

Rozmowę dzieci z ojcem i smętną dumkę panny Wandy przerwało zaproszenie do wieczerzy. — Całe towarzystwo przeszło do jadalni, gdzie pan Libiszewski głośno i szeroko opowiadał o swojej kopalni, a pan Antoni o spadku Borejki.

Potem przyszła kolej na toasty, które rozpoczął pan radca Bzikowski pijąc na pomyślność zaręczonych — po nim przemawiał mecenas panie dzieo, wyrażając radość z połączenia trzech rodów szlacheckich, po mecenasie przemawiał pan Teodor, a po nim Żubr ze Studniczyny.

Młody Libiszewski, który prócz wody w Lichocinie nigdy nic nie widywał — po dwóch kieliszkach wina był rozmarzony — patrzył pożądliwem okiem na narzeczoną, dawał jej rozmaite znaki, mrugał na nią, jednem słowem na migi wyjawiał swoje myśli i uczucia. Panna Wanda ostro na

niego spoglądała i karciła go wzrokiem, na co on odpowiadał swojem przysłowiem: jak Boga kocham.

Zabawa trwała prawie do białego dnia. Rano goście się rozjechali, a sąsiedzi wracając do domów, myśleli sobie, jacy to sprytni ci Moczarscy—usidłali nieboszczyka Borejkę, wmawiając weń pokrewieństwo i teraz uwikłali Libiszewskiego, nafciarza i przyszłego milionera!

. . . .

W sobotę po Trzech Królach w parafialnym kościele w Stokłosinie odbył się ślub pana Antoniego Moczarskiego z panną Manią Libiszewską, a we wtorek w Dobrosławiu ślub pana Józefa Libiszewskiego z panną Wandą Bzikowską.

Tłusta Mania z chudą wyprawką wyjechała do Słomkowiec — a do Lichocina z młodą małżonką przyjechał pan Libiszewski, ale — bez posagu!

I zaczęły się kwasy w lichocińskim dworze, narzekania i utyskiwania — latały listy prawie codziennie, wreszcie zaczęły się częste podróże to młodego, to starego Libiszewskiego do Dobrosławia a zawsze bezskuteczne, bo radcy nigdy w domu nie było.

Stary wyga zaczął się na dobre niecierpliwić, pojechał raz jeszcze do Dobrosławia i natarł bardzo stanowczo na panią radczynię, ale dowiedział się — że radca pojechał do babki Pierzchalskiej po zaliczkę na posag.

Uspokojony jednak niezupełnie, powrócił do domu i naciskającym na niego wierzycielom przyrzekł wkrótce zapłatę.

— Widzicie — mówił do garbonosych potomków Izraela — wszystko się dobrze składa, syna ożeniłem, córkę wydałem — trzeba tylko na pieniądze zaczekać — do maja.

— Ny, a co z tym naftem? — pytali ciekawi żydkowie.

— O tem nie mówię — jeszcze nie wiem, odpowiadał stary frant.

— Ny, to do maja, ale ostatny termin.

— Ostatni, ostatni — zapewniał Libiszewski.

Pani Wanda jednak — znając lepiej swego ojca, aniżeli znał go Libiszewski — jeszcze przed ślubem przydusiła poczciwego radcę. Cały tydzień trwały targi, podczas których radca pań ziu płakał, groził odmówieniem błogosławieństwa ojcowskiego, udawał mdłości i spazmy — nic nie pomogło, musiał dać

najmłodszej latorośli z Bzikowskich rodu pięć tysięcy i kwita.

Najmłodsza latorośl ukryła głęboko ową gotówkę, wiedząc, że już więcej nic nie wydusi od czcigodnego papy.

Teraz wyczekując na naftowe miliony małżonka, nudziła się w Lichocinie.— Stary wyga patrzył na nią złem okiem, — młody wół prześladował ją swemi karesami, doprowadzając do częstego zniecierpliwienia.

Wśród tych nudów — przeplatanych kwasami z powodu niewypłaconego posagu — wnosił do domu jakie takie ożywienie pan Antoni, który często bywał w Lichocinie — przyjmowany przez nafciarza jako uniwersalny spadkobierca Borejki zawsze nadzwyczaj czule i serdecznie.

Pan Antoni, podwójnie z Wandą spowinowacony, był z nią na bardzo poufałej stopie — i całowali się ze sobą na powitanie i pożegnanie.

Dziwna rzecz — teraz dopiero, gdy podwójna klamka zapadła, uczuwali do siebie jakiś nieprzeparty pociąg — gorzały im oczy, serca biły przyspieszonem tentnem i świat mgłą jakąś się pokrywał.

. . . .

Nadeszła wiosna i wreszcie upragniony maj.

Libiszewscy ojciec i syn wyjechali do Dobrosławia na obławę — chcieli przychwycić niedźwiedzia w norze, czyli pana radcę Bzikowskiego w domu.

W lichocińskim dworze pozostała sama pani Wanda.

Niedługo była osamotniona, ze Słomkowiec przyjechał pan Antoni.

Uściskali się na powitanie czulej i serdeczniej jak na powinowatych przystało.

— Cóż słychać u ciebie Antosiu? — zapytała pani Libiszewska.

— Ciężko mi moja droga — odrzekł, patrząc jej w oczy — sprzedałem się za miliony — ale duszę się. — Stary Libiszewski, dodał po chwili, jakoś z tą kopalnią się nie rusza, — wiosna, — możnaby coś robić.

— Czeka na pieniądze — odpowiedziała — od ciebie i od mego ojca — i powiada, że dlatego wstrzymuje się z wzięciem pożyczki.

— Na mnie niech nie liczy — trzeba mu będzie wreszcie powiedzieć, że spadek sprzedany, a tak mi jakoś przez gardło to nie chce przeleść — odkładam z tygodnia na tydzień i z dnia na dzień.

— Dziś siódmy, przypomniała Wanda — za jedenaście dni musi się dowiedzieć.

— Pewnie, ale Wandziu nie mówmy o tem — rzekł, ujmując ją za rękę — ja mam tyle z tobą do mówienia.

— Teraz, teraz — dopiero — wtrąciła smutno.

— Niestety droga moja, teraz poznałem, że my powinniśmy byli należeć do siebie na wieki.

Ujął ją w pół, przycisnął do piersi, ona nie próbowała nawet stawiać oporu, powieki opadły jej na oczy, mgła jakaś świat cały przysłoniła, czuła tylko, że jest w objęciach kochanka i że w nich pragnęłaby być do końca życia.

XV.

Z pagórka za kościołem w Stokłosinie bito z moździeży.

Dymy z ogniska płynęły w górę wprost pod seledynowe sklepienie nieba, na którem zapadłe słońce pozostawiło złote odblaski swoich promieni.

Ziemia woniała, drzewa młodem liściem i kwieciem umajone, pola zieloną runią zbóż pokryte, i łąki trawą i kwiatami usłane.

Na drodze od Pustopola wzniósł się tuman kurzu, lekki wietrzyk nim kolebał i unosił go w górę — z tych tumanów zaczęły się wyłaniać łby końskie z rozdętemi nozdrzami i rozwianemi grzywami.— To banderya dziarskich parobczaków z Pustopola i Stokłosina w białych karazyach i czerwonych rogatywkach, strojnych w kwiaty, sprzączki i pawie pióra — galopem poprzedzała w drodze do kościoła długi szereg karet i powozów. Moździerze zagrzmiały, kilkadziesiąt koni żachnęło się i uskoczyło w bok — jeźdcy pognali dalej.—

W ślad za nimi pędziły powozy po salwach moździerzowych jeszcze szybciej.

Orszak zawinął przed kościół, z pierwszej karety wysiedli młodzi panowie — pan Aksak i pan Chomętowski, krewniacy marszałka, w bogatych polskich strojach; z drugiej marszałek z córką, której z pod mirtowego wieńca i białego welonu długie złote sploty przezierały jak jaka aureola szczęścia. Z trzeciego powozu wysiadły panny Matuszewskie, siostrzenice marszałkowej; — z czwartego wreszcie Mieczysław z ojcem, a potem kilkadziesiąt osób, gości weselnych — i w końcu zeszły się tłumy wiejskiego ludu.

Pan Aksak z panem Chomętowskim wprowadzili pannę Stefanię do kościoła — za nią prowadzony przez panny Matuszewskie postępował Mieczysław.

Przy ołtarzu czekał ksiądz Sawicki z asystencyą.

Gdy nowożeńcy stanęli u stopnia ołtarza, zdjął proboszcz okulary z garbatego nosa — i przemówił do nich serdecznie i podniośle, poczem uświęcił sakramentem związek dwojga serc.

Po ślubie orszak weselny zagarnąwszy księdza Sawickiego i księży mu asystują-

cych, wśród salw moździerzowych, poprzedzany banderyą pędzącą galopem — powrócił do Pustopola, gdzie obszerny dziedziniec roił się od świetlanych lampionów.

U progu pani marszałkowa chlebem i solą przyjmowała szczęśliwych nowożeńców a kapele wiejskie z Pustopola i Stokłosina grały im fanfarę na powitanie.

Na dziedzińcu z desek ustawiono stoły — marszałek gościł lud z swojej wioski, a lud weselił się i radował szczęściem ukochanej panienki i tego panicza, co tak chętnie z nim przystawał i niósł mu miłość i światło.

Dzień już był jasny i słońce majowe na niebo w złocie wypłynęło — a Pustopole jeszcze huczało odgłosem wesela i ochoczej zabawy.

. . . .

. . . .

XVI.

Libiszewscy ojciec i syn wpadłszy znienacka do domu poczciwego radcy, przycapili go przy śniadaniu.

Naciśnięty pan radca w sposób więcej aniżeli kategoryczny wyznał, że owych dwanaście tysięcy, z któremi się ofiarował Libiszewskiemu — były posagiem jednej córki — tylko nie jego córki, że musiał je oddać, skoro nie mógł ulokować, i że nic niema, ani grosza.

— Jestem pań ziu jak ten bizun — mówił, uginając nogi w kolanach.

— Nie pleć radco, nie pleć — krzyczał zaperzony Libiszewski.

— O jak Boga kocham — wrzasnął Józef i splunął w kułak.

— Martwiący wypadek pań ziu — zawołał pan radca — Andziuńdziu ratuj! I ukrył się za małżonką, która teraz miała sposobność okazać całą swoją kwalifikacyę — jako teściowa!

Andziuńdzia przegadała męża i obydwu Libiszewskich, mełła jak wiatrak bez przestanku i wytchnienia. — Żadna siła nie mogłaby się oprzeć aparatowi tej konstrukcyi. Coś niby kartaczownica maszynowa — sypała i sypała wprost w obydwu Libiszewskich milionami pękających granatów, które wytworzyły taki huk, taki szum, łoskot i trzask, że Libiszewscy nie tylko własnych słów słyszeć nie mogli, ale zupełnie nie mogli myśli własnych rozumieć.

Panowie Libiszewscy wściekli z niczem powrócili po południu do Lichocina i zastali panią Wandę pakującą swoje rzeczy do kufrów!

— Tak jest — krzyczał nafciarz — nie masz tu pani co robić, napowrót do ojca, jeśli ci da posag, to wróć, a nie da — to niech cię chowa.

Wanda spojrzała na niego ze wzgardą i uśmiechnęła się ironicznie.

— Jak Boga kocham — zakrzyknął Józef.

— Józek! — rzekł stary — idź do lasu, dopilnuj tych sągów — pani się zabieraj, abym cię nie zastał w domu.

I pokręciwszy się koło gospodarstwa tak

długo, dopóki Józef nie zniknął w lesie — pojechał do zięcia i córki.

— No widzisz Antosiu — rzekł do zięcia — co mi ten stary oszust, ten łotr skończony urządził! — Nie dał ani szeląga posagu — i teraz djabli wiedzą co robić — wydatki ogromne, kopalnia stoi i ani tędy, ani tędy.

Antoni spuścił oczy, był niespokojny, nie wiedział co począć.

— Otrzymałeś od notaryusza wezwanie na pojutrze do Stokłosina?

— Otrzymałem — odpowiedział Antoni przyciszonym głosem.

— W tobie mój Antosiu cała jeszcze moja nadzieja — gdy obejmiesz Stokłosin, Rychłowice i las na Wiechowem i te kapitały, bo — dasz mi — to niby dla siebie — ale dasz na tę naftę co? — tak ze sto tysięcy?!

Uniwersalny spadkobierca milczał, nafciarz przeraził się przypuszczeniem, że zięć odmówi mu kredytu.

— Co, jakże mój drogi? — i pocałował go w czoło.

— Bo to widzi ojciec — zaczął jąkać się Antoni — to jest, jakby tu powiedzieć, właściwie mówiąc ja, ja tego spadku nie mam!

— Ale będziesz go miał pojutrze!

— Nie, nie będę miał.

— Co?! — wrzasnął Libiszewski — przecież testament...

— Ale sprzedałem.

— Kiedy?

— W dzień śmierci Borejki.

— Komu? Za ile?!

— Za dwadzieścia pięć tysięcy — Teodorowi.

— Do pioruna! okradłeś mnie — oszukałeś mnie i moje dziecko!

— No — a jakże — zaśpiewała pani Antoniowa.

— Oszukałem?

— Tak nikczemniku — piorunował stary wyga — oszukałeś, bo skoro nie miałeś nic, trzeba było postąpić sobie uczciwie i z honorem — było powiedzieć, kocham córkę pańską, ale jestem hołysz i bankrut!

W czasie tej ostatniej piorunującej przemowy chłopskim wozem z kuframi i pakunkami zjechała do Słomkowiec pani Wanda.

Weszła do pokoju w chwili, kiedy Libiszewski aż ochrypł od krzyku, — a Mania, która niedawno zjadła talerz gorącego rosołu, miała czkawkę!

— Co się tu dzieje?

— Oszukaliście mnie wszyscy! — wrzasnął, widokiem synowej jeszcze więcej podrażniony nafciarz!

— Tylko spokojniej szanowny panie — rzekła pani Wanda. — Antosiu, teraz ja ci powiem coś nowego, ty pewnie nie wiesz, skąd do Lichocina nafta zacieka — z Borysławia, z Borysławia!!! — zawołała z ironicznym uśmiechem.

Stary wyga oniemiał, umilkł, uszy po sobie położył, oczy spuścił i stał jak winowajca.

— Jakto? — zapytał przerażony Antoni, który w jednej chwili zrozumiał całą grozę swego położenia.

— Oto masz — rzekła Wanda, podając mu list frachtowy — sześć baryłek ropy przywiezionej z Borysławia — a tu drugi na sprowadzony — ale jeszcze nie odebrany transport. Na tym najętym wozie, którym przyjechałam prosić cię o konie do Zawadowa — przywiozłam ci także baryłkę z piwnicy tego pana wyjętą — może się przekonasz!

— Oszukałeś mnie pan!— wrzasnął z kolei Antoni — okradłeś mnie pan! Tak nikczem-

niku — skoro nie miałeś nafty — trzeba było postąpić sobie z honorem i uczciwie — było powiedzieć, moja córka pana kocha, ale ja jestem hołysz i bankrut!

Libiszewski stał przybity.

— Teraz mój panie — piorunował pan Antoni, popychając Manię, mającą ze wzruszenia jeszcze silniejszą czkawkę, aniżeli po rosole — teraz bierz pan sobie swoją ptaszynę do swego gniazdka. Odeszlesz mi wtedy, gdy jej dasz na drogę co najmniej sto tysięcy!

— Wot — zaśpiewała Mania — sto tysięcy, brałbyś — a jakże.

I spakowała tłusta pani Moczarska swoją chudą wyprawkę, siadła z ojcem na wózek i wróciła do Lichocina.

Po drodze płakała i narzekała — swoim śpiewnym akcentem.

— Ba — godzinami siedzielim, a on nie gadał — a o całowaniu, to szkoda nawet wspominku — a jakże.

Stary wyga milczał, sapał tylko głośniej od czasu do czasu, lub klął pod nosem.

— A com się go naprosiła, żeby się pieścił ze mną — śpiewała dalej zrozpaczona

Mania — ta i to daremnie, całkiem daremnie — a jakże taj już.

— Nie pleć — krzyknął zniecierpliwiony frant, który czem innem miał myśli zaprzątnięte.

W Słomkowcach tymczasem para kochanków rozważała sytuacyę, wytworzoną ostatnimi wypadkami.

Pan Antoni rozumiał, że mając dwadzieścia tysięcy gotówki i przedłużone Słomkowce, a prócz tego na trzydzieści tysięcy weksli w obiegu — nie wyrwie się z tych sideł, wiedział, że niczego nie uratuje; pani Wanda wiedziała znowu, że wróciwszy pod dach rodziców, będzie musiała marnować młode życie i oddać wymęczone od radcy banknoty — a tymczasem miłość wiązała ich oboje.

— Wandziu, jedyny środek — zawołał Antoni po namyśle. — Nic nas oboje tu nie wiąże, nic nas nie trzyma — we dwoje mamy dwadzieścia pięć tysięcy, świat otwarty — jedźmy do Ameryki!

— Jedźmy! — odpowiedziała pani Wanda.

. . . .

Wieczorny pociąg błyskawiczny wsunął

się cicho przed peron dworca kolejowego w Dobrosławiu.

Pan Antoni i Wanda w podróżnych strojach wsiedli do próżnego przedziału pierwszej klasy. — Za chwilę lampa w przedziale przygasła, firanki się zasunęły, a lokomotywa cicho bez huku i szumu ruszyła. — Pociąg wysunął się z peronu i znikł w przestrzeni, srebrem księżyca oblanej.

XVII.

Ośmnastego maja rano, w tej właśnie chwili, w której z portu w Hamburgu wypłynął parowiec wiozący na drugą półkulę na swoim pokładzie zakochaną parę — Jasiek ze Słomkowiec oddał panu Teodorowi list pana Antoniego.

Pan Teodor przeczytawszy kilka pierwszych zdań, zapytał oddawcę, kiedy ten list otrzymał.

— Poza wcora wiecór.

— A czemuż mi pierwej nie oddałeś?

— A beło nakazane dzisiok.

Pan Teodor wpadł do pokoju, gdzie już cała rodzina z Bzikowskimi i Kręcickimi stała gotowa do wyjazdu do Stokłosina przygotowana do instalacyi państwa Teodorów w nowej rezydencyi.

Poczciwy radca chował do kieszeni obeerzniętego dukata, którego miał im dać na

początek po objęciu majątku, a pani radczyni pakowała chleb i sól do ręcznej torebki, gdy drzwi szeroko się otwarły i do pokoju wpadł pan Teodor.

— Nowina! — krzyknął — w Lichocinie nigdy nafty nie było i niema — Antek z Wandą uciekł do Ameryki.

Gdyby piorun z jasnego nieba strzelił, byłby sprawił mniejsze wrażenie.

— Idyoto! — krzyknęła pani radczyni do męża.

— Ależ pań ziu!...

— Niedołęgo stary! — mówiłeś, że jest nafta!

— Była — pań ziu, była Andziuńdziu...

— Była — przedrzeźniała Andziuńdzia — była idioto w twojej mózgownicy.

— Ale przecie wkładałem nos do dziury.

— Milcz!

— Wąchałem!

— Milcz, powiadam! — krzyknęła Andziuńdzia, tupiąc nogą i podnosząc pazurki ku oczom pana radcy.

Pan radca zaczął chlipać i chlipał dopóty, dopóki nie zaczął buczeć.

Płakał pań ziu — rzewnemi łzami płakał, bo z córką popłynęły za ocean banknociki — pięć tysięcy.

— Co za martwiąca wiadomość! — jęknął w rozpaczy.

— Tak, panie dzieo — odezwał się mecenas — co się stało, to się stało, ale jedźmy do Stokłosina, bo już czas.

I pojechali smutni, złamani, zgnębieni — jedną tylko mieli pociechę, że za godzinę zagarną Stokłosin, Rychłowice, las na Wiechowem i kapitały po starym — jak mówili — warjacie.

W Stokłosinie zastali notaryusza, marszałka, ks. Sawickiego i Mieczysława.

— A gdzie jest pan Antoni? — zapytał rejent.

— Wyjechał — odpowiedział Teodor.

— Wyjechał?

— No tak panie dzieo — rzekł mecenas. — Tu jest pan Teodor Moczarski, wstępujący w prawa tamtego, z mocy cesyi z daty Zawadów 19 listopada przeszłego roku.

To mówiąc podał notaryuszowi dokument

Notaryusz rzuciwszy okiem na cesyę — otworzył kopertę.

— Testament. Polecając Bogu wszechmogącemu i Jego miłosierdziu duszę moją — czytał dobitnie — przystępuję do rozporządzenia moim majątkiem.

Uniwersalnym spadkobiercą moim mianuję pana Antoniego Moczarskiego, z którym tak samo, jak i z jego rodziną, żadne węzły pokrewieństwa mnie nie łączyły.

Z kapitałów, jakie mi jeszcze pozostały, zapisuję następujące legaty: na odnowienie kościoła w Stokłosinie dziesięć tysięcy — na bursę w Dobrosławiu dziesięć tysięcy i na ochronkę dla sierót dziesięć tysięcy. Resztę w sumie pięćdziesiąt tysięcy zapisuję tytułem legatu na posag ukochanej mojej chrzesnicy pannie Stefanii Duninównie.

— Rany Boskie! — przerwała pani Antonina.

— Martwiący zapis — dorzucił pan radca.

Mecenas tarł łysinę, a radczyni do krwi przygryzła usta.

— Kosztowności — czytał dalej notaryusz — wszystkie, z wyjątkiem dwóch karabeli, przeznaczam na aparaty kościelne i upoważniam księdza Sawickiego, aby legat ten odebrał i wedle własnej myśli nim

zarządził. Karabelę, turkusami wysadzaną, panu Mieczysławowi Żurkowskiemu, a rubinami, panu Aleksandrowi Duninowi leguję.

Dobra Stokłosin z lasem na Wiechowem i wszystkie ruchomości, ubrania, meble, obrazy, książki, zbiory, inwentarze, jednem słowem wszystko, z wyjątkiem starej, czarnej delii, zapisuję tytułem legatu panu Mieczysławowi Żurkowskiemu.

— Rany Boskie Dorku! — krzyknęła przeraźliwie pani Antonina.

Pan Teodor, radczyni i mecenas pobledli.

— Dobra Rychłowice — kończył rejent — przeznaczam tytułem legatu na własność kraju, celem założenia szkoły rolniczej i internatu dla młodzieży kształcącej się w rolnictwie. Odnośnie do tych dóbr osobny akt fundacyjny składam do rąk notaryusza Gębarzewskiego. Taki jest mój testament i taka ostatnia wola.

Notaryusz skończył — pan Teodor chwiejnym krokiem podszedł do stołu.

— To niby pa... pan rejent powiada, że tego, to jest, że legaty...

— Legatami spadek wyczerpany, pozostaje tylko delia.

Tu skinął na służącego, który wetknął w rękę panu Teodorowi starą, przez mole i myszy pogryzioną okrywę.

— I tego... rzekł Teodor, nie bardzo wiedząc, co mówić — to jest niby — już?

— A już — odpowiedział śmiejąc się notaryusz.

— No to już? — niby tego! — powtórzył właściciel Zawadowa zbielałemi wargami, rażąco odbijającemi od rudych wąsów i brody.

— Tak jest już, już — potwierdził notaryusz.

— A tak — to kiedy już — to my możemy niby tego... i kiwnął dwa razy dłonią, pokazując tym gestem wyjście i wyjazd.

— A tak, tak — potwierdził zgodliwy notaryusz — państwo już mogą tego.

— A no to... to już — zakonkludował pan Teodor i unosząc starą delię, wyszedł pierwszy, wyprzedzając całą rodzinę i żonę i teściową.

— Panie dzieo! Panie dzieo!

— Pań ziu! Pań ziu!

— Rany Boskie! Rany Boskie!

— No już, już — powtarzał Teodor.

— Dorku, rany Boskie, po co ty tego

łacha dźwigasz — krzyknęła rozwścieklona pani Antonina.

Teodor spojrzał na delię i cisnął ją w piasek na podwórzu.

— Już! — powtórzył raz jeszcze.

ZAKOŃCZENIE.

W pół roku po opisanych wypadkach sprzedano na publicznej licytacyi Zawadów i Słomkowce — Zawadów kupił adwokat Kręcicki, a Słomkowce właściciel Pustopola pan Aleksander Dunin.

Właśnie z licytacyi powracał pan Szmul Holzfresser do domu. Wsiadł do wagonu kolejowego tak zły, że aż kąsał trestkę od fajki ze wściekłości.

Za nim i przed nim cisnął się Izrael z tobołami, koszami, pakunkami. Gdy konduktor zamknął drzwi wonnego przedziału, Szmul Holzfresser krzyknął na całe gardło.

— Idłach!

Hargiet uciszył się w tej chwili.

— Weist ihr wues? Der ganef marszałyk hat gekoift die Słomkowces.

— Oj waj! — krzyknął drugi żyd ryżawobrody.

— Ny, ny — wusy tycech, wusy tycech — utyskiwał inny współpasażer.

I znowu powstał hargiet w Izraelu i Izrael hazuczną klątwę rzucał w wagonie na marszałka za to, że ośmielił się niedopuścić do nabycia Słomkowiec syna wybranego narodu.

Szmul Holzfresser miał jeszcze do zagarnięcia Lichocin górny.

Nim jednak licytacya przyszła, stary Libiszewski umarł nagle apopleksyą tchnięty. Marszałek i właściciel Stokłosina jakoś panu Józefowi i Mani pomogli — przeprowadzili parcelacyę — pozostał folwarczek stu-morgowy ale nieobdłużony i znowu Holzfresser odszedł z kwitkiem od ziemi, którą wziął mu chłop polski z przed nosa.

Oczywiście pan Szmul pojechał aż do Bełzca, do cudownego rabina, po klątwę na marszałka i jego zięcia.

A Józef i Mania mieszkali razem — trudno, oboje mieli życie poplątane i szczęśliwi być nie mogli, ale mieli przynajmniej spokojny dach nad głową.

Z czasem przyszło zapomnienie o tych dwojgu — i Józef był zadowolony jak Boga kocham — i Mania także — a jakże, a jakże.

. . . .

W rok po ogłoszeniu testamentu Borejki — we dworze w Stokłosinie udzielał

ks. Sawicki chrztu św. pierworodnemu państwa Żurkowskich.

Pierworodny przeciw tej ceremonii usilnie protestował, krzywiąc się i wierzgając nogami — wreszcie ku uciesze zgromadzonych gości, otrzymawszy imię Stefana, począł wrzeszczeć ile mu sił starczyło.

Chrzciny odbyły się i hucznie i wesoło; młody gospodarz pełen radości podejmował sąsiadów, a pani Stefania, młoda matka, promieniejąca szczęściem, pomagała w tem mężowi. Z portretu dziaduś zdawał się wodzić za nimi oczyma, uśmiechać się do nich i błogosławić im ze serca.

W czasie zabawy pan Aleksander i ks. Sawicki wymknęli się do drugiego pokoju i gdy w salonie był gwar wesoły — z poza drzwi doleciał głos księdza proboszcza:

— Z jakich czterdziestu?

— Przecież króla już wydałem.

— Ależ marszałku!

— Ależ mój księże!

Ożywiona rozmowa w salonie przygłuszyła znowu ich słowa.

Za chwilę, gdy tu ucichło — słychać było marszałka.

— Za pozwoleniem, księże proboszczu!

— Na upór niema lekarstwa.

— Bardzo proszę.

— Mój księże!

— Mój marszałku!

I znowu gwar w salonie.

Służący otworzył drzwi do pokoju, aby zaprosić pana marszałka i księdza proboszcza do kolacyi.

Stali obaj naprzeciw siebie, — ksiądz trzymając w ręce okulary, zdjętete z garbatego nosa, już śmiał się wesoło.

— O co my się właściwie kłócimy? O ten orzeszek marszałku ha? Ii — marność nad marnościami — zawołał — padając w objęcia śmiejącego się marszałka.

A stary Żurkowski, który przechodząc koło drzwi zatrzymał się w progu i widział ich uścisk — pokiwał siwą głową, zakreślił krzyż w powietrzu i rzekł uroczyście:

Pax Domini vobiscum!

KONIEC.

Kraków, w styczniu 1905 r.